Pytania przed **drugą turą** | Strestest **Tuska** | Co mówią **ścieki**
Kant **Putina** | Strajk **kurierów** | **Izera** odjeżdża | Powrót **astrologii**

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

POLITYKA.PL

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

TYGODNIK, nr 17 (3461), 17.04–23.04.2024

Sztandar wyprowadzić?

Lewica na bocznicy s. 19

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

ISSN 0032-3500

17>

9 770032 350404

fundacja iskierka

ZOSIA
JOANNA KOŁACZKOWSKA
jako ISKIERKA

MIESZKO
SZYMON MAJEWSKI
jako DETEKTYW

WIKTORIA
MIROSŁAW ZBROJEWICZ
jako RAK

ISKIERKA KONTRA RAK

KRS 0000248546 1,5%

ZOBACZ CAŁĄ HISTORIĘ NA FUNDACJAISKIERKA.PL

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

POLITYKA w numerze **17** [17.04–23.04.2024]

16 Troski Tuska

22 Mówią ścieki

32 Napięcia wokół elektryków

Prezydentury drugiej tury

12 Krzysztof Burnetko **Kraków: napięcie rośnie**
13 Katarzyna Kaczorowska **Wrocław: brudne pytania**
14 Norbert Frątczak **Kielce: starcie kontrastów**
15 Ryszarda Socha **Gdynia: burza w porcie**

Polityka

16 Cezary Michalski **Taktyka Tuska**
19 Rafał Kalukin **Kolejny zjazd Lewicy**

Społeczeństwo

22 Juliusz Ćwieluch **Brzydkie sekrety wyłowione ze ścieków**
25 Marta Mazuś **Strajk kurierów**
28 Agnieszka Kantaruk **Hałas o hałas**
30 Zbigniew Borek **Lubuska afera maseczkowa**

Rynek

32 Adam Grzeszak **Krótka kariera Izery**
35 Joanna Solska **Czarny wizerunek Zielonego Ładu**
38 Joanna Solska **Jan Krzysztof Bielecki o sobie**

Świat

40 Paulina Wilk INDIE **Zadecydują wybory kobiet**

43 Marcin Żyła **Spór o pakt migracyjny**
46 Publicystka **Emily Tamkin** o tym, jak na wojnę w Gazie reagują amerykańscy Żydzi
48 Edwin Bendyk UKRAINA **Zdeterminowani i zaradni**

Nauka/projektpulsar.pl

50 Co nauka zawdzięcza astrologii, opowiada amerykański fizyk dr **Alexander Boxer**

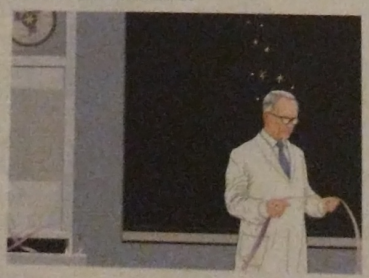

56 Marcin Rotkiewicz **Jak sztuczna inteligencja wspomaga badaczy**
60 Edwin Bendyk **Na początku była energia**

Historia

62 Michał Wójcik **Lewicowi artyści i ich wojenna sztuka… zabijania**
65 Filip Gańczak **Proces funkcjonariusza Stasi, który pół wieku temu zastrzelił Polaka w Berlinie**

68 Adam Krzemiński ESEJ **Zawłaszczony Kant**

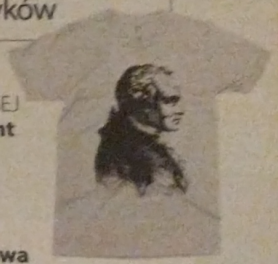

Kultura

76 Piotr Sarzyński **Wiedeńska wystawa Roya Lichtensteina**
79 Justyna Sobolewska, Aleksandra Żelazińska **Na ratunek księgarniom**
82 Bartek Chaciński **Serial „Fallout" – czarny humor o atomowej zagładzie**
84 Aneta Kyzioł **Elizabeth Costello w ujęciu Warlikowskiego**
86 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
90 Joanna Podgórska **Zbigniew Mikołejko – zabłąkany między wiarą i niewiarą**

Ludzie i style

92–97 • **Bierna agresja**
• **Metoda na Mentzena**
• **Quest wyborczy**
• **Błyskotki dla panów**
• **Zetki chcą spać**
• **Rozgrywki paintballa**
• **Spróbuj selera**

Stałe rubryki

• **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
• **7** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz
• **87** Sulej • **88** Lis • **89** Hartman
• **91** Do i od redakcji
• **98** Polityka i obyczaje

COPYRIGHT © POLITYKA Spółka z o.o. SKA. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne, opublikowanych w POLITYCE, jest zabronione.

[ANDRZEJ MLECZKO]

www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Czy Polska cofnie Niemcy w rozwoju

Jarosław Kaczyński ostrzega, że polskie szkolnictwo pod rządami obecnej władzy będzie kształciło parobków dla bogatych Niemiec, tymczasem czytam, że bycie parobkiem u Niemca przestaje być opłacalne. Coraz trudniej wyżyć Polakom za Odrą z prostych prac, np. sprzątania. „Dzisiaj Polka nie ma tam czego szukać" – gorzko wyznaje onetowi.pl pani Marlena, która sprzątała w Niemczech przez 15 lat, ale zrezygnowała, bo „życie podrożało, a konkurencja jest taka, że nie da się zarobić jak kiedyś".

Podczas gdy praca w Niemczech opłaca się Polakom coraz mniej, Niemcom różne rzeczy opłacają się w Polsce coraz bardziej. W tych dniach Berlin ogłosił, że planowany przez rząd PiS Centralny Port Komunikacyjny, jeśli zostanie zrealizowany, będzie się opłacał i Niemcom, i całej UE. To informacja szalenie niepokojąca, w końcu CPK nie miał być zbudowany po to, żeby był dla Niemców opłacalny; rząd PiS zapewniał, że CPK powstaje po to, żeby Niemcy na nim stracili i żeby ich pozycja osłabła, a ich przemysł lotniczy się załamał.

Audyty w sprawie CPK oraz audyty badające wiarygodność tych audytów trwają, ale powiem jasno: nie wiem, czy Polskę

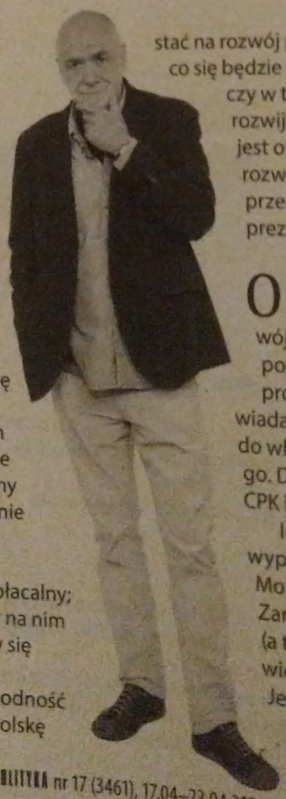

stać na rozwój polegający na ładowaniu miliardów euro w coś, co się będzie Niemcom opłacało. Może trzeba się zastanowić, czy w takiej sytuacji Polska powinna się w ogóle rozwijać? Wiele osób uważa, że rozwój Polski, który jest opłacalny dla Niemiec, które już i tak są bardzo rozwinięte, jest bez sensu, bo w ten sposób nigdy nie prześcigniemy Niemców w rozwoju, co od lat obiecuje prezes Kaczyński.

Obóz Zjednoczonej Prawicy stoi na stanowisku, że skuteczniejszy w osłabianiu Niemiec jest rozwój oparty na nieinwestowaniu. Jak wiadomo, twardą politykę osłabiania Niemiec poprzez taki rozwój prowadziły rządy PiS, które przez osiem lat zapowiadały np. powstanie CPK, a nie doprowadziły nawet do wbicia pierwszej łopaty przez prezesa Kaczyńskiego. Dla Niemiec, które dzisiaj otwarcie przyznają, że CPK by się im opłacał, musiało to być bolesnym ciosem.

Innym celnym uderzeniem w Niemcy było niewyprodukowanie zapowiadanego przez premiera Morawieckiego miliona polskich aut elektrycznych. Zamiast stawiać na budowę fabryki takich aut (a także opłacalnego dla Niemiec CPK), rząd Morawieckiego postawił na przekop Mierzei Wiślanej. Jego zaletą jest to, że nie opłaca się on nikomu, także Niemcom i Rosji, i z tego powodu jest bardzo bezpieczny dla Polski.

Albatros travel

Afryka Mandeli

Trasa tej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju: od safari w Parku Krugera przez Kapsztad do Przylądka Dobrej Nadziei.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga – Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 3-4** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Manyeleti - Trasa Panoramiczna – Zebra Counry Lodge w Pretorii. **Dz. 6** Relaks w Zebra Lodge i wycieczka do Zebra Repile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve – Port Elizabeth – Park Narodowy Tsitsikamma – Zatoka Plettenberg. **Dz. 9** Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. **Dz. 10** Zatoka Plettenberg – wapienne groty Cango - Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. **Dz. 11** Montagu - Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosh z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 13** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwy morskie. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 14** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 16/10, 21/11 2024, 30/01 2025

od **15.498,-**

Rejs po Renie

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Transport autokarem do Kolonii, zakwaterowanie na statku i wypłynięcie w rejs. **Dz. 2** Andernach. Zwiedzanie miasta pieszo i możliwość wycieczki do zimnego gejzera. **Dz. 3** Mainz (Moguncja). Piesze zwiedzanie średniowiecznego miasta z jego wspaniałą katedrą. **Dz. 4** Germersheim. Dodatkowa wycieczka do Speyer (dodatkowo płatne). **Dz. 5** Kehl, Niemcy/Strasburg, Francja. Możliwość zwiedzania średniowiecznego miasta wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 6** Mannheim, (Ludwigshafen) i Rüdesheim. Możliwość wycieczki do Heidelbergu. **Dz. 7** Pasaż Loreley i Koblencja. Możliwość zwiedzania miasta i wjazdu kolejką linową do twierdzy Festung Ehrenbreitstein. **Dz. 8** Kolonia – Frankfurt i powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 17/08 2024 | 7.998,-

Bergen i norweskie fiordy

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar – Lillehammer – Droga Trolli-Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen – Gudvangen - Flåm – Gello. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 11/06, 12/07, 22/07 2024

od **5.798,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL15

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Remis ze wskazaniem

Jerzy Baczyński

Jeśli wyborczy wynik koalicji rządowej uznać za „umiarkowanie dobry", to druga tura wyborów samorządowych może do tej słabej czwórki dopisać plus. W kilku ważnych miastach, gdzie odbędzie się prezydencka dogrywka, kandydaci koalicyjni powinni wygrać z lokalnymi konkurentami. W przypadku Wrocławia mamy wręcz do czynienia z wewnętrzną rywalizacją między dwojgiem kandydatów wspieranych (choć bez entuzjazmu) przez KO i Trzecią Drogę; tak czy inaczej zwycięstwo zostanie w domu.

Ważne będzie (prawie pewne) przypieczętowanie prezydentury Konrada Fijołka, wspólnego kandydata demokratycznych partii w Rzeszowie – stolicy zdominowanego przez PiS Podkarpacia. Dokładnie z tego samego powodu dużym sukcesem byłoby zwycięstwo dwojga kandydatów Koalicji Obywatelskiej – Aleksandra Miszalskiego w Krakowie i Agaty Wojdy w Kielcach. Po ustąpieniu wcześniejszych, „pozapartyjnych i wsobnych" prezydentów tych miast, Jacka Majchrowskiego i Bogdana Wenty, KO/PO ma wyjątkową okazję, aby po wielu latach zdobyć stolice obu, wciąż pisowskich, województw. To mógłby być początek ich politycznej rekonkwisty. Ale wcześniej liderzy Platformy powinni ruszyć trasą S7 z Warszawy przez Kielce do Krakowa i dać kandydatom mocne wsparcie; zwłaszcza Agata Wojda, imponująca energią i uporem działaczka społeczna z Kielc, była dotąd w swojej partii dość osamotniona.

Zdobycie Krakowa i Kielc to byłby dla koalicji gol w ostatniej części dogrywki, bo sam mecz, w regulaminowym czasie, zakończył się remisem. Pisaliśmy w powyborczym komentarzu, że „każdy coś przegrał, coś wygrał", ale dopiero po ogłoszeniu przez PKW rzeczywistych danych widać, że 7 kwietnia wyborcy niemal skopiowali wynik z 15 października, i to mimo wszelkich różnic w charakterze samych wyborów i mniejszej aż o jedną trzecią frekwencji. Statystycznie to właściwie nie miało prawa się zdarzyć: PiS spadł tylko o 1 pkt proc., a kolejne trzy formacje – KO, Trzecia Droga i Konfederacja – miały identyczny poziom wskazań, z dokładnością do jednej dziesiątej procenta. Tyle się działo przez te sześć miesięcy, a wynik praktycznie ani drgnął.

W tym sensie powtórzył się polityczny komunikat z października: po pierwsze – PiS pozostaje najsilniejszą partią, choć traci kolejny kawałek poparcia i kolejne kawałki swojej władzy; po drugie – demokratyczne formacje mają zdecydowaną stabilną większość i przewagę nad PiS, ale tylko razem; po trzecie – lewica znów topnieje. To „po trzecie" jest po raz kolejny zaskakujące, bo według wszelkich badań opinii publicznej tzw. lewicowa agenda ma w Polsce bardzo duże, często większościowe poparcie, jak w kwestii liberalizacji aborcji, ale też polityki socjalnej, mieszkaniowej, ekologicznej, edukacyjnej, wyznaniowej. Zastanawiamy się, z jakich powodów lewica zjechała do poziomu ledwie 6,2 proc. (pisze o tym Rafał Kalukin na s. 19). Kryzys przywództwa, sprawowanego przez lewicowych trzech króli – Czarzastego, Biedronia, Zandberga – jest tu oczywisty, ale okolicznością łagodzącą pozostaje, jak zawsze w polskiej polityce, „wina Tuska". Rzeczywiście, lider KO przejął znaczną część lewicowych postulatów, łącznie z tożsamościowo najważniejszymi – legalizacją aborcji i związków partnerskich. Jak to się mówi: odebrał lewicy tlen.

Jednak jeśli spojrzeć z dystansu na pierwsze 100 dni premiera Tuska (abstrahując od fatalnie rozegranych wizerunkowo „100 konkretów"), widać zgoła inny obraz: przesunięcie PO na prawo; choć właściwie należałoby powiedzieć – w stronę prawicowego populizmu (pisze o tym także Cezary Michalski na s. 16). Od razu dodajmy, że tak się dzieje właściwie we wszystkich centrowych, chadeckich, liberalnych, demokratycznych, nawet socjaldemokratycznych partiach europejskich. Sondaże przed nadchodzącymi wyborami do Parlamentu Europejskiego wskazują na wyraźny wzrost poparcia dla eurosceptycznej, populistycznej, często prorosyjskiej prawicy. Polityczne centrum, jeśli chce obronić dominującą pozycję w PE, musi teraz „odbierać tlen" populistom, wdychając oczywiście ich narracje.

Przyjęty właśnie przez PE niewielką większością pakt migracyjny europejska lewica określa jako antyimigracyjny, nawet nieludzki, bo zakłada m.in. deportacje i push-backi „nielegalnych migrantów" do tzw. bezpiecznych krajów trzecich, jak Rwanda, Turcja, Tunezja i inne opłacane przez UE „ułomne demokracje" (więcej na s. 43). A i tak Donald Tusk zapowiedział, że Polska nie zastosuje się do reguł obowiązkowej solidarności państw członkowskich, co zabrzmiało zgoła po pisowsku. Nowy rząd odrzuca możliwość relokacji migrantów na teren Polski, także wnoszenia opłaty kompensacyjnej (20 tys. euro za osobę) w przypadku odmowy, czy wysłania misji do ochrony zewnętrznej granicy Unii. Argument, że przyjęliśmy miliony uchodźców z Ukrainy, jest mocny, przez liderów Unii uznawany i Tusk ma szansę uzyskania „legalnego polskiego wyjątku" – to go różni od PiS-u, który dążył do propagandowej eskalacji konfliktu z Brukselą.

Podobnie jest z europejskim Zielonym Ładem: pod wpływem paneuropejskich protestów rolników i nacisku najważniejszych polityków unijnych (w tym Tuska i Macrona) Komisja Europejska wycofała lub zawiesiła wiele rygorów paktu klimatycznego (artykuł Joanny Solskiej na s. 35). Zdecydowano także o wprowadzeniu istotnych ograniczeń dla importu produktów rolnych z Ukrainy i utrzymaniu barier dla sprowadzania żywności z krajów Ameryki Łacińskiej. To były „mówione" postulaty europejskiej prawicy, które teraz przez unijne centrum są „robione".

Prezes Kaczyński, rozpoczynając w Stalowej Woli kampanię PiS do europarlamentu, już zarysował jej główne hasła: „Żadnych zielonych ładów, żadnych zmian traktatów, żadnych ograniczeń wolności!". W tej „wolności" chodzi m.in. o przerysowane, przedramatyzowane, przyszłe zakazy produkcji samochodów spalinowych, ograniczenia hodowli zwierząt czy używania paliw kopalnych. Wobec wszystkich tych rozsiewanych przez prawicę strachów Unia zastosowała środki uspokajające. Przechodzenie na auta elektryczne zostało praktycznie wyhamowane (co dotknie także projekt Izery – s. 32), rolnicze ekoschematy stają się już tylko zachętami, a nie obligiem; w sprawie paliw sam prezydent Macron wezwał do „pauzy ekologicznej", a polskie Ministerstwo Przemysłu ujawniło plan – zgodny z postulatami branży górniczej – łączenia firm energetycznych z kopalniami węgla. Itd.

W obecnej kampanii do PE, inaczej niż w poprzednich, eurosceptycy i „exitowcy" zetrą się nie z euroentuzjastami, ale eurorealistami, kierującymi się regułą: mniej ambicji to mniej populizmu. Europejskie i polskie centrum polityczne próbuje rozepchnąć się między lewicą i prawicą, tak żeby na zewnątrz pozostali już tylko radykałowie z obu stron. Ryzykowna, budząca moralny opór wielu wyborców, taktyka (przejściowego?) wchłaniania, oswajania populistycznych tematów i argumentów wydaje się dziś jednak warunkiem przetrwania samej Unii i systemu demokracji liberalnej, na której Zachód zbudowano. Remis w naszych wyborach samorządowych, z małym wskazaniem na demokratów, pokazuje tylko, że ta gra trwa i, jak mówią komentatorzy sportowi, jej wynik jest otwarty. Kolejne starcie 9 czerwca – eurowybory.

Sienkiew

W kultur
decyz
kome
rackiego przod
Narodowej im.
go został odwo
Pileckiego – M
tu Sztuki Filmo
Pierwsze d
za rządów Pio
naruszeń proc
mi instytutu.
czasowy wice
było stałe wy
„Jeśli ktoś bę
szę bardzo. A
Ordo Iuris i e
pieniędzmi p
sadniał minis
Leszczyńskie
kursu, mówi
ma zastąpić
Zdymisjo
filmowej, kt
sposób pod
rentny i arbi
gnębił proc
konkursowy
roka reprez
wicza o „pil
powściągar

Sejmi
i jede

Kader
się 3
bran
się na poc
rą marszał
Potycz
polskim w
w historii
(34,27 pro
239 radny
(30,59 pro
cia Droga
zdecydow
komitety
planową:
sześć mar
a Bezpart
– trzy. Z k
tylko Śląs
szość Nie
wprowad
Zwyc
gdy spojr
twa. Tę ka

© PAP/PIOTR POLAK; MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Sienkiewicz tnie mieczem

W kulturze poleciały głowy. Tylko metaforycznie, choć decyzje kadrowe ogłoszone przez ministra Sienkiewicza komentowane są barwnymi odniesieniami do jego literackiego przodka. Z funkcji dyrektora Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego został odwołany Jan Żaryn, ze stanowiska dyrektorki Instytutu Pileckiego – Magdalena Gawin, a obowiązki szefa Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej przestał pełnić Radosław Śmigulski.

Pierwsze dwie decyzje dotyczą instytutów powołanych do życia za rządów Piotra Glińskiego. Gawin miała się dopuścić „poważnych naruszeń proceduralnych" i stracić nadzór nad zagranicznymi filiami instytutu. Obowiązki pełnić będzie Wojciech Kozłowski, dotychczasowy wicedyrektor. W wypadku Żaryna przyczyną odwołania było stałe wypompowywanie milionów złotych w jednym kierunku. „Jeśli ktoś będzie to chciał nazwać odwołaniem politycznym – proszę bardzo. Ale dopóki jestem ministrem kultury, nie pozwolę, żeby Ordo Iuris i ekstremistyczne środowiska prawicowe cieszyły się pieniędzmi pochodzącymi z podatków wszystkich Polaków" – uzasadniał minister. Na następcę Żaryna wyznaczył historyka Adama Leszczyńskiego, autora „Ludowej historii Polski". Oznacza to zwrot kursu, mówi się nawet o zmianie patrona instytutu – Dmowskiego ma zastąpić Gabriel Narutowicz.

Zdymisjonowanie szefa PISF to z kolei trzęsienie ziemi w branży filmowej, której działania placówka finansuje od prawie 20 lat. Jego sposób podejmowania decyzji oceniany był jako mało transparentny i arbitralny, miał ignorować opinie ekspertów, a oponentów gnębił procesami. Pojawiały się też zarzuty o naruszenie procedur konkursowych przy jego powołaniu na stanowisko. W końcu szeroka reprezentacja środowiska zaapelowała do ministra Sienkiewicza o „pilną interwencję". Wcześniej głosy krytyki mogły być powściągane, bo szef PISF decyduje o finansowym być albo nie być filmowych projektów. – *To decyzja uzdrawiająca, która dopiero otwiera drogę do oczyszczenia środowiska z zaszłości* – komentuje reż. Joanna Kos-Krauze. – *Są one efektem działań Śmigulskiego, który to środowisko zastraszał w sposób koszmarny.* Ministerstwo zapowiada konkurs w PISF. Tymczasem p.o. dyrektorem będzie Kamila Dorbach, ostatnio specjalistka ds. PR w Instytucie.

Konferencja ministra **Bartłomieja Sienkiewicza** niemal zbiegła się w czasie z zatwierdzeniem przez Sąd Rejestrowy wpisów do KRS likwidatorów TVP i Polskiego Radia, które oznacza zwycięstwo koalicji także na trudnym froncie zmian w mediach. Minister rozważa też wniosek o Trybunał Stanu dla Macieja Świrskiego, przewodniczącego KRRiT, który wstrzymuje należne mediom pieniądze z abonamentu. W kuluarach mówi się, że zmiany przyspieszyły, bo Sienkiewicz wybiera się do europarlamentu. Minister tych doniesień nie potwierdza. Nie zaprzecza może z taką energią, z jaką uzasadniał decyzje kadrowe, ale i tu słychać mocną retorykę: „Nie będę uprzedzał decyzji premiera, bardzo nie lubię dotyku gilotyny politycznej na szyi". (JW, BCH)

Sejmiki, marszałkowie i jeden joker

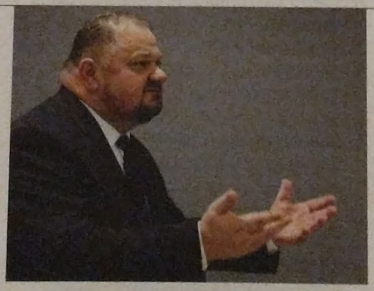

Kadencja władz samorządowych kończy się 30 kwietnia, a pierwsze sesje wybranych 7 kwietnia sejmików odbędą się na początku maja. Wtedy też radni wybiorą marszałków i przewodniczących sejmików.

Potyczkę o sejmiki na poziomie ogólnopolskim wygrał PiS z rekordowym wynikiem w historii wyborów lokalnych w Polsce (34,27 proc.). Partia Kaczyńskiego ma 239 radnych wojewódzkich. Druga była KO (30,59 proc., 210 mandatów), a trzecia – Trzecia Droga (14,25 proc., 80 radnych, w tym zdecydowana większość z PSL). Pozostałe komitety ogólnopolskie odegrały rolę drugoplanową: Konfederacja (7,23 proc.) zdobyła sześć mandatów, Lewica (6,32 proc.) – osiem, a Bezpartyjni Samorządowcy (3,01 proc.) – trzy. Z komitetów lokalnych ważni będą tylko Śląscy Samorządowcy (dawniej Mniejszość Niemiecka), którzy w woj. opolskim wprowadzili pięcioro radnych.

Zwycięstwo PiS wygląda mniej okazale, gdy spojrzymy na poszczególne województwa. Tę kadencję prawica zaczynała z władzą w ośmiu regionach, teraz samodzielną większość ma tylko w czterech: na Podkarpaciu (marszałkiem pozostanie zapewne Władysław Ortyl), w lubelskim (tu też nie zanosi się na zmianę marszałka, którym jest Jarosław Stawiarski), świętokrzyskim (nową marszałkinią może zostać Renata Janik) i małopolskim (tu raczej dojdzie do zmiany marszałka, bo dotychczasowy – Witold Kozłowski – ma wielu wrogów w PiS). Decyzje o marszałkach z PiS podejmie komitet polityczny partii, do rozstrzygnięcia pozostają też lokalne układy z Konfederacją.

W 11 z 16 województw rządzić natomiast będzie KO z koalicjantami, głównie z TD, ale także Lewicą oraz Śląskimi Samorządowcami (Opolszczyzna). Nowym marszałkiem na Śląsku będzie zapewne poseł KO Wojciech Saługa, w przejętym od PiS woj. łódzkim jedną z kandydatek na marszałkinię jest wiceprezydentka Łodzi Joanna Skrzydlewska (KO). Na Mazowszu PSL nie wyobraża sobie życia bez Adama Struzika, który jest marszałkiem od 2001 r. i uzyskał rekordowy wynik pod względem liczby głosów (prawie 75 tys.). Stanowisko zachowa zapewne także Olgierd Geblewicz (KO), marszałek woj. zachodniopomorskiego od 2010 r.

Na sejmikowej mapie szarą plamą jest na razie Podlasie, gdzie PiS zdobył 15 mandatów, KO i TD – 14, a jednego radnego wprowadziła Konfederacja. Jest nim b. działacz Porozumienia Jarosława Gowina **Stanisław Derehajło**. Tu możliwe są różne rozstrzygnięcia. Jeśli nie dojdzie do wyłonienia większości zdolnej wybrać władze województwa, konieczne będą przyspieszone wybory (podobnie jak w 2007 r., gdy również na Podlasiu doszło do takiego pata).

Sejmiki są dla partii bardzo istotne – decydują o budżecie regionu (od niecałego 1 mld zł do prawie 7 mld w przypadku największego Mazowsza) i są kopalnią stanowisk w instytucjach podległych władzom wojewódzkim. (WBS)

Aborcja w Sejmie, rozedrganie w koalicji

Emocje jakby zmalały, co zresztą zauważył też marszałek Hołownia, podsumowując **ubiegłotygodniową debatę na temat liberalizacji prawa antyaborcyjnego**. „To była najspokojniejsza i najbardziej merytoryczna debata o aborcji, jaką ten Sejm widział od 30 lat" – mówił. Bo rzeczywiście cztery projekty ustaw „cywilizujących" rygorystyczne prawo narzucone przez prawicę – przynajmniej na pozór – bez większych problemów przeszły do dalszych prac w specjalnie powołanej komisji (na czele której stanęła Dorota Łoboda z KO). Co prawda, wyłamali się trzeciodrogowi konserwatyści, głosując przeciwko projektom KO i Lewicy (m.in. Marek Sawicki, Ireneusz Raś i Marek Biernacki) albo też się wstrzymując (Władysław Kosiniak-Kamysz, Krzysztof Hetman czy Piotr Zgorzelski), jednak dla wyniku nie miało to znaczenia. Podobnie jak tajemnicza absencja Romana Giertycha, który jeszcze w kampanii zobowiązywał się głosować zgodnie z dyscypliną klubową – a ta w KO nakazywała obecność i poparcie dla wszystkich czterech projektów (Giertych będzie się teraz musiał tłumaczyć przed władzami klubu).

Nie obyło się oczywiście bez demagogicznych wystąpień posłów PiS i Konfederacji, ale poza teatralną przemową Kariny Bosak miały one dość wtórny charakter – rytualnie powtarzano argumenty, które przez ostatnie dekady towarzyszą wszelkim dyskusjom o aborcji (odwołania do Hitlera, cytaty z Jana Pawła II, straszenie „cywilizacją śmierci" i feministkami). Z kolei posłanki rządzącej koalicji przywoływały dramaty kobiet, które straciły zdrowie lub życie na skutek drakońskiego prawa – i ich rodzin, które to prawo naraziło na zarzuty karne (jeden z projektów, firmowany przez Lewicę, dekryminalizuje pomoc w aborcji). „Zakaz aborcji zabija" i „nie powoduje, że tej aborcji nie ma" – powtarzały przedstawicielki KO i Lewicy, których projekty dają możliwość przerywania ciąży do 12 tyg. Natomiast politycy TD podkreślały, że tylko ich ustawa (powrót do tzw. kompromisu, czyli sytuacji sprzed wyroku Trybunału Julii Przyłębskiej) jest „skuteczna", bo można próbować przekonać do niej Andrzeja Dudę. A potem przeprowadzić referendum. Tyle że to opcja, do której nie pali się ani lewica, ani prawica.

Zagadnięty o to na sejmowym korytarzu Jarosław Kaczyński stwierdził, że: „W sprawach moralnych referenda nie są dobrym rozwiązaniem". Zarazem oświadczył, że opowiada się za wpisaniem do konstytucji tzw. kompromisu z 1993 r. (czyli słynnych trzech przesłanek) – choć to przecież na wniosek jego posłów i za sprawą jego „odkrycia towarzyskiego" ów kompromis został naruszony. Najwyraźniej prezes PiS wyciągnął wnioski z pierwszego poważnego tąpnięcia poparcia, które jego formacja zaliczyła właśnie jesienią 2020 r. na skutek wyroku TK i czarnych protestów. Ten cynizm prezesa szybko wyłapały środowiska kościelne i prolajferskie – co jednak nie przeszkadzało im parę dni później iść wraz z politykami PiS w **Marszu Życia**.

Także Donald Tusk i jego otoczenie mają świadomość, że aborcja to temat, na którym – kolokwialnie mówiąc – można się przejechać. Dlatego szef PO też nie jest entuzjastą referendum i pilnuje, żeby jego rząd, mimo konserwatywnej „Trzeciej Nogi" (jak w KO przedrzeźniają TD), przedstawiał progresywne rozwiązania w kwestiach aborcji (wytyczne dla szpitali) i antykoncepcji (dostęp do tabletki „dzień po"). Tyle że przejęcie tej agendy przez KO nie jest na rękę jej koalicjantom: Lewicy – bo ogołaca ją z autorskich haseł, TD – bo taka „postępowość" budzi opór chłopskiej odnogi. Tusk w swoim stylu manewruje więc między uwarunkowaniami koalicyjnymi a oczekiwaniami społecznymi (50 proc. Polaków chce liberalizacji prawa antyaborcyjnego, ale 41 proc. uważa, że obecnych przepisów nie powinno się zmieniać, a 7 proc. opowiada się za zaostrzeniem prawa – Opinia24 dla TVN).

Sami koalicjanci nie są aż tak zręczni, co uwidoczniła samorządowa kampania wyborcza, podczas której doszło do otwartego – a chwilami także wulgarnego – ataku Nowej Lewicy na Trzecią Drogę z powodu przesunięcia przez Szymona Hołownię czytania projektów aborcyjnych na czas po wyborach. To dlatego podczas wieczoru wyborczego KO w kuluarach narzekano, że nie do końca satysfakcjonujący wynik koalicji rządzącej to wina wewnętrznych sporów na linii NL–TD i szarpania się o aborcję. Zresztą echa tego konfliktu było słychać jeszcze w czwartek, kiedy Urszula Pasławska (PSL) z mównicy sejmowej naskoczyła na „koleżanki z Lewicy" za to, że: „Prawa kobiet zostały spłaszczone wyłącznie do kwestii aborcji". Z odpowiedzią pospieszyła minister Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (NL), która stwierdziła, że: „W piekle są specjalne miejsca dla kobiet, które nie wspierają innych kobiet".

Koniec końców koalicja 15 października zwarła jednak szyki i zademonstrowała spójność podczas głosowań. Tyle że to ledwie początek prac, więc kolejne konflikty na tym tle – jak uczy polityczne doświadczenie – to tylko kwestia czasu. Dla rządzących ważne, aby na to wewnętrzne rozedrganie nie nałożyło się społeczne rozczarowanie, bo to prosta droga do klęski i utraty szansy na realną zmianę, która nierozerwalnie jest związana z przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi.

Żeby jednak nie było tak prosto: polityka to system naczyń połączonych, więc również kobiety są zakładniczkami tych wyborczych rozstrzygnięć oraz własnych decyzji. Utrata poparcia przez obecną władzę i umocnienie się PiS będą skutkować tym, że kolejny lokator Pałacu Prezydenckiego również będzie dzierżył narodowo-katolicki sztandar. A wówczas dalej jedyne, na co będą mogły liczyć kobiety w kwestii ochrony swoich praw, to legislacyjna prowizorka.

MALWINA DZIEDZIC

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL; MATEUSZ SKWARCZYŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Gorące krzesło

Anna Siewierska

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka, była rektorka WSE.

Jesteśmy po wyborach samorządowych, ale kampania do wyborów europejskich jeszcze się nie rozkręciła, czas więc jest dobry na refleksję o wyborczej karuzeli, którą fundują nam politycy. Od kilku lat z rosnącym zdumieniem obserwuję zabawę w gorące krzesło: ledwie przyswoimy nazwiska świeżo wybranych posłów i senatorów, część z nich zaraz zawiesza swoje mandaty, żeby wystartować w kolejnej kampanii. Rzecz wydaje się normalna, w końcu nikt nikogo do stołka nie przywiązuje i zawsze pewna rotacja pod tym względem była – zwłaszcza że nie ma żadnych prawnych ograniczeń, a ryzyko straty jest żadne, bo mandat po przegranej kampanii można odwiesić. Podobne zjawisko występuje także w innych krajach europejskich, choć tam znacznie rzadziej, ogranicza je bowiem kultura polityczna, nakazująca politykom większy szacunek do wyborców i odpowiedzialność za złożone obietnice. A jeśli kolejny start, to tylko wyżej, bo wiadomo, że z ligi powiatowej do drużyny narodowej to nie wstyd. Za to odwrotnie, to już trochę obciach.

W Polsce tymczasem jedyną obowiązującą zasadą jest chłodna polityczno-finansowa kalkulacja, która nijak się ma do budowania kapitału społecznego. Kandydaci na parlamentarzystów z dumą prezentują swoje wielopunktowe programy i zapewniają o determinacji, aby je zrealizować, po czym kilka miesięcy później startują w kolejnych wyborach. I bezczelnie proszą o kolejny kredyt zaufania – tym razem do sejmików, urzędów miasta czy do Brukseli. Ba, już nawet nie tylko zwykli posłowie, ale nawet ministrowie potrafią zawiesić sprawowanie swoich obowiązków, aby sięgnąć po większą władzę, a jeszcze częściej – po większe pieniądze. Rekordziści uprawiają triatlon i startują we wszystkich trzech konkurencjach: samorządowych, parlamentarnych i europejskich. Niektórzy nawet z sukcesem, co tylko powiększa frustrację tych, co to raz wybrani tkwią na swoich pozycjach, licząc, że wyborcy docenią ich „poświęcenie".

Warto przy okazji wspomnieć, że osoby już sprawujące mandat stanowią dla innych kandydatów nierówną konkurencję, siłą rzeczy bowiem poseł czy senator ma większą rozpoznawalność niż najbardziej nawet zaangażowany w kampanię aktywista miejski czy działacz społeczny. W końcu co najmniej od czasu „Rejsu" wiemy, że „lubimy te piosenki, które już znamy". Pomijam już nawet kwestię pracy na rzecz państwa – przecież prowadząc kolejną kampanię wyborczą, polityk odkłada na bok obowiązki, do których sprawowania został demokratycznie wybrany. Państwo niestety to taki pracodawca, który w Polsce nie może liczyć na lojalność, zatem ten aspekt sprawy niemal nikogo nie interesuje. Więcej nawet – za normalne przyjęło się w naszym kraju, że politycy robią sobie kampanię za pieniądze podatników, występując na billboardach finansowanych a to ze środków ministerialnych, a to z funduszy miejskich czy nawet z unijnych dotacji. Wystarczy dorzucić w tle jakiś nowy budynek, krótki odcinek nowej drogi i podkładka pod kampanijne wydatki gotowa.

Tę sytuację ciągłej rotacji wystarczy przełożyć na poziom prywatnego pracodawcy, aby w całej rozciągłości dostrzec patologię zjawiska gorących krzeseł w polityce. Taki pracownik w żadnej szanującej się firmie posady nie utrzyma, za to za publiczne pieniądze może się bawić w nieskończoność. I w tym kontekście najzabawniej brzmią zatroskane głosy polityków rozczarowanych niską frekwencją wyborczą o „społeczeństwie, które nie dojrzało do demokracji". Ilu polityków do niej dojrzało, przekonamy się wkrótce po tym, jak partie ujawnią listy kandydatów do PE.

Fąfara bierze Orlen

Rada nadzorcza Orlenu 10 kwietnia wybrała **Ireneusza Fąfarę** na szefa płockiej grupy. Wynik konkursu okazał się zaskoczeniem. Z rywalizacji odpadł uchodzący za pewniaka Krzysztof Zamasz, były prezes Enei i dyrektor Veolii, który przez wiele tygodni miał poparcie Koalicji Obywatelskiej i szefa MAP Borysa Budki. Nieoficjalnie wiadomo, że Zamasz zabiegał o prawo do dobrania sobie współpracowników w zarządzie Orlenu, co spotkało się z oporem polityków. Ostatecznie przelicytował, a konkurs rozstrzygnięto na korzyść Fąfary.

Fąfara to ekonomista i zawodowy menedżer. Jeszcze w trakcie studiów na Akademii Ekonomicznej w Krakowie zaczął pracę w branży energetycznej jako specjalista ds. eksportu. W 1998 r. wszedł do zarządu ZUS, gdzie przez kolejne dziewięć lat odpowiadał za finanse ubezpieczyciela, a od 2003 r. również za jego informatyzację. W maju 2007 r., czyli pod koniec pierwszego rząd PiS, został szefem BGK i pozostał nim przez dwa pierwsze lata rządów PO-PSL.

– Menedżer ekumeniczny, dogada się z każdym – mówi jego były współpracownik.

W 2010 r. Fąfarze pracę zaproponował Jacek Krawiec, ówczesny szef Orlenu. Menedżer stanął na czele Orlen Lietuva, spółki kontrolującej rafinerię w Możejkach, która w tym czasie była jednym z najtrudniejszych aktywów płockiej grupy. Pozbawione dostępu do rosyjskiej ropy Możejki przynosiły straty, a rząd PO-PSL rozważał sprzedaż, co zaogniało relacje z Wilnem. Fąfara dał się wówczas poznać jako dobry negocjator; twardo bronił interesów Możejek, szczególnie w relacjach z litewskimi kolejami, które zawyżały stawki za transport ropy. Po przejęciu władzy przez PiS w 2015 r. zachował stanowisko, a konflikt z Litwinami udało się wygasić.

W 2018 r. Fąfara wszedł do rady nadzorczej funduszu Rockbridge, którego właścicielem jest Piotr Osiecki, inwestor oskarżony w aferze Getback (wyszedł na wolność po wpłacie 110 mln zł kaucji). W radzie funduszu zasiada też m.in. Paweł Wojciechowski, który niedawno został szefem nadzoru Poczty Polskiej, oraz były szef PERN i były wiceprezydent Warszawy Robert Soszyński, który również ma wejść do zarządu Orlenu. Ostatnie lata Fąfara poświęcił biotechnologii. Od 2020 r. stał na czele spółki 4CELL Therapies, rozwijającej technologie do leczenia nowotworów.

„Dobrze mi się z nim pracowało. Robił to, co do niego należało" – mówiła w 2009 r. o Fąfarze w rozmowie z „Rzeczpospolitą" była prezeska ZUS Aleksandra Wiktorow. Jej zdaniem jedyną wadą Fąfary była „zbyt mała asertywność". Prawdopodobnie ta cecha mogła przesądzić o jego zwycięstwie w konkursie na szefa Orlenu, ale nie zagwarantuje mu sukcesu w fotelu szefa płockiej grupy. (RTOM)

© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, MP

Twarz Iranu

To był największy w historii skoordynowany atak za pomocą dronów i różnych pocisków – było ich ok. 320. A także pierwsze bezpośrednie **uderzenie na Izrael** z terytorium Iranu. W sobotni wieczór Teheran przeprowadził atak odwetowy za zbombardowanie irańskiego konsulatu w Damaszku, w którym dwa tygodnie wcześniej zginęło siedmiu irańskich oficerów.

Wszystko było zapowiedziane. Szef irańskiego MSZ przekonuje, że zainteresowane strony – w tym USA, państwa arabskie i pośrednio Izrael – zostały poinformowane o ataku z 72-godzinnym wyprzedzeniem. Sam atak też nie był niespodzianką. Powolne irańskie drony musiały lecieć w kierunku Izraela co najmniej dziewięć godzin. Wystarczająco długo, żeby Izraelczycy się przygotowali.

Według izraelskiej armii żaden z dronów nie dotarł nad izraelskie terytorium. Podobnie jak 25 z 30 pocisków manewrujących. Obrona Izraela zestrzeliła też dużą część z największych pocisków balistycznych. W osłanianiu Izraela brali również udział obecni w regionie Amerykanie, Brytyjczycy i Jordańczycy. Według strony izraelskiej atak nie poczynił żadnych poważnych strat w infrastrukturze wojskowej. Irańczycy są innego zdania. W niedzielę twierdzili, że siedem pocisków doleciało do celu i izraelska baza Nevatim jest częściowo zniszczona.

Iran, przynajmniej retorycznie, próbuje jednocześnie obniżać napięcie. Jeszcze przed zakończeniem sobotniego ataku jego przedstawicielstwo przy ONZ oświadczyło, że „Iran uznaje sprawę za załatwioną", a szef irańskiego sztabu ogłosił, że akcja się powiodła i kolejne ataki nie będą potrzebne.

Zachodni sojusznicy jeszcze w poniedziałek namawiali Izrael do przerwania spirali przemocy. Prezydent Joe Biden pogratulował premierowi Beniaminowi Netanjahu „pełnego zwycięstwa", ale jednocześnie zapowiedział, że Ameryka nie weźmie udziału w żadnej kolejnej akcji odwetowej.

Bez względu na retorykę – w tym konflikcie żadnej ze stron nie zależy na pełnoskalowej wojnie. Obok dominującej opowieści o tym, że w rzeczywistości atak z 7 października został zaplanowany i zdecydowany w Teheranie, a tylko wykonany przez irańskich sojuszników z Hamasu (co wcale nie jest takie oczywiste), Netanjahu ma też długofalową strategię. Wydaje się, że izraelski premier zwątpił w plan porozumienia się z arabskimi potęgami – Arabią Saudyjską, Zjednoczonymi Emiratami i Egiptem. I w budowę z nimi antyirańskiego sojuszu, gwarantującego spokój w regionie po wycofaniu się z niego Amerykanów, którzy już od lat próbują się skupić na chińskim zagrożeniu. Stąd m.in. amerykański patronat nad izraelsko-arabskim zbliżeniem.

Wygląda na to, że dla Netanjahu to już za mało – że w imię bezpieczeństwa Izraela musi zatrzymać Amerykanów w regionie poprzez kontrolowane podwyższanie napięcia. Izrael musiał przecież wiedzieć, jaka będzie reakcja Iranu na uderzenie w irańską placówkę dyplomatyczną. Sprowokowany w ten sposób odwet jednocześnie pozwala Netanjahu wyjść z międzynarodowej izolacji wywołanej działaniami Izraela w Strefie Gazy. Podczas irańskiego ataku pełnego poparcia Izraelowi udzielili niemal wszyscy zachodni przywódcy, z prezydentem Bidenem na czele, który jeszcze kilka dni wcześniej krytykował izraelskie plany ataku na Rafah.

Iran też musi podtrzymywać napięcie, choć już nie tak wysokie. Izrael to dla irańskiego reżimu jedna z ostatnich politycznych kroplówek – źródeł legitymacji. Społeczne rozczarowanie stanem irańskiej gospodarki, ograniczaniem praw obywatelskich połączone z gwałtowną sekularyzacją już dawno zachwiałoby reżimem, gdyby nie irański nacjonalizm, skierowany przeciwko Zachodowi i jego „syjonistycznej ekspozyturze" na Bliskim Wschodzie. Ten nacjonalizm łączy zarówno religijnych i zagorzałych zwolenników reżimu, jak i jego świeckich przeciwników. Iran musiał więc odpowiedzieć na Damaszek, żeby nie wyszło, że nawet w tej sprawie sobie nie radzi.

W sobotnim ataku nie chodziło więc o to, aby zrobić przeciwnikowi krzywdę. Gdyby taki był cel Teheranu, na Izrael z bliska poleciałyby pociski Hezbollahu. Chodziło o wysłanie komunikatu – i to przede wszystkim do swoich sojuszników w regionie i do samych Irańczyków. Nieporadnie atakując Izrael, Iran ratował twarz.

ŁUKASZ WÓJCIK

Głosujący za młodu

W Belgii w czerwcowych eurowyborach po raz pierwszy będą głosować szesnastolatki – i to od razu obowiązkowo. Taką decyzję ogłosił właśnie belgijski Trybunał Konstytucyjny, a całą sprawę dorosłym udało się bardzo zagmatwać. Na początku najmłodsi wyborcy, którzy chcieliby zagłosować, mieli się dopisywać do list, tak jak np. unijni cudzoziemcy mieszkający w Belgii. Pomysł okazał się niekonstytucyjny, bo podważał zasadę równości praw. Zatem wycofano się z dopisywania, ale wprowadzono zasadę dobrowolności: wszyscy młodzi będą na listach, ale ten pierwszy raz niech głosują, jeśli chcą. Tu po raz kolejny wkroczył Trybunał i orzekł, że obowiązek uczestnictwa w wyborach (ustanowiony w 1893 r.) musi dotyczyć wszystkich, niezależnie od wieku. W ten sposób z sympatycznego zaproszenia do zaangażowania się w sprawy Unii wyszedł dodatkowy obowiązek. Żeby ratować sytuację, minister sprawiedliwości Paul Van Tigchelt zapowiedział, że w przypadku tej grupy odstąpi się od stosowania kar. Za absencję wyborczą grozi od 100 do 250 euro, ale w praktyce i tak zapis nie jest egzekwowany (w poprzednich eurowyborach absencja wyniosła 17 proc.). Ładna to lekcja konsekwencji. W dodatku aby uczestniczyć w odbywanych w tym samym czasie wyborach na szczeblu lokalnym i federalnym, trzeba mieć po staremu skończone 18 lat.

Eurowiek wyborczy obniżono do 16 lat jeszcze w Niemczech, Austrii i na Malcie, a w Grecji – do 17 lat. W sumie ta najmłodsza grupa stanowić będzie 2 mln wśród 366 mln eurowyborców. Na masę niewiele, ale chodzi o symbol. Unia chce ich zachęcić do aktywności, bo dotychczas w przedziale 18–25 lat osiągana jest najniższa frekwencja. Unia chciałaby też skoordynować minimalny wiek głosowania, ale na razie każdy z 27 krajów członkowskich decyduje po swojemu. To z kolei pierwsza lekcja o stanie unijnej integracji.

Front się kruszy

Region stołeczny Ukrainy stracił główne źródło elektryczności. Elektrownia trypilska, jedna z największych w kraju, została zniszczona w ataku rakietowym w miniony czwartek. Na zakład spadło kilkanaście pocisków, zabezpieczenia okazały się za słabe. Na apel o nowe systemy obrony powietrznej pierwsi odpowiedzieli Niemcy, ale pojedynczy zestaw Patriot nie obroni rozsianych po kraju bloków energetycznych. Firma Centrenergo, do której należała zbombardowana elektrownia, straciła wcześniej inne, pod Charkowem i w Donbasie. W tym samym czasie rosyjskie pociski spadły ponownie na największą hydroelektrownię pod Zaporożem. Kolejny pożar, nowe uszkodzenia, ale tama wciąż trzyma, a generatory pracują. Energetyczny front przez minione dwa lata trzymał się nadspodziewanie mocno, teraz zaczyna się chwiać. Już po marcowej fali bombardowań przedstawiciele odpowiedzialnej za większość elektrowni cieplnych firmy biznesowego oligarchy Rinata Achmetowa mówili o 80-proc. ubytku zdolności wytwarzania. Ukraina utrzymuje pracę trzech elektrowni jądrowych (największa zaporoska jest wyłączona i pod okupacją), wytwarza prąd ze słońca i wiatru, sporo też importuje – dzięki temu system wciąż działa. Ale szef resortu energetyki ostrzega przed wyłączeniami.

Frontowe miasto Orichiw na Zaporożu dziś jest zupełnie zrujnowane.

Front w Donbasie też się kruszy. Krasnohoriwka, Toneńkie – to kolejne miejscowości zajęte w powolnym marszu Rosjan na zachód. Na celowniku Kremla ma być jednak Charków, drugie co do wielkości miasto Ukrainy, leżące zaledwie 30 km od granicy, ale skutecznie obronione na początku inwazji. O tym, że Rosja przygotowuje ofensywę na tym kierunku, słychać kolejny raz, choć na razie marszu żadnej wielkiej armii nie widać – Rosjanie nacierają 100 km dalej na wschód. Dla Putina Charków mógłby być jednak namiastką Kijowa, może przyszłą stolicą okupowanej wschodniej Ukrainy. Na razie na Charkowie koncentrują się rosyjskie uderzenia – niemal codziennie ludzie giną pod bombami i rakietami. Prezydent Wołodymyr Zełenski mówi o przyspieszeniu budowy fortyfikacji, a regionalne władze rozważają ewakuację już nie tylko z przygranicznych rejonów. To zaczyna wyglądać na przygotowania do oblężenia. Wizja powtórki z Mariupola i Bachmutu do potęgi może budzić przerażenie, ale walki o milionową metropolię byłyby krwawą pułapką przede wszystkim dla agresorów.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Przetarły szlak

To orzeczenie historyczne, które wpłynie na kształt zobowiązań klimatycznych Europy. Tak o wyroku Europejskiego Trybunału Praw Człowieka mówią prawnicy, którzy w trwającej dekadę kampanii wspierali 2,5 tys. Szwajcarek skupionych w stowarzyszeniu KlimaSeniorinnen. Panie mają po 64 lata i więcej. Zaskarżyły rząd w Bernie, zarzucając mu bierność w ograniczaniu emisji gazów cieplarnianych. Twierdziły, że zaniechania niosą szkody prawom człowieka, ponieważ podwyższona temperatura atmosfery sprzyja występowaniu letnich fal upałów, niebezpiecznych dla osób starszych, zwłaszcza kobiet, które podczas skwaru są w większym stopniu narażone na ryzyko wystąpienia stanów poważnego zagrożenia zdrowia lub nawet utraty życia.

Wyroki ETPC są wiążące dla 46 krajów członkowskich Rady Europy. Są ostateczne, nie ma od nich drogi odwoławczej. Rząd szwajcarski zapowiedział, że zapozna się z uzasadnieniem. Jeśli nie chce narazić się na kary finansowe i międzynarodową infamię, będzie musiał krajowe emisje ścinać. Ależ to absurd, oburza się szwajcarski centro-prawicowy dziennik „Neue Zuercher Zeitung", ostrzegający przed „orzecznictwem aktywistycznym", bo taki finał historii seniorek może torować drogę roszczeniom o dowolnej naturze.

Faktycznie, to pierwsze orzeczenie międzynarodowego trybunału, który uznał, że zaniechania władzy w przeciwdziałaniu kryzysowi klimatycznemu uderzają w prawa człowieka. Pokazuje też, że obywatele mogą na podstawie przesłanek klimatycznych skutecznie zmuszać rządy do zdecydowanej akcji. W strasburskim trybunale czekają kolejne sprawy, m.in. przeciw Norwegii – tu łamać prawa człowieka mają nowe koncesje na wydobycie ropy naftowej i gazu ziemnego.

Roszczenia takie nie są jedynie domeną Europy. Indyjski sąd najwyższy dopiero co uznał, że obywatele mogą się skarżyć na te skutki zmian klimatycznych, których można było uniknąć. Tu punktem wyjścia była kondycja jednego gatunku ptaków, dropia indyjskiego, zagrożonego wyginięciem. Statystyki podobnych spraw, które zostały wniesione do sądów międzynarodowych i krajowych, prowadzi Program Narodów Zjednoczonych ds. Ochrony Środowiska. O ile w 2017 r. było nieco ponad 800 przypadków, o tyle w 2022 r. liczba powództw wzrosła do blisko 2,2 tys. A trend ten ma się dopiero rozpędzać, spraw będzie przybywać, co wynika ze wzrostu świadomości klimatycznej obywateli i towarzyszącej jej frustracji z pozorowanych działań władzy i biznesu.

Kraków: napięcie rośnie

Wynik dogrywki wyborów prezydenckich w Krakowie pozostaje niepewny. Ale Aleksander Miszalski już sprawił wielką niespodziankę.

KRZYSZTOF BURNETKO

Jeszcze przed pierwszą turą walka wyborcza była – jak na galicyjskie obyczaje – ostra. Teraz, kiedy okazało się, że miasto będzie wybierać prezydenta w dogrywce, napięcie wzrosło. Najpierw nerwy puściły kandydatowi Łukaszowi Gibale. Był zdecydowanym liderem sondaży, a przegrał, i to o ponad 10 pkt procentowych. Najwięcej głosów zyskał bowiem kandydat Koalicji Obywatelskiej Aleksander Miszalski.

Podczas powyborczego wieczoru Gibała obrzucił głównego teraz konkurenta kąśliwościami. Epitet „hotelowy baron" miał przypominać, że obecny poseł Platformy prowadził kiedyś w mieście firmę turystyczną, a jeden z należących do niej hoteli mieścił się w kamienicy będącej podczas okupacji siedzibą gestapo. Stronnicy Gibały przypominali, że to tam „barbarzyńcy niemieccy torturowali i mordowali tysiące Polaków". Padła też sugestia, że krąg biznesowy Miszalskiego odpowiada za zalew miasta hordami pijanych turystów. Równocześnie Gibała sam uznał się za ofiarę negatywnej kampanii. Rozpętać ją miało lobby deweloperów, któremu zależy na dalszym „betonowaniu" i „turystyfikacji" Krakowa. Oczywiście w domyśle z tą grupą ma wciąż być związany kontrkandydat.

Tymczasem coraz powszechniej zaczęły krążyć pod Wawelem informacje dotyczące finansowego zaplecza samego Łukasza Gibały oraz wątpliwości co do jego rzeczywistych intencji. Słynna stała się skala zadłużenia prowadzonych przez niego spółek – sięga ponad 230 mln zł. Gibała stara się o prezydenturę już trzeci raz. Od lat przedstawia się jako sprawny menedżer i osoba niezależna – zarówno politycznie, jak i finansowo. Tyle że nawet jeśli źródłem gigantycznych pożyczek jest spółka kontrolowana przez jego ojca (która zresztą ponoć wobec fiskusa deklarowała, że takich pieniędzy w okresie udzielenia pożyczki nie wypracowała), to dług jest długiem, a dłużnik pozostaje w zależności, zwłaszcza wobec wierzyciela. Leszek Gibała prowadzi w Krakowie rozległe interesy, na początku wolnej Polski dorobił się na hurtowym handlu alkoholem, potem dołączyła do tego deweloperka. Tą trudni się też brat kandydata. Taka sieć powiązań i interesów w mieście musiała wywołać podejrzenia, że prawdziwym celem starań Gibały jest opanowanie miasta przez rodzinny klan. W końcu Łukasz Gibała ogłosił, że pozbędzie się swojej firmy, przekazując jej udziały ojcu.

Choć te trudne pytania zaczęły być stawiane publicznie, adresat nie udzielił na nie odpowiedzi – poza zapewnieniem, że ma środki na spłatę zobowiązań. Obiecuje też, że jeśli zostanie prezydentem, rodzina nie będzie prowadzić w mieście deweloperki.

Innym polem boju stały się powiązania polityczne. Oto symbolicznie, bo pod miejskim magistratem, nowo wybrani radni z ekipy Łukasza Gibały zapewnili, że nie będą podczas kadencji korzystać z fuch w miejskich spółkach. Hasło spotkania kładło jednak akcent na co innego, bo brzmiało: „Kraków wolny od partyjniactwa". Sam kandydat grzmiał: „W drugiej turze mamy wybór pomiędzy Krakowem dla mieszkańców a Krakowem dla partyjnych działaczy". To aluzja do politycznych tonów w kampanii przeciwnika. Wszak Aleksander Miszalski – a także wspierający go ostatnio Donald Tusk – traktują bitwę o Kraków jako element ogólnopolskiej walki z PiS. Na wystawionym pod urzędem banerze znalazła się deklaracja: „Kraków wolny od Warszawy". To kolejna aluzja do konkurenta – otóż jednym z argumentów za Miszalskim ma być to, że jest on działaczem ugrupowania sprawującego rządy w kraju, może więc liczyć na przychylność w stolicy.

Sam Miszalski natomiast stawia na emocje nie tyle polityczne, co miejskie. Podczas powyborczego wieczoru poprosił jednak dotychczasowych rywali – Andrzeja Kuliga (wieloletniego wiceprezydenta) i Rafała Komarewicza (radnego z Polski 2050 Szymona Hołowni) – by teraz wsparli jego kandydaturę.

Lokalne struktury PiS wezwały sympatyków do pójścia 21 kwietnia do urn. Dopuszczono „zagłosowanie zgodnie z własnym osądem", ale dodano: „Odradzamy głosowanie na Aleksandra Miszalskiego, posła partii Donalda Tuska".

Teraz o prezydenturze Krakowa ponownie mogą więc zdecydować zwolennicy PiS. Sama Beata Szydło ogłosiła, że nie miałaby problemu, by „zagłosować na pana Gibałę". Szydercy przypominają na to, że Gibała wzywał kiedyś do otoczenia PiS „kordonem sanitarnym". I że wspiera go równocześnie radykalna lewica z partii Razem.

Ludzie ze sztabu Miszalskiego komentują: „Nie od dziś jest jasne, że Gibała to człowiek bez właściwości. Był już wszędzie: w konserwatywnym Klubie Jagiellońskim, w naszej Platformie, a potem w Ruchu Palikota. Teraz zadzwonił o wsparcie do PiS".

Aby wesprzeć Miszalskiego, zjechał do Krakowa sam Rafał Trzaskowski – też przecież kojarzony z tym miastem, choćby z racji jazzowych związków ojca. W jego obecności kandydat PO zadał publicznie Łukaszowi Gibale fundamentalne pytanie: – Popiera cię Barbara Nowak, Beata Szydło. Przyjmujesz to poparcie?

Tak czy tak, o prezydenturze Krakowa może zdecydować karny elektorat PiS. Chyba że dyscypliną ponownie wykażą się zwolennicy koalicji 15 października.

© TOMASZ PIETRYKA/AGENCJA WYBORCZA.PL

Wrocław: brudne pytania

We Wrocławiu zmierzą się dotychczasowy prezydent Jacek Sutryk i Izabela Bodnar, posłanka Trzeciej Drogi, polityczna debiutantka.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Tej rywalizacji pikanterii dodaje fakt, że w sieci bez problemów można znaleźć ich wspólne przyjazne zdjęcia z kampanii do Sejmu w 2023 r.

Druga tura we Wrocławiu zdarzyła się raz – w 2014 r. kandydatka Prawa i Sprawiedliwości Mirosława Stachowiak-Różecka, startując z hasłami ruchów miejskich, doprowadziła do tego, że ówczesny prezydent miasta Rafał Dutkiewicz też musiał prowadzić intensywną kampanię. Ostatecznie wygrał. A dzisiaj przed drugą turą peregrynuje również Jacek Sutryk, którego w 2018 r. Dutkiewicz namaścił na swojego następcę, by w 2024 r. za jego prezydenturę przeprosić. I postawić na jego rywalkę.

Kto ma szansę na wygraną w tym wyścigu? Zakłady bukmacherskie są zmienne, ostatnio podobno w sondażach prowadzi Bodnar.

Do Wrocławia przyjechała Aleksandra Dulkiewicz, która w Gdańsku wygrała już swoją drugą kadencję. Poparła Jacka Sutryka. – *Ale szalę przeważyłby przyjazd Donalda Tuska, który poparł Sutryka przed pierwszą turą, ale jakoś anemicznie, w dodatku dzieląc dolnośląską Platformę Obywatelską. Bo poparcie Sutryka zamknęło drogę do startu Michałowi Jarosowi, szefowi partii w regionie, a zamknęło, bo „Tusk Jarosa nie lubi"* – mówi jeden z działaczy Platformy.

Jak na razie we Wrocławiu pojawił się Michał Kamiński, dawny spin doktor Prawa i Sprawiedliwości, od dawna z PiS na wojennej ścieżce, obecnie poseł Trzeciej Drogi. Jest pełnomocnikiem Izabeli Bodnar do spraw debaty, choć jak na razie kandydaci do niej się nie rwą.

A trudnych pytań jest naprawdę dużo, i to w przypadku obojga. W mediach roi się od kpin, że Wrocław to miasto, w którym mąż kandydatki ma zarzuty korupcyjne i fałszowania dokumentów, jej szwagier wyprowadzania pieniędzy, jej rywal zaś ma dyplom MBA z Collegium Humanum.

– *Napotykam ostatnio falę zmasowanego hejtu, który osobiście mnie dotyka, zwłaszcza że używa się mojego męża jako narzędzia w tej napaści. Według informacji od Fundacji Otwarty Dialog jest on wśród osób doświadczających represji ze strony prokuratury kierowanej przez Zbigniewa Ziobrę. Firma męża działa bez zarzutu, co potwierdzają wszystkie przeprowadzone kontrole, które nigdy nie wykazały żadnych nieprawidłowości* – tłumaczy Izabela Bodnar.

Przed drugą turą wyborów prezydenckich we Wrocławiu wiadomo, że ktokolwiek ją wygra, będzie de facto zakładnikiem rady miejskiej. Trzecia Droga i Izabela Bodnar nie mają w niej ani jednego radnego. Jacek Sutryk ma ich sześciu, w dodatku do rady wprowadził głównie lewicę. Najliczniejszy jest klub KO, w którym silną grupę tworzą aktywiści miejscy i radni osiedlowi.

Debiutujący w roli radnego – wszedł z listy komitetu Jacka Sutryka – związany z Lewicą dr Robert Maślak, biolog, aktywny w mediach społecznościowych, przyznaje, że te wybory pokazały, iż choć wielu młodych ludzi ma lewicowe poglądy, zwłaszcza kobiety, to na Lewicę jednak nie głosują.

A Marcin Murzyński, lider stowarzyszenia Wrocław dla Demokracji, organizujący w tym mieście protesty w obronie wolnych sądów, dodaje: – *Radnymi miejskimi zostali kandydaci z rad osiedli i ruchów miejskich, którzy od lat są najbliżej mieszkańców i starają się rozwiązywać ich najdrobniejsze problemy. Wynik Izabeli Duchnowskiej – 5230 głosów – to najlepsze świadectwo takiej pracy.*

Do rady weszła np. kandydatka, która miała limit na kampanię 700 zł. No to pokserowała kartki z tekstem: „Nie głosuj na tych partyjnych nominatów, tylko zagłosuj na osiedlowca i twojego sąsiada. I porozwieszała je na klatkach schodowych, dodając swoje nazwisko, listę i numer.

Jacek Sutryk, który dorobił się silnego negatywnego elektoratu zarzucającego mu przede wszystkim arogancję, zwłaszcza w mediach społecznościowych, na finiszu kampanii wyraził skruchę. „Jeżeli ktokolwiek się poczuł dotknięty, to ja najmocniej przepraszam. Pracujmy razem dla Wrocławia" – powiedział na antenie Radia Wrocław na tydzień przed ciszą wyborczą.

Ostatni przedwyborczy weekend był gorący nie tylko dzięki prawie letniej pogodzie. Na spotkanie z Bodnar przyszła grupa mieszkańców domagających się wyjaśnień w związku z działalnością firmy jej męża. Była też walka na oświadczenia – Jacek Sutryk odniósł się do zdjęcia pokazanego przez jego kontrkandydatkę. To słynna fotografia Stalina, z której znikali kolejni aresztowani w czasie stalinowskich czystek. Na jednym fotomontażu Sutryk stoi obok Stalina, który zamiast twarzy ma plakat z logo PO.

Swoje oświadczenie wydała też Izabela Bodnar, podkreślając, że jest bezprecedensowo atakowana. Zapowiedziała też na platformie X procesy w trybie wyborczym. ■

© TOMASZ PIETRYK/AGENCJA WYBORCZA.PL
© ANTON BARBAROWSKI/EAST NEWS

Kielce: starcie kontrastów

To prawda, że Świętokrzyskie jest bastionem PiS. Ale Kielce niebawem mogą mieć pierwszą progresywną prezydentkę Agatę Wojdę.

NORBERT FRĄTCZAK

Ona: lat 42, rodowita kielczanka, politolożka, aktywistka miejska, społeczniczka, wieloletnia radna, wiceprezydentka Kielc, szefowa sejmowej kampanii wyborczej PO.

On: lat 31, prawnik, założyciel Stowarzyszenia Patriotycznego, radny jednej kadencji, zastępca świętokrzyskiego komendanta Ochotniczych Hufców Pracy, przewodniczący klubu PiS w Radzie Miasta.

„Agata, Agata, Agata" – krzyczało 200 osób zebranych na wieczorze wyborczym KO w Kieleckim Centrum Kultury 7 kwietnia, gdy na ekranie pojawił się sondaż Ośrodka Badawczego Dobra Opinia, który dawał Agacie Wojdzie ponad 40 proc. głosów. Później, w *exit poll* poparcie stopniało o kilka punktów, żeby ostatecznie zatrzymać się na 33,63 proc., które i tak dały jej prowadzenie w pierwszej turze wyborów na prezydenta Kielc.

Marcin Stępniewski z PiS według sondaży miał w ogóle nie wejść do drugiej tury. Dobra Opinia widziała w niej, prócz Wojdy, Macieja Burszteina ze stowarzyszenia Przyjazne Kielce (zebrał 18,64 proc.). Jeszcze wcześniej sondażownia typowała innego kandydata – Kamila Suchańskiego (otrzymał 14,26 proc.). Tak czy inaczej mało kto się spodziewał, że kandydat PiS ma szansę na dogrywkę. Ale wyszło inaczej – Stępniewski zdobył 25,05 proc. głosów, o blisko 3 pkt więcej, niż dawał mu *exit poll*.

O urząd starało się jeszcze pięcioro kandydatów, w tym trzech przedstawiających się jako doświadczeni biznesmeni. Wykosztowali się na kampanie, oblepili miasto i sieć swoimi wizerunkami, a na koniec okazało się, że kielczanie chcą po prostu kolejnej bitwy największych ogólnopolskich ugrupowań politycznych.

To nie do końca prawda, że Kielce są miastem pisowskim. Żaden z prezydentów nie wywodził się wprost z partii Kaczyńskiego, choć najdłużej urzędujący – Wojciech Lubawski – kilka razy startował z jej poparciem. Racja, w poprzedniej kadencji Rady Miasta PiS zdeklasował konkurencję, zdobywając rekordowe 10 mandatów, ale w obecnej tyle samo zdobyła KO: czterech mają Przyjazne Kielce, a jednego Lewica.

Jeżeli już łączyć Kielce z jakąś opcją polityczną, to prędzej z lewicą, ale tą z czasów Aleksandra Kwaśniewskiego, który pod koniec lat 90. sprzeciwił się administracyjnemu podziałowi Polski bez regionu ze stolicą w Kielcach, zostając ojcem chrzestnym i największym bohaterem województwa świętokrzyskiego. Kolejnym był Przemysław Gosiewski z PiS, współpracownik braci Kaczyńskich, który ma w Kielcach nawet swoją ulicę i pomnik.

Prawo i Sprawiedliwość długo zwlekało z ogłoszeniem swojego kandydata do urzędu prezydenta Kielc. W partii wahano się nawet, czy w ogóle przystępować do tych wyborów. Mówiło się, że nie ma w mieście osobowości, która zmobilizuje wyborców. Ostatecznie postawiono na młodego i niezbyt znanego, ale za to bardzo aktywnego Marcina Stępniewskiego.

Stępniewskiego pamięta się z płomiennych, nieco teatralnych przemówień podczas posiedzeń rady miasta, w których ostro recenzował poczynania prezydenta Bogdana Wenty. Chętnie korzystał z podporządkowanych PiS mediów publicznych – każda jego interpelacja, a pisał ich wiele, od razu stawała się tematem nr 1 w Radiu Kielce czy lokalnej TVP. To pozwoliło mu zbudować pewną rozpoznawalność, ale nie na tyle dużą, żeby wybić się na tle partii – w pierwszej turze zdobył o 5 pkt proc. mniej niż PiS w wyborach do rady miasta.

Na korzyść Stępniewskiego przemawia mobilizacja elektoratu PiS w regionie oraz to, że jest zagorzałym kibicem Korony Kielce, której mecze potrafią ściągnąć na miejscowy stadion kilkanaście tysięcy kielczan.

Agata Wojda do PO wstąpiła na początku studiów, w 2001 r. Platforma nie była wtedy jeszcze partią, tylko stowarzyszeniem, i organizowała pomoc dla poszkodowanych powodzią, która dotknęła 63 świętokrzyskie gminy. Wojda się zaangażowała, poznała ludzi, a chwilę później były już wybory parlamentarne, w których też pomagała.

Później były liczne akcje społeczne, mandat radnej (w latach 2010–21), wreszcie stanowisko wiceprezydentki miasta (2021–23). Niektórzy zarzucali jej, że u niezależnego prezydenta Bogdana Wenty zajmowała się „przyjemnościami" – rzeczywiście, Wojda odpowiadała za zieloną politykę i los zwierząt w mieście, ale też komunikację publiczną i odpady komunalne – obszary zdecydowanie niewdzięczne. – *Wiele osób śmieje się, że w wyborach zawsze jestem najbardziej lewicową kandydatką, mimo że lewica też wystawia u nas kandydatów* – przyznaje. Bo Agata Wojda raczej nie goniła za poglądami swojej partii, to Platforma ostatecznie dojrzała, by mieć poglądy podobne jak Wojda.

W programie zapowiada m.in. modernizację osiedli poprzez budowę parków kieszonkowych, wprowadzenie całodobowej infolinii dla mieszkańców, zniżki na komunikację miejską, ożywienie centrum miasta, programy stypendialne.

Ale o tym, kto zostanie prezydentem Kielc, zadecydują wyborcy Macieja Burszteina i Kamila Suchańskiego – dwóch najsilniejszych kandydatów, którzy odpadli z wyścigu w pierwszej turze. – *Intuicja podpowiada, że wyborcom Burszteina bliżej będzie do Agaty Wojdy, Suchańskiego zaś do Marcina Stępniewskiego* – mówi dr Bartłomiej Zapała, politolog i wieloletni dziennikarz Radia Kielce. A to by znaczyło, że Agata Wojda jest bardzo blisko sukcesu.

Gdynia: burza w porcie

Najlepiej dla Gdyni by było, żeby Aleksandra Kosiorek i Tadeusz Szemiot się dogadali i przy pomocy fachowców wspólnie rządzili miastem.

RYSZARDA SOCHA

Zdobywał prezydenturę w pierwszym podejściu, uzyskując w apogeum 87,4 proc. (2010 r.). Potem zaczął się powolny zjazd – 79 proc. w 2014 r., 67,8 proc. w 2018 r. To wciąż wynik do pozazdroszczenia. A teraz ten pewniak nie załapał się do drugiej tury (23,53 proc.). Przegrał z nowicjuszką Aleksandrą Kosiorek z Gdyńskiego Dialogu, federacji części ruchów miejskich (34,43 proc. głosów) i Tadeuszem Szemiotem z PO (25,85 proc.), kandydatem szerokiej koalicji (KO, Lewica, Razem, Zieloni, części ruchów miejskich). To ta dwójka w dogrywce powalczy o władzę w Gdyni.

Dlaczego gdynianie tak radykalnie powiedzieli Wojciechowi Szczurkowi nie? Jemu i jego politycznemu wehikułowi – Samorządności, która latami dominowała w radzie miasta (ostatnio 18 na 28 radnych). Można zrobić listę kontrowersyjnych decyzji, popełnionych błędów, niespełnionych obietnic. Ale nie to jest najważniejsze. Gdynianie pokochali blask sukcesu, mierzonego głównie porównaniami z Gdańskiem – dużo większym, mającym więcej problemów, ale i możliwości rozwojowych. Z czasem jednak Gdańsk wyrwał się do przodu, zostawiając Gdynię w zadyszce. Sam Szczurek stracił świeżość spojrzenia, energię i popadł w rutynę. Łatwo o to, gdy opozycja jest słaba, w radzie miasta ma się maszynkę do głosowania, a w magistracie okrzepłe kadry urzędnicze. Trudno wtedy o sygnały ostrzegawcze.

Do tego w Gdyni, inaczej niż w innych dużych miastach, długo nie było ruchów miejskich, punktujących słabości, z własną wizją. Zaistniały dopiero w ostatnich latach, gdy mieszkańcy zaczęli być zmęczeni i rozczarowani swym włodarzem. I w tych wyborach odegrały dużą rolę. Dopiero w tych, bo rządy PiS w kraju nie sprzyjały zmianie. Nie szuka się nowych mebli do mieszkania w dobie trzęsienia ziemi. Radykalizm zmiany, jaką przyniosły te wybory, zaskoczył wszystkich – i wybieranych, i wyborców, którzy nawiasem mówiąc, dotąd nie znali czegoś takiego jak druga tura. Ilu pójdzie do urn raz jeszcze?

Wiadomo już, że nie obejdzie się bez koalicji w radzie, bo żadna z sił nie uzyskała większości. Najwięcej radnych (13) wprowadziła szeroka koalicja pod wodzą Szemiota, który w dogrywce będzie rywalizował z Aleksandrą Kosiorek z Gdyńskiego Dialogu (siedmiu radnych). Szczurkowa Samorządność ma pięciu radnych, a PiS trzech.

Fotel prezydenta jest wciąż w grze. I wyborcy mają twardy orzech do zgryzienia. Co wiadomo o pretendentach? Tadeusz Szemiot (47 lat, lider PO w Gdyni) jest ekonomistą. Pracuje w grupie Energa, gdzie zajmuje się audytem i kontrolą. Samorządowiec z 20-letnim stażem, najpierw radny dzielnicy, od 2006 r. radny. Definiuje się jako „liberał o umiarkowanych poglądach". Aktywiści, którzy weszli do koalicji z PO, doceniają jego koncyliacyjność oraz to, że jako radny wspomagał ich w sytuacjach, gdy potrzebny był dostęp do informacji, wsparcie dla różnych społecznikowskich pomysłów. Pozytywnie postrzegają też to, że Szemiot nie miał wsparcia struktur PO wyższego szczebla, był niejako bardziej samorządowy niż partyjny.

Jego rywalka Aleksandra Kosiorek, 39-letnia radczyni prawna, nie jest związana z żadną partią. Bardzo dobrze wypada w debatach. Szybko jednak pojawił się dylemat związany z jej poglądami. Kosiorek była organizatorką Strajku Kobiet, współpracowała z Prawniczkami Proaborcyjnymi, ale w jednej z debat, gdy padło pytanie, który z kandydatów na prezydenta poszedłby w Marszu Równości, nie wyraziła chęci (na „tak" byli i Szemiot, i konserwatywny Szczurek).

– *Mam obawę o jej samodzielność, powodowaną brakiem doświadczenia samorządowego* – mówi Łukasz Piesiewicz z Miasta Wspólnego, które sprzymierzyło się z KO. – *A to prezydent czy prezydentka otrzymuje od wyborców mandat, nie zaplecze.* To nie przypadek, że aktywiści miejscy, którzy z reguły partii nie kochają, nie poszli ławą z Gdyńskim Dialogiem. Nie mają zastrzeżeń do Kosiorek, tylko do osób w jej cieniu. Są tam przedstawiciele mocno prawicowych środowisk kibicowskich. Jest Zygmunt Zmuda-Trzebiatowski, który włożył w kampanię spore pieniądze, samemu nie kandydując. To doświadczony samorządowiec, który był radnym Samorządności, nawet przewodniczącym rady miasta. Ale wyszły na jaw jego związki z Marcinem Horałą z PiS (jedna ósma etatu w biurze poselskim). W 2018 r. Zmuda-Trzebiatowski wystartował jako rywal Szczurka do fotela prezydenckiego. Bez sukcesu.

Gdynianie wciąż pamiętają Franciszkę Cegielską, charyzmatyczną poprzedniczkę Szczurka. Do tego w pierwszej turze wyborów w Gdańsku i Sopocie wygrały kobiety. Zatem jest klimat dla trzeciej trójmiejskiej prezydentki. Ale są też wspomniane już dylematy. Martyna Regent, gdynianka z Watchdog Polska, monitorująca wybory, dostrzega zalety i Kosiorek, i Szemiota: – *Najlepiej byłoby, gdyby się oboje dogadali, że wygrany zostanie prezydentem, a przegrany wice. I że na kluczowe stanowiska w urzędzie zatrudnią fachowców, ekspertów spoza kręgów, które ich wsparły w wyborach. To rozwiałoby wątpliwości.*

Gdyby ogłosili przed dogrywką taki pakt, gdynianie mogliby się nie martwić o to, czym się skończy ten ich rewolucyjny zryw. ■

Troski Tuska

Wybory samorządowe były pierwszym testem mającym pokazać, jak Tuskowi (i całej koalicji) udaje się odbudowa Polski po ośmiu latach rządów Kaczyńskiego. I jak Kaczyńskiemu udaje się przeżyć w państwie, którym już nie rządzi. Co teraz wiemy?

CEZARY MICHALSKI

ILUSTRACJA MARTA RUSZKOWSKA

Żadna ze stron nie może być zadowolona. Ani Tusk, który postawił wszystko na „mijankę z PiS", ani Kaczyński, który stracił kolejne województwa, a więc także kolejne setki synekur dla swoich partyjnych żołnierzy. Koalicji Obywatelskiej najbardziej może zaszkodziło przedwyborcze podnoszenie poprzeczki oczekiwań. „Na pewno prześcigniemy PiS", „będziemy rządzić w co najmniej 15 województwach, a może nawet we wszystkich" – takie deklaracje powtarzali rozpoznawalni politycy KO, co było błędem, w którego konsekwencji faktyczny wynik koalicji jeszcze bardziej rozczarował jej zwolenników. A Kaczyńskiemu pozwolił przynajmniej udawać, że zachowa nad prawicą kontrolę przez kolejne lata.

Po swoim powrocie do władzy Donald Tusk w ramach „bardziej precyzyjnej polityki miłości" chciał skupić konflikt na Kaczyńskim i PiS (rozliczenia, komisje śledcze, precyzyjne i ograniczone czystki), a jednocześnie uwolnić od nadmiernego konfliktu agendę realnego rządzenia.

W jednym ze swoich pierwszych wpisów na portalu X, już w roli premiera rządu RP, 16 stycznia ogłaszał: „My tymczasem załatwiamy ludzkie sprawy: budżet do końca tygodnia, granica

odblokowana, 800+ dla wszystkich szybciej niż przewidziano w ustawie. Maszyna ruszyła!". A tuż po deklaracji uwolnienia unijnych pieniędzy z KPO 23 lutego, także w serwisie X, Tusk napisał: „Mamy praworządność. Mamy 600 miliardów. Przed nami kolejny wielki cywilizacyjny skok!". Przez cały ten czas najmocniejsze asertywne formuły Tuska w rodzaju „mamy to!", „dowieźliśmy!", „maszyna ruszyła!", za każdym razem dotyczyły nie rozliczeń, ale właśnie agendy bieżącego rządzenia.

Oczywiście Tusk mówił też o rozliczeniach PiS, szczególnie gdy chciał nadać swemu wizerunkowi jako lidera koalicji 15 października więcej twardości i zdecydowania. Jednak szefem sejmowego zespołu ds. rozliczeń rządów prawicy uczynił Romana Giertycha (akceptowanego w tej roli przez elektorat KO, jednak uważanego przez wyborców „liberalnej Polski" wciąż za osobę, której trochę trzeba się wstydzić). Sam Donald Tusk był od realnej polityki.

Poszerzenie pola walki

Dwa problemy utrudniły realizację tego poprawnego podziału priorytetów i funkcji. Po pierwsze, Kaczyński szybko przebudził się po nokaucie, jakim była dla niego utrata władzy. I użył wszystkich swoich zasobów personalnych, instytucjonalnych, które w ciągu ośmiu lat zgromadził, aby konflikt PiS–PO nie pozostał w wyznaczonych przez Tuska ramach. Od końca grudnia 2023 r. oficjalnym hymnem Prawa i Sprawiedliwości stała się zmodernizowana wersja „Roty", kończąca się słowami: „Twierdzą nam będzie każda prokuratura i sąd, każdy budynek TVP, każda spółka Skarbu Państwa, każdy państwowy urząd, w którym mamy jeszcze swoich ludzi, w tym także każda ambasada RP".

Do pewnego stopnia taktyka poszerzania pola konfliktu się Kaczyńskiemu udała. Po awanturze w mediach, po rozróbie w prokuraturze, przy trwającej przepychance w sądach, wobec rozpoczynającej się batalii w dyplomacji... rządy Tuska nie są jak na razie znakiem uspokojenia sytuacji w Polsce, ale symbolem dalszego konfliktu, może nawet bardziej zradykalizowanego. To się na dłuższą metę Tuskowi nie opłaca, bo on teraz rządzi i ze wszystkich obietnic wyborczych, które powinien był „dowieźć", najważniejsze jest jednak dostarczenie Polakom świętego spokoju po ośmiu latach rządów Kaczyńskiego.

Jest i druga przeszkoda na drodze realizacji tego dobrze pomyślanego przez Tuska rozdzielenia „rozliczeń" (czyli precyzyjnego uderzenia w politycznego przeciwnika, bardzo istotnego dla twardego antypisowskiego elektoratu) od agendy bieżącego rządzenia (ważnej dla wyborców niezdecydowanych i bardziej kapryśnych). Jest nią względna słabość koalicyjnego rządu i całej, najszerzej rozumianej ekipy, z jaką pracuje Tusk. Peeselowscy ministrowie ewidentnie nie są jego najmocniejszą stroną i Tusk będzie chciał ich zastąpić – nawet tych, których nie da się wysłać do europarlamentu. Za każdym razem jednak konieczne jest przekonanie koalicjanta, danie mu czegoś w zamian, a nawet ostrożne wyrażanie własnych wątpliwości co do poszczególnych ministrów.

Jednak są też problemy w resortach rządzonych przez KO, a nawet w samym klubie i partii. Jak mówi jeden z polityków Koalicji Obywatelskiej: „to nie jest rząd Tuska z 2007 r., kiedy Grabarczyk, Schetyna, Zdrojewski..., mocni politycy, nie zawsze lubiani przez Tuska, byli przez niego zagospodarowani. To raczej rząd (a także kierownictwo klubu i partii) według modelu z 2011 r. Ludzie, których Tusk lubi, albo tacy, których Tusk uważa za zupełnie niegroźnych i niepodmiotowych".

Także „100 konkretów na 100 dni" Donalda Tuska, z których zaczęto rozliczać jego rząd tuż przed pierwszą turą wyborów samorządowych, to przede wszystkim pojedynek dwóch najbardziej politycznie nacechowanych obietnic: 800 plus kontra podniesienie kwoty wolnej od podatku z 30 do 60 tys. zł. 800 plus, czyli konkret będący obietnicą Kaczyńskiego i rdzeniem oferty socjalnej PiS, został przez Tuska zrealizowany natychmiast, i to w stu procentach. Podniesienie kwoty wolnej od podatku, czyli konkret adresowany do klasy średniej, stanowiącej rdzeń elektoratu KO, nie został zrealizowany wcale, a perspektywę jego realizacji premier odsunął już nawet nie na przyszły rok, ale – na razie – na 2026.

Gdyby w tym roku rozpoczęto wypełnianie tej obietnicy, podnosząc np. kwotę wolną od podatku o 10 tys. zł i przedstawiając harmonogram dalszych zmian, choćby rozpisany na całą kadencję, kwasu byłoby mniej. Jednak wybrano opcję zero-jedynkową. I to bliżej zera. Podobnym rozczarowaniem dla istotnej części elektoratu koalicji było zamieszanie ze składką zdrowotną dla przedsiębiorców i pozostawienie absolutnej resztki z obietnicy znaczącego obniżenia podatku Belki.

Donald Tusk zapewne uznał, że ważniejsza jest demobilizacja elektoratu PiS niż utrzymanie mobilizacji elektoratu własnego. Doszedł do wniosku, że klasa średnia i tak nie ma wyboru, gdyż inne elementy oferty obu walczących o władzę obozów – np. państwo prawa (także w wymiarze rozliczania patologii rządów PiS i Suwerennej Polski) czy bardziej przewidywalna polityka europejska (w miejsce pisowskiego tulenia się do Trumpa, Marine Le Pen, a nawet AfD) – czynią obecny rząd w oczach klasy średniej opcją bezalternatywną.

Podobnie jest z aborcją i z postulatami obyczajowymi, choć tu rachunek jest bardziej wyrównany na korzyść klasy średniej i Tuska. Jest in vitro, jest pigułka „dzień po" (zawetowana przez prezydenta, ale jednak dowożona do ostatniej stacji). Związki partnerskie „są w przygotowaniu", chociaż deklaracje o „rychłym" złożeniu tej ustawy do Sejmu pojawiły się późno.

Dramatyczna demobilizacja wyborców koalicji w pierwszej turze wyborów samorządowych pokazała, że owo skupienie się przez Tuska na demobilizowaniu elektoratu PiS, przy jednoczesnym uznaniu za oczywiste poparcia klasy średniej (a szczególnie dzieci klasy średniej), zapewne nie jest najlepszym rozwiązaniem.

Po lewicę i po centrum

Lewica jest trzymana przez Tuska na dość krótkiej smyczy. W dużej części winna jest temu ona sama. Wycofanie się znacznej części posłów lewicy (Zandberga i jego ludzi z partii Razem) na pozycję zewnętrznych recenzentów rządu pozwoliło argumentować przeciwko wspólnym samorządowym listom KO i lewicy, jako że mogliby zostać dzięki nim wybrani fanatyczni przeciwnicy „libków".

Posługując się m.in. tym argumentem, Tusk odrzucił ofertę Czarzastego (wspólna lista w wyborach do sejmików), co wyeliminowało lewicę w większości województw. Tusk nie będzie jednak „wykaszał" polityków lewicy tam, gdzie zdołali wejść do sejmików. Jak mówi nam jeden z polityków PO, dobrze znający styl przewodniczącego, „zaprosi lewicowców do współrządzenia na szczeblu województw nawet tam, gdzie nie są mu potrzebni do stworzenia większości, ale będzie to za każdym razem jego zaproszenie, a nie rozmowy na szczeblu całych formacji".

Podobne znaczenie ma zupełnie świeża wymiana Jana Żaryna na Adama Leszczyńskiego na czele Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Jana Ignacego Paderewskiego. Związany z lewicą Leszczyński jeszcze w wyborach samorządowych 2018 r. szydził z kandydatów KO, a szczególnie z Rafała Trzaskowskiego, znajdując słowa uznania nawet dla Patryka Jakiego jako „underdoga", „wykluczonego przez salon". Później jednak stracił wiarę w populistyczną lewicę i od kilku ▶

▶ lat w miarę lojalnie wspiera obóz „liberalnej Polski". Jest jedną z wielu postaci kojarzonych z lewicą, które Donald Tusk czy Bartłomiej Sienkiewicz chcieliby trwale przyciągnąć do najszerzej rozumianego liberalnego obozu.

Nie znaczy to jednak, że Tusk „dał się pchnąć na lewo", że zrezygnował z centrum, a nawet z prób przejmowania bardziej umiarkowanych wyborców prawicy (np. oddając ich Trzeciej Drodze). Wie doskonale, jak bardzo polska (a nawet europejska) scena polityczna przesuwa się dzisiaj na prawo. Jak powszechne stały się lęki (przed imigrantami, przed Rosją, przed kulturowym czy edukacyjnym chaosem), które kiedyś obsługiwała wyłącznie twarda prawica.

Ten ruch Tuska w stronę centroprawicy (czy raczej w kierunku „politycznego realizmu", jak nazywają to jego najbliżsi współpracownicy) był widoczny już przed wyborami 15 października. Choćby przy okazji jego zwrotu w sprawie polityki imigracyjnej. To Donald Tusk na kilka miesięcy przed wyborami parlamentarnymi nagłośnił aferę wizową. Oskarżając partię Kaczyńskiego o to, że głosząc radykalne antyimigracyjne hasła, popisując się wręcz brutalnością w tej kwestii, jest jednocześnie totalnie nieskuteczna, wręcz dysfunkcjonalna, jeśli chodzi o realną ochronę polskich granic. Rozczarowali się wówczas do niego aktywiści działający na polsko-białoruskiej granicy, jednak w kontekście wyborów dało mu to przepustkę „ku centrum".

Dziś analogiczne zabiegi stały się już istotą jego polityki: dofinansowanie muru na granicy polsko-białoruskiej zamiast jego demontażu; wezwania do zaostrzenia polityki migracyjnej UE; głosowanie europosłów PO przeciw paktowi migracyjnemu; „eurorealizm" jako przeciwieństwo do federalistycznych propozycji europarlamentu.

Jeszcze w czasach rządów Zjednoczonej Prawicy na jej zapleczu krążył gorzki (z punktu widzenia Kaczyńskiego) dowcip, że Polacy zaakceptowaliby znaczną część polityki PiS, byleby tylko nie była prowadzona przez PiS, którego liderzy kojarzyli się coraz bardziej z faktyczną niedojdowatością, nieskutecznością, pokrywaną przez brutalność i radykalizm języka. Tusk w wielu obszarach swojej polityki poszedł tropem owego dowcipu.

Problem Trzaskowskiego

Przyszłość Tuska jest dziś wyznaczana przez wynik koalicji w pierwszej turze wyborów samorządowych. O ile ogólnie celny jest żart Leszka Millera, że „wygrali te wybory wszyscy, tylko Czarzasty przegrał", o tyle oczywiście prawda jest zniuansowana. Na przykład po stronie KO Rafał Trzaskowski wygrał nieco bardziej niż Donald Tusk. Ponieważ „mijanka" z PiS w tych wyborach nie nastąpiła, Tusk musiał się trochę sukcesem Trzaskowskiego na wieczorze wyborczym zasłonić. Jednocześnie jednak obdarzając prezydenta Warszawy jednym ze swoich typowych, nieco zatrutych komplementów. Nazywając go „liderem demokratycznej Polski...", ale „...samorządowej".

Jeden ze zwolenników Trzaskowskiego w Platformie (który zdecydowanie prosił o niecytowanie go z nazwiska, gdyż wszyscy wiedzą, jaki jest stosunek Tuska do „frakcji") powiedział mi, że to Trzaskowski jest teraz osłonięty Tuskiem. Jego zdaniem Tusk będzie się przez najbliższe miesiące zużywał rządzeniem, zarówno błędami własnymi, koalicyjnymi, jak też problemami, których po prostu nie można uniknąć. Podczas gdy Trzaskowski – oczywiście jeśli nie zaliczy przez najbliższy rok żadnej większej wpadki w Warszawie – „będzie się budował". Jak mówi mój rozmówca, „wynik w wyborach samorządowych dał Trzaskowskiemu suwerenność wobec Tuska, Donald nie będzie mógł wyznaczyć prezydenckiego kandydata KO bez akceptacji Trzaskowskiego, a mówiąc szczerze, nie będzie mógł w tej roli Trzaskowskiego nikim zastąpić".

Inny mój informator w szeregach Platformy, mniej związany z Rafałem Trzaskowskim, nie wierzy jednak w bezradność Tuska, bo – jak mówi – „nigdy Donalda bezradnym nie widziałem". Opowiada o kulisach oferty złożonej przez przewodniczącego Platformy ludowcom. Dla Tuska wspólna lista z PSL do europarlamentu (coraz mniej prawdopodobna, ale wciąż jeszcze nieodrzucona przez wahających się ciągle ludowców) jest kluczowa, jeśli chodzi o „mijankę" z PiS w kolejnych wyborach. Dlatego proponował działaczom PSL wręcz nadreprezentację (w stosunku do faktycznego poparcia dla tej partii) na wspólnych listach. Jeszcze ciekawsze były jednak jego zachęty na przyszłość. Tusk miał sugerować Kosiniakowi-Kamyszowi, że ten zostanie premierem, jeśli Tusk zawalczy o prezydenturę. W połączeniu z obiecywaną wciąż koalicjantom „depisyzacją" (a więc także politycznym wypromowadzeniem PiS z polskiej wsi) oznaczałoby to perspektywę odbudowania siły PSL i powrót ludowców do politycznej ekstraklasy. Jeśli liderzy PSL mają z tą ofertą kłopot, to tylko dlatego, że – jak powiedział mi pewien ostrożny ludowiec – „Donald Tusk tak mocno przytula, że może udusić". W PO mówi się, że poza prezydenckim planem B w postaci własnego startu w wyborach prezydenckich Tusk ma jeszcze plany C w postaci zaproponowania jako kandydatów KO Radosława Sikorskiego albo Adama Bodnara.

***

Donald Tusk nadal pozostaje najbardziej podmiotowy, asertywny, a przede wszystkim najtwardszy spośród liderów koalicji i całego obozu demokratycznego w Polsce. Znów jednak tej przewagi może nie wystarczyć do przejęcia pełnej kontroli nad politycznymi i społecznymi aktywami całej „liberalnej Polski". Na razie osobistej siły i charyzmy Tuska będzie musiało wystarczyć do zagwarantowania lepszej efektywności bieżącego rządzenia. Tym bardziej że musi ona być „ponadnormatywna", biorąc pod uwagę nadzwyczajne wyzwania i okoliczności. Po pierwsze, konieczność złamania potęgi PiS, który przez osiem lat zbudował państwo w państwie i wciąż wykorzystuje zgromadzony potencjał, żeby polskie państwo blokować. Po drugie, stan budżetu po ośmiu latach drenowania go przez Zjednoczoną Prawicę. Po trzecie, geopolityczne zagrożenie idące zarówno ze Wschodu (w przypadku sukcesów Putina na ukraińskim froncie), jak i z Waszyngtonu (w przypadku ponownej prezydentury Trumpa).

Wyborcy, którzy 15 października dali Tuskowi władzę, chcieli mieć wyjątkowy, „wielki" rząd na wyjątkowo trudne, ryzykowne czasy. Dostali rząd przeciętny, koalicyjny, który Tusk musi jak najszybciej wzmocnić. Wiele głosów przeciwko PiS było też głosami przeciwko politykom i polityce w ogóle. Głosowano na Tuska jako „wujka samo dobro" i na Hołownię jako „antypolityka". Ci wyborcy mają dzisiaj politykę i polityków „jak zawsze". Z ich małym realizmem i „mniejszymi złami". To tajemnica słabej frekwencji „liberalnej Polski" w wyborach samorządowych. I to problem, z którym Donald Tusk musi się bardzo szybko zmierzyć.

CEZARY MICHALSKI

ILUSTRACJE MAX SKORWIDER

Lewica na bocznicy

RAFAŁ KALUKIN

O tym, że w wyborach samorządowych Lewicy pójdzie kiepsko, wiadomo było od dawna. Już sama ich natura nie sprzyjała formacji kiepsko zakorzenionej w terenie i operującej raczej na wielkich mianownikach ideologicznych. Nie dawały też powodów do optymizmu ogólne trendy sondażowe. Dlatego też lewicowi liderzy traktowali te wybory trochę jak zło konieczne, przez które należy przebrnąć z możliwie najmniejszymi stratami. Chwilowym promykiem nadziei była szansa podczepienia się pod listy KO, co Tusk szybko jednak przeciął. W akcie desperacji Lewica sięgnęła więc po kartę aborcyjną, co przyniosło jej więcej szkód niż pożytku. I kiedy po zamknięciu lokali wyborczych ogłoszone zostały wyniki, trudno było nawet robić dobrą minę do złej gry.

A już nazajutrz w lewicowych bańkach społecznościowych rozpętał się istny huragan oskarżeń i połajanek, utrzymanych zazwyczaj w szyderczym tonie. Tak jakby już od dawna czekano, aż liderom formacji wreszcie powinie się noga i będzie można wylać nagromadzone żale z ostatnich miesięcy, a może i paru lat. Że Lewica za blisko trzymała się tuskowego płaszcza, nie była sobą, kisiła się w męskim przywództwie. Oczywiście dużo więcej było w tym ideologicznych odruchów niż trzeźwej kalkulacji politycznej, ale to akurat nic nowego w przypadku społeczności narcystycznie uzurpujących sobie prawo do odgrywania roli *trendsettera* opinii. Tyle że tym razem politycy Lewicy sami czuli, że nawalili i nie mają argumentów na swoją obronę. Przybierając pokorne pozy, mimowolnie zarazem utwierdzali ogólne wrażenie, że to właśnie Lewica jest tą formacją, która w wyborach najbardziej zawiodła.

Skupienie uwagi na tarapatach Lewicy jest zresztą na rękę pozostałym koalicjantom. Skonfliktowanej z nią Trzeciej Drodze, która optycznie się w tych wyborach obroniła, ale bez oczekiwanych bonusów i z tego powodu również nieusatysfakcjonowanej. I w jeszcze większym stopniu Koalicji Obywatelskiej, która tylko nieznacznie przesunęła front wielkiej konfrontacji z PiS.

Do pewnego stopnia porzucenie przez premiera Tuska wyborczego sojuszu z Lewicą można zresztą uznać za taktyczny błąd. Dzięki wspólnym listom zapewne udałoby się procentowo wyprzedzić PiS i uzyskać ponadwymiarowy uzysk mandatowy w sejmikach. Ordynacja w tych wyborach szczególnie bowiem sprzyja dużym formacjom, mniejszym pozostawiając jedynie ochłapy.

Ta reguła znalazła teraz bolesne dla Lewicy odzwierciedlenie w podziale mandatów na wszystkich szczeblach samorządu. Rozczarowujące 6,32 proc. w sejmikach przełożyło się na osiem mandatów w skali kraju (na 552). Dla porównania Trzeciej Drodze z nieco ponaddwukrotnie wyższym poparciem przypadło ich dziesięć razy więcej, a w przypadku KO (30 proc. i 210 mandatów) owa dysproporcja powiększyła się jeszcze bardziej. Ale to było do przewidzenia i nieprzypadkowo Włodzimierz Czarzasty długo przed wyborami dawał do zrozumienia, że bardziej go interesuje ogólny wynik procentowy niż konkretne mandaty. Regionalnie sztukowane po jednym, góra po dwa, rzadko kiedy są w stanie się przełożyć na realną siłę polityczną.

I tak nawet ustrzelony teraz dublet w sejmiku śląskim niewiele Lewicy przyniósł, skoro do zbudowania większości wystarczy porozumienie KO z Trzecią ▶

▶ Drogą. Takich właśnie koalicji powstanie teraz najwięcej. Z całej lewicowej ósemki radnych tak naprawdę liczyć się będzie jedynie wybrany do sejmiku łódzkiego Piotr Bors, którego głos przesądza o większości. Teoretycznie podobną rolę mógłby odegrać Stanisław Wziątek w sejmiku zachodniopomorskim, tyle że tam sytuacja jest nieco bardziej skomplikowana. Dominującej w regionie KO zabrakło do samodzielnych rządów jednego głosu, więc szef jej struktur Olgierd Geblewicz może sobie teraz dobrać dowolnego partnera, wybierając między Wziątkiem bądź trójką radnych z TD. Z jego otoczenia dowiadujemy się jednak, że skłania się ku wyłuskaniu samego tylko PSL, spychając do opozycji nawet formację Hołowni.

Przed wyborami krążyły co prawda spekulacje, że premier Tusk być może wyśle w teren instrukcje, żeby regionalni baronowie PO nie kierowali się arytmetyką, tylko powielali w sejmikach koalicję rządową. Teraz wydaje się to jednak wątpliwe. Po wyborach spada chęć, żeby w imię dobrych relacji oddawać partnerom za bezcen intratne stanowiska. Czego Lewica jest raczej świadoma, więc nie spodziewa się prezentów. Zresztą dzisiaj to Włodzimierzowi Czarzastemu najbardziej w całej koalicji zależy na pielęgnowaniu przyjaznych relacji. Co oznacza tyle, że sam również nie zamierza otwierać twardych licytacji. Chociaż teoretycznie mógłby przecież postawić sprawę na ostrzu noża i zagrać swoją złotą akcją w sejmiku łódzkim, domagając się od Tuska w pakiecie doproszenia do stołu w rozdaniu zachodniopomorskim.

Ugodowe nastawienie Czarzastego dało zresztą o sobie znać nawet na zagonionym styku z Trzecią Drogą. Antagonizm eskalował jeszcze w kampanii przy okazji sporu o aborcję, wtedy sprowokowanego przez Lewicę. Ale po wyborach to politycy Polski 2050 i PSL ostro zaatakowali, mnożąc w medialnej przestrzeni żądania wobec Lewicy: że powinna się posunąć, oddać jeden z resortów, a może nawet zgodzić się na wykreślenie z umowy koalicyjnej zasady rotacyjności stanowiska marszałka Sejmu, które za półtora roku powinien objąć Czarzasty. Ten jednak nie dał się sprowokować, a nawet nadstawił drugi policzek, stwierdzając, że „nie będzie dramatu", jeżeli nie zostanie marszałkiem.

Co nie znaczy, że jak przyjdzie co do czego, to łatwo odpuści. Najpewniej z góry założył, że zaczepki Trzeciej Drogi to na razie tylko próba wywołania burzy w szklance wody, bez szans na realne wstrząśnięcie układem koalicyjnym. A zapowiadana przez Tuska rekonstrukcja rządu nie ma tu nic do rzeczy, gdyż w grę wchodzą jedynie zmiany personalne przy zachowaniu dotychczasowych parytetów. W tej sytuacji wchodzenie w medialne zapasy z Trzecią Drogą mogłoby jedynie zaszkodzić, gdyż opinia publiczna odebrałaby to jako trywialną grę o stołki.

Po drodze wybuchła jeszcze zupełnie już groteskowa awantura o transmisję niejawnego posiedzenia klubu Lewicy w sejmowej telewizji. Akurat zresztą omawiano taktykę na aborcyjną debatę, co dodawało sprawie smaczku. Obecni na Wiejskiej posłowie pozostałych ugrupowań oraz pracownicy Sejmu mogli to sobie obejrzeć na porozmieszczanych w całym gmachu ekranach. Szef kancelarii Jacek Cichocki tłumaczył się później błędem technicznym i tak zapewne było, tyle że niektórym posłankom i posłom Lewicy mocno już napięte nerwy pozrywały się z postronków. Przez media przetoczyła się jednodniowa fala oskarżeń wobec Hołowni o umyślne stosowanie ciosów poniżej pasa, a nawet nielegalne podsłuchiwanie partnera. Później jednak takie głosy stonowano, a w samej debacie aborcyjnej Lewica bardzo się już pilnowała, żeby powygaszać wewnętrzne fronty i nie atakować sceptycznego wobec liberalizacji aborcji koalicjanta.

Tyle że aborcja w najbliższym czasie nie stanie się szczególnie istotnym paliwem politycznym. Wszystkie cztery projekty przekazane do komisji sejmowej zapewne utkną tam na długie miesiące i raczej nie opuszczą jej przed wyborami prezydenckimi. Wtedy być może z lepszym dla Lewicy skutkiem niż ostatnio. W kampanii samorządowej była to bowiem inwestycja wybitnie chybiona. Większość wyborców zapewne wyczuła jej fałsz, nieprzystawalność do specyfiki lokalnych wyborów, pozorność nadziei na rychłe załatwienie sprawy w sytuacji ostrego politycznego klinczu.

Odpalenie tematu aborcji wynikało jednak z bezradności, bo zaplanowane wcześniej tematy – mieszkania, usługi publiczne, transport – najczęściej trafiały w medialną próżnię. Ale też w samej partii pojawiło się sporo głosów krytycznych, że to z aktywnością był największy problem: kampanię robiono po łebkach, powtarzając do znudzenia ograne już patenty, najczęściej bez próby uchwycenia lokalnej specyfiki.

W sumie wynik sejmikowy nie był w końcu dla Lewicy aż taki marny, skoro na niższych szczeblach drabiny samorządowej wyglądało to jeszcze gorzej. Szczególnie w powiatach, gdzie Lewicy nie udało się uciułać nawet procenta łącznego poparcia. W skali kraju przełożyło się to na 36 mandatów, co w porównaniu z PiS (ponad 2 tys.) i KO (ponad 1 tys.) prezentuje się bardziej niż żałośnie. W wyborach do rad gmin poszło Lewicy niewiele lepiej: 1,5 proc. głosów i 86 mandatów. Trzeba oczywiście pamiętać, że na obu tych szczeblach poważną pulę zgarniają komitety lokalne, które niekiedy bywają przykrywką dla partyjnych. Oficjalna statystyka nie daje więc pełnego obrazu, chociaż nie wydaje się, żeby zaokrąglenie w górę w istotny sposób mogło wpłynąć na ogólny bilans. Podobnie zresztą należy potraktować punktowe sukcesy kandydatów Lewicy w wyborach na prezydentów miast, też zresztą nie wszędzie pod partyjnym szyldem.

Jeżeli Lewica gdzieś jest strukturalnie silna, to co najwyżej w Warszawie. Pokazał to blisko 13-proc. wynik w wyborach prezydenckich Magdaleny Biejat i nawet nieco wyższy w wyborach do rady miasta. Na ogólnym tle był to więc sukces, chociaż też słodko-gorzki. Po cichu mimo wszystko liczono, że liderka Lewicy Razem jednak wyprzedzi Tobiasza Bocheńskiego z PiS, a może nawet na tyle osłabi Rafała Trzaskowskiego, że staną oboje do rywalizacji w drugiej turze. Podobnie z ośmiomandatową zdobyczą w radzie miasta. To niewątpliwie duży postęp w porównaniu z poprzednią kadencją, w której Lewica (a właściwie SLD) wywalczyła raptem jeden mandat, tyle że KO znów zapewniła sobie samodzielną większość i do rządzenia stolicą nie potrzebuje koalicjanta.

Lewica od dawna tkwi w pułapce wielkomiejskości i powoli chyba już traci nadzieję, że kiedykolwiek zdoła się z niej wyrwać. Po udanym wyborczym debiucie obecnej formuły w 2019 r. szczególnie młodszym politykom i lewicowym komentatorom wydawało się, że to dopiero przyczółek do dalszej ekspansji dużo bardziej pożądanych grup wyborców z klasy ludowej. Było to zresztą oczekiwanie dyktowane w równej mierze względami ideologicznymi, co pragmatycznymi. Bazując na poparciu samych tylko młodych liberalnych wyborców z miast, trudno rozwijać pełen lewicowy pakiet: trzeba eksponować przede wszystkim hasła kulturowego progresywizmu kosztem postulatów socjalnych. A to już na dobre zamyka Lewicę w wielkomiejskich centrach, gdzie skazana jest na rolę *junior partnera* Platformy. Po którego w razie potrzeby zawsze można sięgnąć, nie dając mu wszakże przestrzeni na rozwój.

Problem w tym, że rozwód z miejską klasą średnią też nie wchodził w rachubę,

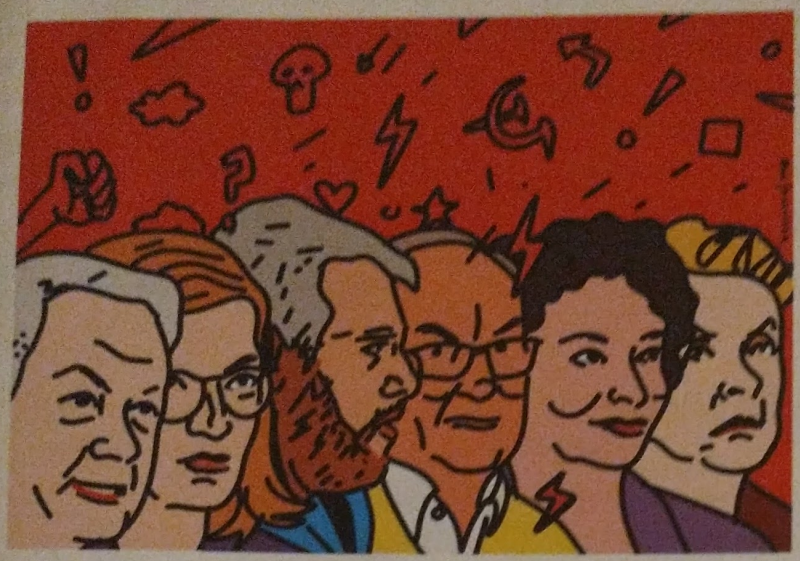

kiedy ta ludowa akurat przeżywała szczytowy moment zauroczenia pisowskimi transferami, przeważnie brzydząc się wszelkimi przejawami „lewactwa". O poważnej ekspansji w tę stronę nie było więc mowy, a etat pomocnika Platformy uwierał. Lewica przez jakiś czas próbowała wierzgać, ale buńczuczne próby odróżnienia się od liberalnego hegemona przeważnie kończyły się medialnym pręgierzem i spadkami poparcia.

W realiach ostrego jak brzytwa konfliktu z PiS większość lewicowych wyborców miała problem ze zrozumieniem sensu tej gry. Z czasem więc kierownictwo Lewicy uznało, że lepiej już się nie wychylać i cierpliwie poczekać na bardziej sprzyjające wiatry, lokując nadzieje w dalszym przemieszczaniu się kulturowego wahadła na lewą stronę. Co faktycznie miało miejsce, tyle że Platforma Tuska i Trzaskowskiego reagowała na te zmiany, po kolei przejmując najbardziej nośne tematy, z legalizacją aborcji na czele. Im węższe szczeliny pozostawały więc Lewicy do wypełnienia, tym bardziej musiała się gimnastykować z profilowaniem swojej oferty, tak żeby się zmieścić pomiędzy KO i PiS.

Już wynik wyborczy z 15 października był dla Lewicy rozczarowujący, chociaż w ogólnej euforii wywołanej odesłaniem PiS do opozycji nie wypadało tego demonstrować. Ustawiona na samym końcu opozycyjnego szyku Lewica nie dostała jednak zbyt wiele miejsca, żeby pochwalić się polityczną sprawczością na ważnych dla niej obszarach. A do tego w imię spójności koalicyjnej co rusz musi przełykać gorzkie dla niej pigułki, jak zapowiedziane ostatnio odejście od progresywnej składki zdrowotnej bądź uruchomienie rządowego programu wsparcia dla kontestowanych przez Lewicę kredytów mieszkaniowych. Ale spajający całą formację swoim przywództwem pragmatyczny Czarzasty nadal jest zdeterminowany, żeby z dotychczasowej ścieżki nie schodzić. Tyle z poczucia odpowiedzialności za spójność koalicji, co braku lepszych alternatyw dla swojej formacji.

O ile jednak do tej pory Czarzasty przeważnie znajdował zrozumienie w swojej formacji dla ugodowej postawy, o tyle po samorządowym fiasku pojawiły się pierwsze wątpliwości. Bo widać już wyraźnie, że ścieżka wskazana przez lidera przestaje gwarantować choćby jako taką stagnację. Systematyczne zanikanie Lewicy w pewnej chwili może przecież przekroczyć masę krytyczną, a wtedy nic już nie zatrzyma akcji rozłamowych albo panicznego exodusu do KO.

Pojawiły się zatem głosy z samej partii podważające przywództwo Czarzastego, chociaż to pewnie tylko testowanie jego reakcji. Otwarcie burzy się głównie internetowy komentariat, domagający się już teraz wymiany całego męskiego przywództwa na kobiece i ogólnej radykalizacji kursu. Ale do tego na razie daleko, szczególnie że powoli rusza już kolejna kampania wyborcza. Czarzasty wciąż zresztą wydaje się niezastąpiony w roli lidera. Bez niego trudno byłoby utrzymać w ryzach wielonurtową formację, a nie bez znaczenia jest również jego dobra relacja z Tuskiem, który nigdy nie pałał do Lewicy sympatią, ale akurat jej szefa uważa za partnera przewidywalnego.

Frakcja SLD pozostaje przy tym najsilniejszym filarem lewicowej konstrukcji. Z dawnej Wiosny ostało się głównie parę rozpoznawalnych nazwisk z Robertem Biedroniem na czele, który był przymierzany do roli szefa sztabu w wyborach do PE (ostatecznie szefową sztabu została Katarzyna Kotula). Wydaje się, że Biedroń chyba już na dobre wyzbył się ambicji w polityce krajowej (teraz w eurowyborach kandydować ma również jego partner Krzysztof Śmiszek). Biedroń ma w Lewicy spore grono krytyków, którzy zarzucają mu, że skupia się głównie na swojej karierze i nie chce mu się pracować dla partii.

Dość niejasny pozostaje status Lewicy Razem, której główną twarzą stała się ostatnio Biejat, spychając w cień drugiego z liderów Adriana Zandberga, od dawna zresztą mało widocznego w przestrzeni publicznej. Neutralność Razem, które nie weszło (a w zasadzie nie było mocno zapraszane) do rządzącej koalicji, bywała w kampanii samorządowej przyczyną dezorientujących wyborców kolizji. Choćby w Krakowie, gdzie „razemki" wsparły Łukasza Gibałę, który w drugiej turze wyborów prezydenckich zmierzy się z popieranym przez Lewicę kandydatem KO Aleksandrem Miszalskim. Sporo zgrzytów wywołuje też aktywność posłanki Pauliny Matysiak, która nie gryzie się w język i często bez pardonu krytykuje rząd Tuska (np. za brak decyzji w sprawie CPK czy wniosek o postawienie Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu). Do tego stopnia, że zaczęto jej limitować medialne występy. Niezły wynik Biejat w warszawskich wyborach będzie jednak stabilizować cały układ.

Tymczasem trzeba się jednak ogarnąć przed wyborami europejskimi. Teoretycznie dużo łaskawszymi dla wyrazistej w sprawach europejskich Lewicy i przez to pozwalającymi wreszcie myśleć o zatrzymaniu spadkowego trendu. Pojawi się na listach sporo rozpoznawalnych twarzy, być może również starszego pokolenia (Czarzastemu zależy na starcie byłych premierów Włodzimierza Cimoszewicza i Marka Belki). Łatwiej też będzie odróżniać się od KO i samego Tuska, który jako premier balansuje w takich sprawach, jak Zielony Ład bądź pakt migracyjny. W wyborach europejskich raczej nie ma szans na masową mobilizację, rośnie za to znaczenie niszowych grup wyborców o wyrazistych przekonaniach. I taką ofertę w sprawach europejskich Lewica zamierza im przedstawić. Ale czy to wystarczy, żeby zejść z równi pochyłej?

RAFAŁ KALUKIN

Od poniedziałku do piątku antydepresanty, a w weekend bardziej narkotyki – taki uproszczony obraz warszawiaka wyłania się z analizy ścieków. W innych miastach jest pewnie podobnie, ale jeszcze tego oficjalnie nie zbadano.

Mówią ścieki

JULIUSZ ĆWIELUCH

Pomysł, żeby badać ścieki, nie jest nowy. W Londynie naukowcy szukali w nich wiedzy o kolejnych falach epidemii cholery już 175 lat temu. Wtedy po omacku. Dziś szuka się konkretnych substancji i dostaje bardzo konkretne odpowiedzi. Okazało się, że ze ścieków można wyłowić wiele ludzkich sekretów. Niektórzy uważają, że nawet za wiele.

Jak w zegareczku

Wizyta w warszawskiej oczyszczalni ścieków Czajka ma w sobie coś abstrakcyjnego. Same liczby są nieprzekładalne na wyobraźnię przeciętnego człowieka. Jak przeliczyć na coś konkretnego 440 tys. m sześc., które dobowo trafia do Czajki. Jeden metr sześcienny to jakieś 280 wizyt w toalecie. Ale 100 tys. m sześc. to już pełna abstrakcja. Podobnie jak abstrakcją jest to, co czasem w tych ściekach jest znajdowane. Oprowadzający po instalacji robotnicy mówią, że ich kolega znalazł ostatnio bardzo fajny zegarek. Pasek to wiadomo, do niczego się nie nadawał. Ale reszta jak najbardziej. Tyle że nie ma go w pracy, więc nie może się nim pochwalić. Z większych gabarytów była wersalka. Do dziś nikt nie potrafi wytłumaczyć, jaką drogą dostała się do systemu przesyłowego. Trafiają się portfele. „Są podobno i mroczne znaleziska, ale w tej kwestii pracownicy tracą rozmowność.

Ściekowa codzienność jest jednak dosyć banalna. Podpaski, zużyte prezerwatywy, chusteczki, patyczki do uszu – to głównie wyławiane jest na etapie wstępnego oczyszczania ścieków. Właściwie to nuda. Okazało się, że najciekawsze w ściekach jest to, czego nie widać. A do czego wąskie grono badaczy zagląda coraz częściej i coraz głębiej.

– *Badając ścieki na poziomie molekularnym, można stworzyć całą mapę zachowań społecznych, występujących chorób i problemów środowiskowych* – wylicza Bartosz Zaborski, dyrektor Biura Badań i Nowych Technologii w warszawskim Przedsiębiorstwie Wodociągów i Kanalizacji. Można badać styl życia, a nawet mody w używkach. – *W 2015 r. w partnerstwie z Narodowym Instytutem Leków badaliśmy pochodne metabolizmu narkotyków. Z badań wyraźnie wychodziły nam weekendowe przyrosty spożycia narkotyków. Z kolei od pandemii obserwujemy rosnące stężenie metabolizmu leków antydepresyjnych* – dodaje dyrektor Zaborski.

O tym, że ścieki przestały być tylko strumieniem nieczystości, a stają się źródłem wiedzy, najlepiej świadczą prace nad nową

© ARKADIUSZ HONAK/SHUTTERSTOCK

Zrzut ś

unijną dyrekt
mentalność t
paniną. Nowa
dobrem współ
dej postaci. Re
kłym ściekiem
tywie dotyczą
na ulepszeni
obejmować sz
czeń, mikropla
chorób w różn
Balt, który był

Drugie d

Prace nad d
byści wielu bra
zaglądano w t
dowiedzieć si
o wrażliwych s
kosmetycznej

Zrzut ścieków do Wisły w Warszawie przy moście Północnym.

unijną dyrektywą ściekową. Poprzednia jest z 1991 r. i oddaje mentalność tamtych czasów. Jest raczej nudną, urzędniczą klepaniną. Nowa dyrektywa oparta jest na koncepcji, że woda jest dobrem wspólnym i jako taka podlega szerokiej ochronie w każdej postaci. Również tej, która dotychczas kojarzona była ze zwykłym ściekiem. – *Idea monitoringu wody nie jest nowa. W dyrektywie dotyczącej oczyszczania ścieków komunalnych skupiamy się na ulepszeniu tego narzędzia. Obowiązek monitoringu będzie obejmować szeroki zakres substancji od PFAS, mikrozanieczyszczeń, mikroplastików, emisji gazów cieplarnianych, po wskaźniki chorób w różnych postaciach* – tłumaczy eurodeputowany Marek Balt, który był zaangażowany w prace nad dyrektywą.

Drugie dno

Prace nad dokumentem miały również swoje drugie dno. Lobbyści wielu branż stoczyli ciężki bój, żeby czasem za głęboko nie zaglądano w to, co trafia do kanalizacji. Analizując ścieki, można dowiedzieć się sporo nie tylko o społeczeństwie, lecz również o wrażliwych społecznie branżach: farmaceutycznej, odzieżowej, kosmetycznej. W ściekach zostają ślady nie tylko ich produktów, ale i tajemnic. Zwłaszcza tych, do których nie chcą się przyznać albo z którymi nie chcą być kojarzone. – *Przy pracach nad nową dyrektywą bardzo aktywne było lobby farmaceutyczne. Nie mniej zainteresowania okazywali producenci ubrań* – wylicza dyrektor Zaborski.

Producenci leków mają różne wrażliwe miejsca. Jednym z nich jest masowe nadużywanie antybiotyków. I ich wpływ nie tylko na pacjentów, którzy ich zażywają, ale też na środowisko, bo antybiotyki po wydaleniu przez człowieka wchodzą w reakcję ze środowiskiem. Branża farmaceutyczna nie lubi badań ścieków również z innych powodów. Dotychczas właściwie nie ponosi żadnych konsekwencji z tytułu wprowadzania swoich produktów do środowiska. Wyniki badań prowadzonych w ramach międzynarodowego projektu Morpheus wykazały, że do oczyszczalni dociera taka ilość przeciwbólowego ibuprofenu, która wskazuje na spożycie liczone w dziesiątkach kilogramów. Niby wiadomo, ile sprzedaje się tego rodzaju leków. Ale przez lata producenci bronili się argumentem, że ludzie kupują na zapas. Tony ibuprofenu w ściekach pokazują również, że nadużywanie leków przeciwbólowych jest już tematem na społeczną debatę. I to ogólnoeuropejską. Zjawisko ma charakter globalny.

W Warszawie w 2015 r. zbadano stężenie w ściekach przeciwzapalnego diklofenaku. Wykryte wartości wahały się od 1,25 do 1,87 mikrogramów na litr. Kiedy siedem lat później powtórzono badania, okazało się, że wykrywane stężenia były już trzy razy wyższe. Branża farmaceutyczna tłumaczy to m.in. zwyczajem utylizowania przeterminowanych leków poprzez wyrzucenie ich do toalety. Ale badacze twierdzą, że to tylko część prawdy. Dlatego w nowej dyrektywie ściekowej jest długa lista substancji, które oczyszczalnie ścieków będą musiały monitorować i usuwać. Wspomniany ibuprofen jest łatwo biodegradowalny. Ale wysokie stężenia hormonów, które są pochodną terapii antykoncepcyjnych, to już trudniejszy temat. Warszawskie wodociągi po raz pierwszy zmierzyły się z nim w 2015 r. W tym roku badanie ma być powtórzone. Wtedy dowiemy się, jakie są wzrosty i skala zjawiska.

Z kolei producenci ubrań jak ognia boją się powiązania z mikroplastikiem. Masowe używanie poliestru do produkcji ubrań powoduje, że po każdym praniu do kanalizacji trafia mikroplastik. Na dziś oszacowanie skali zjawiska jest właściwie niemożliwe. Z ubraniami związane jest jeszcze jedno zjawisko – pestycydy. Uprawa bawełny wiąże się z ich masowym stosowaniem. Ślady tych substancji zostają we włóknach, a po wypraniu również trafiają do ścieków. Kiedyś nikt tych zjawisk ze sobą nie wiązał.

Nieoczywiste źródło wiedzy

Kraksjuka brzmi jak słowo, które wymyśliły dzieci. Z dziećmi kojarzy się o tyle, że bywa nazywana chorobą zimową albo dziecięcą biegunką. Ale wbrew temu określeniu równie często dopada dorosłych. W Szwecji sezon na kraksjukę zaczyna się mniej więcej pod koniec września. I zbiega się z sezonem na lokalne owoce morza. Choroba jest równie dolegliwa, co szybka. Ścina z nóg. Ale po trzech dniach odpuszcza. Szybko się również rozprzestrzenia. Szwedzcy naukowcy od lat próbowali mapować wirusa tak, żeby jak najszybciej wyłapać jego pojawienie się w społeczności i oznaczyć epicentrum, dając w ten sposób informację zwrotną dla ochrony zdrowia. Ale też dla ludzi, żeby zaczęli na siebie bardziej uważać, częściej myć ręce i ograniczać kontakty. O tym wszystkim opowiada prof. Małgorzata Krzyżowska z Wojskowego Instytutu Higieny i Epidemiologii im. gen. Karola Kaczkowskiego, która szczęśliwie kraksjuki nie doświadczyła. Choć w Szwecji spędziła kilka lat na stypendium naukowym. – *Szwedzi już w 2019 r. intensywnie badali ścieki i szukali w nich wirusów. Moje stypendium formalnie dotyczyło innych zagadnień, ale te badania* ▶

▶ *od razu mnie zaciekawiły. Po prostu bardzo intrygują mnie takie nieoczywiste źródła wiedzy* – opowiada prof. Krzyżowska. O tym, że w ściekach jest wielki naukowy potencjał, nie musiała jednak nikogo przekonywać, bo kiedy pojawił się covid, cały świat naukowy oszalał na punkcie szukania jego śladów w ściekach. – *Z naukowego punktu widzenia to zmudne i wymagające badania. Ale dające również wiele satysfakcji. W przypadku SARS-CoV-2 wiemy o pojawieniu się wirusa szybciej, niż mają tę wiedzę same zakażone osoby. Wirus jest już wydalany, a jeszcze nie daje objawów* – tłumaczy prof. Małgorzata Krzyżowska.

Kiedy w Polsce zaczęła szaleć pandemia, prof. Krzyżowska była jednym z nielicznych naukowców, którzy mieli wiedzę na temat badania ścieków pod kątem wirusologicznym. WIHE miał również niezbędną aparaturę, moce przerobowe i potrafił budować modele zakażeń, co nie było wcale łatwe. – *To naprawdę jest szukanie igły w stogu siana. A kiedy już ta igła zostanie znaleziona, to jeszcze metodą obliczeń ustecznych musimy te uyniki przełożyć na populację* – opowiada Krzyżowska.

Brzmi to trochę jak czarna magia, ale kiedy po pierwszej fali pandemii rząd właściwie wycofał się z masowego diagnozowania, to w WIHE rozdzwoniły się telefony, bo oni jako pierwsi wiedzieli, co tak naprawdę dzieje się w kwestii covidu. Kiedy w marcu 2022 r. kolejny wariant wirusa zaczął rozpędzać nową falę pandemii, to w WIHE już o tym wiedzieli. Skromne dane o liczbie zakażonych z oficjalnych statystyk, na ich wykresach były całkiem imponującymi wzrostami. I to w rozbiciu na części miasta. – *Właściwie to moglibyśmy nawet badać to ulicami, bo to w sumie tylko kwestia tego, z którego kolektora pobierzemy próbkę. Ale takich dokładnych danych nikt od nas nie potrzebował* – dodaje Krzyżowska.

Tym bardziej że miejsce pobrania próbki ma znaczenie. W tych ze zlewni Południe ślady SARS-CoV-2 wykrywane były nawet w tygodniach, kiedy reszta Warszawy miała wolne od covidu. Naukowcy doszli do wniosku, że za tajemnicą kryć się mogą ścieki z Lotniska im. Chopina podłączonego do tej zlewni. Kolejną zagadką były duże wahania wyników pomiędzy próbką weekendową a tą pobieraną w czwartek. I na to znaleziono wytłumaczenie. W weekend Warszawa ma wolne. A to oznacza, że niemal 800 tys. ludzi, którzy dojeżdżają do pracy w stolicy, nie zostawiało tu swojego śladu biologicznego. Falowanie covidu w ściekach tak naprawdę było falowaniem pracowników do i z Warszawy.

Pieniądze i ścieki nie śmierdzą

W życiu najciekawsze są podobno niezamierzone efekty zamierzonych działań. W pomyśle, żeby ludzie nie używali pieniędzy, a za wszystko płacili kartami kredytowymi, takim niezamierzonym efektem była powiększająca się łuka w danych o spożyciu narkotyków. Włosi latami badali obrót kokainą, analizując jej mikrośłady na banknotach, które zwinięte w rulonik świetnie nadawały się do wciągania narkotyku nosem. Co można oglądać w filmach, ale raczej tych starszych. Już pod koniec zeszłego wieku badacze zorientowali się, że pieniądze coraz mniej im mówią o narkotykowych zwyczajach. Wysokie nominały coraz częściej były „czyste". Jakiś szósty zmysł podpowiadał naukowcom, że to nie znaczy, że np. bogaci przestali ćpać. Raczej przestali używać gotówki również do tego celu. Jeśli badania miały mieć sens, a ich wynik miał dawać spójny obraz, to trzeba było badać coś innego. Idealem byłaby próbka moczu. Ale kto zgodziłby się na takie badania? I wtedy naukowców olśniło, że nie trzeba nikogo pytać o zgodę. Wystarczy sięgnąć po zbiorczą próbkę moczu, czyli zajrzeć do naszych ścieków. Przyjmuje się, że w 2001 r. Włosi po raz pierwszy zaczerpnęli wiedzę o narkotykowych zwyczajach ze ścieków. I okazało się, że mówiąc kolokwialnie, nasze ścieki to krynica wiedzy o uzależnieniach.

Badanie ścieków pod kątem występowania narkotyków to już właściwie standard. Europejskie Centrum Monitorowania Narkotyków i Narkomanii (EMCDDA) we współpracy z grupą SCORE robi takie badania od 2011 r. na bardzo szeroką skalę. W ostatniej edycji badania uwzględniono wyniki z niemal 100 miast w 24 krajach europejskich. W materiale do badań szukano: kokainy, amfetaminy, metamfetaminy, MDMA, marihuany oraz ketaminy. Ta ostatnia to wschodząca gwiazda narkotykowego świata. Substancja, według opisu badaczy, wprowadza w stan „znieczulenia rozkojarzeniowego" i cokolwiek to znaczy, musi być miłe, bo po narkotyk sięga coraz więcej osób.

Ogólnie z badania wynika, że Europejczycy coraz częściej sięgają po narkotyki. Króluje kokaina, której stężenie w wielu badanych miastach było najwyższe od czasu pierwszych badań. Na podium tradycyjnie znalazła się również marihuana. Z polskich miast badane są ścieki tylko z Krakowa. W kraju, w którym kokaina w cenie 300–400 zł za działkę to rarytas, wyniki są inne niż w bogatych europejskich miastach. Polska ciągle gra w narkotykowej B klasie. Ćpa się niemało, ale po taniości. Największe wzrosty w Krakowie odnotowano w amfetaminie i ketaminie.

Ketamina jak witamina

Temat narkotyków w ściekach jest delikatny, bo żadne miasto nie ma ochoty być z nimi kojarzone. Jednocześnie badanie ścieków to najbardziej dokładne dane o spożyciu, którego w żaden inny sposób nie da się badać na taką skalę. Stąd powszechna zgoda na pobór próbek. Dane są twarde, bo pochodne metabolizmu narkotyków trudno pomylić z innymi substancjami. Zażyta kokaina rozkłada się co prawda na mieszaninę różnych związków chemicznych, ale głównym metabolitem jest benzoiloekgonina, o fantazyjnym i trudnym do pomylenia wzorze.

Z raportu wynika, że poziom konsumpcji kokainy w europejskich miastach wzrósł rok do roku o ponad 9 proc. Wzrosty dotyczą większości miast. I korelują z innymi danymi, np. rosnącą ilością przechwyconych narkotyków albo miejscami ich ujawnienia. W lipcu zeszłego roku w porcie w Rotterdamie udaremniono rekordowy przemyt kolumbijskiej kokainy. Policja za jednym zamachem przejęła 8 ton narkotyku. Przy średniej cenie 50 tys. euro za kilogram można mówić o złotym strzale. Tyle że to ułamek tego, co i tak trafia na rynek. Widać to po ściekach. Holandia jest tylko jedną z bram dla kokainy. Część tego narkotyku trafia na europejski rynek przez Hiszpanię. I to też wychodzi w ściekach. Hiszpańska Tarragona jest w pierwszej trójce kokainowych miast. To przez to portowe miasto kokaina przenika na południe Europy. Trzecia na kokainowym podium jest Antwerpia.

Kraków jest jednym z tych nielicznych, w którym ilość wykrywanej w ściekach kokainy spada. Choć to wciąż najczęściej wykrywany narkotyk w ściekach, to jego spożycie spadło z 82,14 mg na 1 tys. mieszkańców w 2022 r. do 70,35 mg na 1 tys. mieszkańców. Badacze szacują, że to głównie zasługa zasady, iż tańszy narkotyk wypiera droższy. W 2023 r. w krakowskich ściekach wykryto o ponad 150 proc. więcej śladów ketaminy niż w 2022 r.

Wraz z rosnącą dokładnością badań ścieków przybywa pytań o granice inwigilacji, a nawet prawo do prywatności i ochrony informacji. Już dziś można z dużą dokładnością wziąć pod lupę dany blok i w miarę dokładnie oszacować, ile osób ma w nim depresję, kto choruje na raka, a ile osób lubi zapalić sobie trawkę. Z tego ostatniego powodu uczelnie jak jeden mąż odmawiają dostępu do ścieków z akademików. Jak widać, jest taki rodzaj wiedzy, którą nawet świat nauki nie jest zainteresowany.

JULIUSZ ĆWIELUCH

Ho
ku

12 god
na pus
każą cz
czyli w
A ty ile

Jest
poł
kój,
nie
zna
kurierów
zakupy i je

Jest Ivan
rze, z wyks
przyjechał
mir, też U
w Poznan
dostarczan
Żabka, w F
kłym rowe
termopleca
cza, że roc
by okrążyć
przyznany

© SHUTTERSTOCK

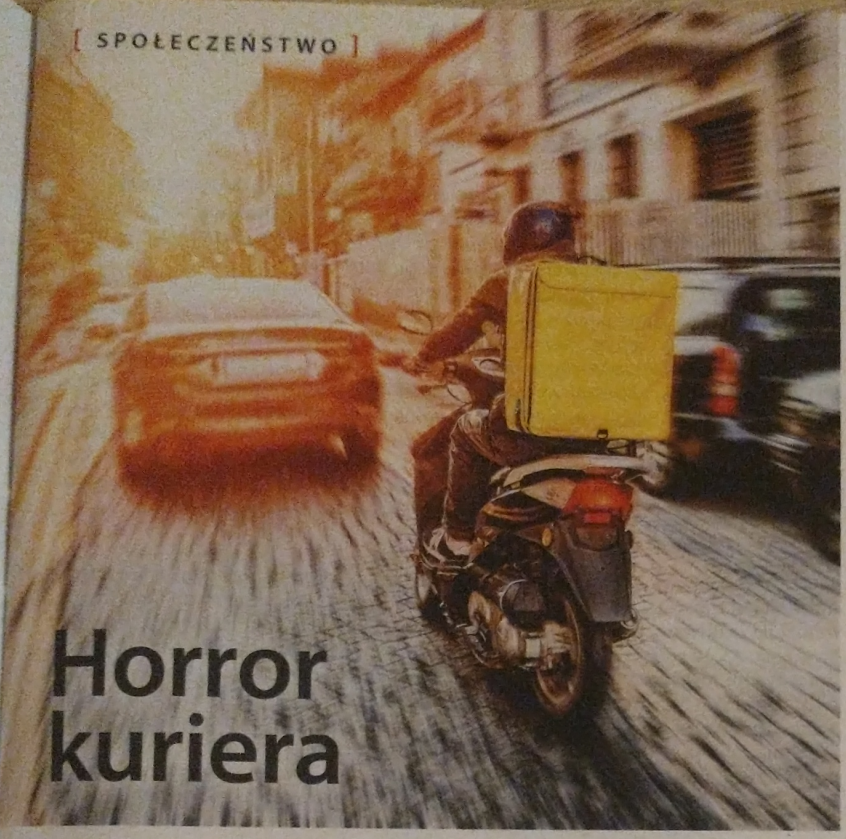

Horror kuriera

12 godzin na dworze, z czego pół dnia stoisz na pusto, z knajpy cię wyganiają, na zamówienie każą czekać na zewnątrz. Na koniec dnia masz 250 zł, czyli wychodzi mniej niż minimalna stawka godzinowa. A ty ile byś wytrzymał?

MARTA MAZUŚ

Jest początek marca 2024 r. Przed południem, a więc względny spokój, pracownicy biurowców jeszcze nie zgłodnieli. Do jednego z poznańskich parków podjeżdża trzech kurierów dostarczających przez aplikacje zakupy i jedzenie.

Jest Ivan na swoim elektrycznym rowerze, z wykształcenia filmowiec, do Polski przyjechał z Ukrainy w 2021 r. Jest Liubomir, też Ukrainiec – w rankingach Glovo w Poznaniu ma najszybszy średni czas dostarczania zamówień. Pojawia się też Żabka, w Poznaniu legenda – jeździ zwykłym rowerem i codziennie robi z żółtym termoplecakiem ok. 100–110 km, co oznacza, że rocznie niewiele już mu brakuje, by okrążyć Ziemię, za co ma oficjalnie przyznany przez Glovo tytuł TOP kuriera.

Ale oprócz wirtualnej odznaki w aplikacji Żabka tak naprawdę nic nie ma z tego tytułu. Mnożniki za dostawy znów spadły, co w praktyce znaczy tyle – jeździsz więcej, zarabiasz mniej. Tylko co tak naprawdę może z tym zrobić w Polsce kurier, w dodatku cudzoziemiec, którego pracą nie zarządza konkretny człowiek, tylko zawiła sieć pośredników oraz wirtualny algorytm?

Volodymyr szuka Priusa

Tu wcale nie chodzi o Polskę, tylko o przekroczenie granicy strefy Schengen. Polskę wybierasz dlatego, że łatwiej tu dostać pozwolenie na pracę niż np. w Niemczech. No i ogólnie jest taniej się utrzymać i wynająć mieszkanie, zwłaszcza jeżeli masz tu kogoś znajomego. Jak Ashbin, 26-letni Hindus, który zamieszkał w Warszawie z trzema kolegami z południowych Indii – jeden z nich zna stolicę już od ośmiu lat i może dawać pozostałym cenne rady.

Więc przyjeżdżasz – na wizie turystycznej albo studenckiej. Albo w ogóle bez wizy, jeśli jak 33-letni Jemal jesteś obywatelem Gruzji.

W tej pracy nie potrzebujesz znać polskiego, bo z nikim nie musisz rozmawiać, a aplikację możesz ustawić na dowolny język. Nie potrzebujesz znać miasta, bo w swoim telefonie masz Google Maps. Sam jesteś swoim szefem i sam ustalasz ile, gdzie i jak pracujesz. Tak zachęcają do współpracy partnerzy flotowi, czyli pośrednicy pomagający w zatrudnianiu kurierów dostarczających jedzenie i zakupy w ramach platform internetowych. Do większości platform nie ma innego dostępu – tylko przez partnera. Wystarczy, że odwiedzisz biuro jednego z nich, a uzyskasz pomoc w niemal każdej sprawie.

– *To ma być praca legalna czy nielegalna?* – pyta zupełnie wprost młody, znudzony Ukrainiec z działu obsługi klienta w siedzibie jednego z pośredników. – *Jeśli legalna, to potrzebny jest paszport, numer konta, adres mailowy, adres zamieszkania, no i prawo jazdy, jeżeli w grę wchodzi jazda samochodem. Normalnie mamy w ofercie kilkanaście platform, ale teraz limity kurierów wszędzie są już pełne, zostały tylko Uber Eats i Żabka Jush. Zaczęła się wiosna, więc chętnych do pracy jest więcej. Wypłaty są co tydzień, ale jak ktoś chce, mogą być nawet codziennie. Nasza tygodniowa prowizja to 30 zł. Uber z kolei pobiera 23 proc. VAT. Umowa-zlecenie na kwotę minimalną, od tego jest płacony minimalny ZUS. Do tego podpisujemy umowę najmu pojazdu, czyli my jako firma wynajmujemy od kuriera to, czym się porusza – od tego kurier musi jedynie zapłacić podatek 8,5 proc.*

– A opcja nielegalna? – *Sama umowa najmu, wypłaty po prostu idą z tego tytułu.*

Podliczasz wszystkie te podatki, niezbędne składki, a przecież musisz się tu też utrzymać, zapłacić za jakiś pokój, fajnie by też było coś sobie odłożyć, przecież po to tu przyjechałeś. Wybór jest dość oczywisty.

Firmowa torba termiczna do przewozu jedzenia? 120 zł płatne u pośrednika. Nie masz czym jeździć i chcesz kupić lub wynająć skuter, samochód, elektryczny rower? Tu lista ofert też jest nieskończona. Od prywatnych ogłoszeń na grupach dla kurierów na Telegramie po firmy polskie, hinduskie, ukraińskie, które ściągają samochody z niemal całego świata. – *Ale jeśli chcesz coś zarobić, to tylko Toyota Prius, hybryda w gazie, w utrzymaniu najtańsza* – przestrzega Ukrainiec Volodymyr, który z aplikacją Uber jeździ od dwóch miesięcy, ale zanim zaczął, to na swojego Priusa ▶

© SHUTTERSTOCK

▶ polował kilka tygodni. – *Te w Polsce są już zbyt zajeżdżone, niektóre wystawiane na sprzedaż mają przebiegi po 900 tys. km, teraz opłaca się już tylko ściągać ze Stanów* – doradza.

Kończy ci się wiza? Pośrednik też pomoże, oczywiście za opłatę. Wystarczy przed końcem ważności złożyć dokumenty o kartę pobytu czasowego w Polsce i automatycznie przez czas oczekiwania na wydanie decyzji jesteś w Polsce legalnie. Dostajesz odmowę? Składasz odwołanie i nadal jesteś legalnie, bo znów czekasz na decyzję.

– *Średni czas rozpatrywania wniosku o legalizację pobytu przez Urząd Wojewódzki w Warszawie* (od złożenia wniosku do odbioru decyzji i karty czasowego pobytu) *to ok. 12 miesięcy. Ale syszałam o jednym rekordziście, który tkwił w procedurach odwoławczych przez siedem lat* – mówi Ksenia Naranovich z Fundacji Rozwoju Oprócz Granic.

Ashbin robi questa

Masz już dostęp do swojej apki, a najlepiej do dwóch. Jak na jednej jest flauta i nie ma żadnych zamówień, to zawsze możesz przerzucić się na drugą. Chociaż na niektórych platformach to nie takie proste, bo musisz z wyprzedzeniem rezerwować sloty, czyli przedziały czasowe, w których dostarczasz zamówienia. Określasz też okolicę, w której chcesz pracować – dzielnicę albo kilka dzielnic, zależy, ile masz mocy w nogach. Te pierwsze zamówienia to jest podniecenie – wpada ci adres, więc pędzisz, chcesz być na czas, uśmiechasz się, łamanym polskim mówisz „dziń dobhy", wręczając zamówienie, może będzie napiwek?

Nie jesteś do końca pewien, jak to właściwie działa, ale podobno algorytm aplikacji, który od teraz zarządza twoją pracą, używając do tego dynamicznego systemu wycen, może ci chętniej przydzielać zamówienia, jeśli robisz to szybko i jeśli jesteś w pobliżu. Ustawiasz się więc w pobliżu miejsc z dużym zapotrzebowaniem, czyli przy McDonaldach, galeriach handlowych z food courtami albo obok dark kitchen, czyli restauracji bez klientów, z samą kuchnią, z której przez okienko anonimowa ręka wydaje kurierom zamówienia, szykowane pod szyldem różnych restauracji.

Ashbin z Indii większość swojego dnia spędza pod dark kitchen w Warszawie, przy ul. Dolnej, skąd może dowieźć zgłodniałym warszawiakom zarówno tajskie curry, jak i swojską kiełbasę. Od ośmiu miesięcy, od kiedy jest kurierem, jest tu codziennie od 12 w południe – z doświadczenia już wie, że wcześniej się nie opłaca, bo rano zamówień jest mało, a w godzinach szczytu mnożniki za dostawy są wyższe – i zostaje zwykle do 22. 10 godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Chociaż oficjalnie w tym czasie powinien być studentem magisterskich studiów na kierunku politologia. Dziennie zarabia średnio ok. 300 zł, tygodniowo 2 tys., ale po odliczeniu wszystkich opłat dla partnera, podatku, opłaty za wynajem skutera i za gaz do niego, zostaje mu w kieszeni jakieś 1,2 tys. zł, co – jak sobie przelicza – i tak mu się opłaca, bo w Indiach musiałby pracować dłużej, a i tak zarobiłby mniej, a tak to mu jeszcze wystarcza, żeby część pieniędzy wysłać przekazem do domu.

A czasami przecież zdarzają się też *questy*. Np.: „Dostarcz 20 zamówień w ciągu jednego dnia, a otrzymasz bonus, plus 50 zł" – pojawia się w aplikacji wyzwanie dla kurierów. Kto by nie spróbował? Ashbin też próbował i parę razy nawet wygrał. Chociaż mało brakowało, a nie wyrobiłby się w czasie – wniósł na szóste piętro bez windy dwie zgrzewki wody mineralnej i torbę z zakupami, dostarczył dwa jeszcze ciepłe hot dogi, spaghetti, colę i jeszcze kilka pizz, już prawie kończył wyzwanie, a zamówienia nagle przestały do niego przychodzić i musiał czekać godzinę lub dłużej, żeby znów coś spłynęło. Tak jakby system nie chciał mu przyznać tych brakujących zleceń.

Jemal ma marzenie

Kto właściwie jest moim szefem? – zaczynasz się zastanawiać. Niby to miałeś być ty – tak zachęcali w reklamach. Niby masz podpisaną umowę z partnerem, ale przecież tak naprawdę pracujesz dla platformy. Robisz to, co ci każe aplikacja. Zarabiasz tyle, ile ci wylicza. Musisz przyspieszyć, bo aplikacja stwierdza, że za wolno jedziesz, wysyła upomnienia, niewzięcie, że utknąłeś w gigantycznym korku.

Do siedzib platform Uber, Glovo, Bolt czy Wolt nie można jako kurier tak po prostu pójść na spotkanie i omówić z kimś problem. Masz problem? „Cześć, jestem GloBot. Jestem tu, żeby ci pomóc" – odzywa się na czacie w aplikacji Glovo wirtualny asystent. I dopiero potem ewentualnie, jeśli kwestia jest bardziej złożona, włącza się żywy człowiek, z którym możesz podyskutować pisemnie.

Dlaczego gdy wpada potrójne zamówienie, za dostawę trzeciego jest tylko 20 gr? Dlaczego gdy zamówienie jest anulowane, nie dostajesz nic za dojazd i oczekiwanie? Dlaczego po chorobie, gdy kilka dni cię nie było, algorytm obniżył ci ocenę doskonałości? Dlaczego wyższe stawki są tylko za jazdę w deszczu lub śniegu, a za jazdę w mrozie lub upale żadnych dodatków nie ma? Dlaczego gdy przyjeżdżasz po odbiór, w niektórych restauracjach dopiero się zabierają do twojego zamówienia? Oni się nie spieszą, ty musisz czekać, chociaż w tym czasie mógłbyś już jechać dalej. A kiedy pytasz: „Czy można skorzystać z toalety?", słyszysz: „Toaleta jest dla gości niestety".

Czas mija, a wątpliwości pojawia się coraz więcej. – *Jak to właściwie jest z tym moim pobytem w Polsce?* – zastanawia się Gruzin Jemal. Prawnika pomagającego w załatwieniu legalizacji wynajął sobie prywatnie, zapłacił za niego 4 tys. zł i niby wszystko OK, zezwolenie na pobyt czasowy i pracę dostał na dwa lata, a zatem jest tu legalnie, ale już od ponad roku nie może się doprosić o wydanie karty pobytu. Prawnik nagle stracił swoje moce, trzeba czekać, mówi i rozkłada ręce. A co, jeśli Jemal przypadkowo trafi na zalot Straży Granicznej i policji, tak jak pod koniec lutego było w Warszawie pod Dworcem

Współpraca z platformą

Jak pokazują wyniki badań „Różnice w jakości pracy pomiędzy pracownikami platformowymi pochodzącymi z Polski i migrantami", przeprowadzonych przez Instytut Badań Strukturalnych we współpracy z Ośrodkiem Badań nad Migracjami UW, stabilne umowy są rzadkością w gospodarce platformowej.

60 proc. osób współpracujących z platformami ma umowę zlecenia lub najmu, a kolejne 18 proc. nie ma żadnej umowy. Migranci trzykrotnie częściej niż Polacy pracują bez umowy, a dwukrotnie częściej – bez ubezpieczenia zdrowotnego. Zarówno migranci, jak i Polacy zdecydowanie rzadziej mają umowę o pracę i dostęp do zabezpieczenia społecznego w porównaniu z osobami wykonującymi podobną pracę w tradycyjnej gospodarce. Warunki i jakość pracy imigrantów są zauważalnie gorsze niż Polaków współpracujących z platformami. Prawie połowa migrantów (47 proc.) i zaledwie 28 proc. Polaków podjęło pracę platformową z powodu braku dochodu lub braku alternatywy. Migranci pracują przeciętnie dłużej (49 godzin w tygodniu) niż Polacy (42 godziny), a wyjątkowo długi czas pracy mają migranci na platformach taxi (aż 59 godzin).

Centralnym? Zatrzymano wtedy dwóch Gruzinów, Azera i Tadżyka jeżdżących taksówkami – żaden nie miał ważnych dokumentów pobytu, nie mówiąc o umowie o pracę. Jemal jest tu legalnie, więc niby nie ma się czego bać. A może? Przecież umowa najmu to nie jest umowa o pracę.

Marzy, żeby otworzyć w Warszawie swój kebab, ale do tego musiałby mieć polskiego wspólnika. Albo polską żonę. Na razie musi się zadowolić pracą dla Ubera. Jeździ taksówką, oczywiście Priusem, ale planuje przerzucenie się na rower, jako kurier. Tańsze utrzymanie, do tego już od 17 czerwca wszyscy kierowcy jeżdżący samochodem na aplikacjach będą musieli mieć polskie prawo jazdy.

Ivan protestuje

Któregoś dnia budzisz się rano, godzinowe sloty w aplikacji Glovo masz zarezerwowane od południa. I nagle zauważasz, że mnożniki za dostawy zostały obniżone – ostatnio za dowóz między godz. 14 a 15 algorytm mnożył stawkę przez 1,63, a teraz jest tylko 1,42. Szybka kalkulacja – żeby zarobić 20 zł, musisz teraz przejechać już nie 8, ale ponad 10 km. A przecież opłaty za kilometr i bazowa stawka wcześniej też już spadały. Jeździsz coraz więcej, a zarabiasz coraz mniej.

Więc Żabka w tym poznańskim parku mówi do Liubomira i Ivana, że dłużej już tak nie może. Że muszą coś z tym zrobić. Zaczynają szeptać do innych niewidzialnych z żółtymi plecakami, na parkingach pod McDonaldami, zagadują podczas oczekiwania przed dark kitchen albo na korytarzach galerii handlowych. Zwołują zebranie, na które przychodzi ok. 30 kurierów – Polaków, Ukraińców, Białorusinów, Kazachów, a nawet jeden Indonezyjczyk – pracujących w Poznaniu dla Glovo. Spisują postulaty, m.in. prawo do pracy na umowę o pracę i do płatnych urlopów, prawo do płatnej przerwy w pracy, gwarantowana stawka godzinowa, nie niższa niż minimalna krajowa. Przekazują je przedstawicielowi platformy, on ich cierpliwie zdalnie wysłuchuje, ale na tym koniec. Więc postanawiają – strajk!

„Strajkujcie sobie, ja będę w tym czasie zarabiał", „Nigdy tego nie osiągniemy, to pusta walka", „Będzie tak jak w Grudziądzu" – złowieszczo piszą niektórzy podczas dyskusji na grupie strajkowej stworzonej na Telegramie. Bo w Grudziądzu 9 marca też był strajk kurierów – 90 proc. pracujących dla Glovo przez cały dzień nie dowoziło. W odpowiedzi platforma obniżyła im oceny doskonałości do takiego poziomu, że nie mieli możliwości zarezerwowania nowych godzin pracy, a do tego partnerzy flotowi ogłosili rekrutację dla nowych kurierów.

Jasne, że Ivan się boi – że zablokują im konta, wyrzucą ich z pracy. Ale tak naprawdę chyba już jest na to gotowy. Po polsku mówi lepiej od Żabki i Liubomira, więc 21 marca, w samo południe, staje w centrum Poznania, a za nim ok. 40 kurierów różnych narodowości, którzy na czas strajku odmówili pracy. Ustawili żółtą ścianę z ułożonych jeden na drugim termoplecaków. Ivan mówi do mikrofonu: „Jesteśmy wykorzystywani jako siła robocza bez prawa głosu, napędzająca interes korporacji. Jesteśmy ludźmi i domagamy się ludzkiego stosunku do nas!".

Jeszcze tego samego dnia jeden z partnerów flotowych umieścił na Facebooku ogłoszenie: „Poznań – kurierzy Glovo poszukiwani! Otwarta rekrutacja. Zarabiaj do 40 zł/h".

***

Strajk kurierów Glovo w Poznaniu trwał dwa dni. Wsparły go Zarząd Krajowy OPZZ Konfederacja Pracy oraz Teatr Polski w Poznaniu, który od marca wystawia spektakl Konrada Marka Cichonia i Andrzeja Błażewicza „Delivery Heroes. Bohaterowie na wynos" o pracy kurierów dla platform internetowych.

Dzień po zakończeniu strajku w Poznaniu odbył się protest kurierów w Grudziądzu i kolejny w Poznaniu, 13 i 14 kwietnia. Jednocześnie poznańscy kurierzy ogłosili plan powołania Związku Zawodowego Kurierów. Do przyłączenia się zachęcają również osoby z innych miast.

11 marca Komisja Europejska przegłosowała dyrektywę o pracy platformowej, która ma uregulować status pracowników zatrudnionych przez platformy oraz przepisy o używaniu „systemów algorytmicznych w miejscu pracy". Jak podano: „Za pośrednictwem platform cyfrowych pracuje w UE ponad 28 mln osób. W 2025 r. liczba ta ma sięgnąć 43 mln. Osoby te wykonują szereg różnorodnych zadań, bezpośrednio lub zdalnie. Mogą to być dostawy, tłumaczenia, wprowadzanie danych, opieka nad dziećmi i osobami starszymi czy usługi taksówkarskie".

W UE działa ok. 500 cyfrowych platform pracy, największe dochody generuje sektor dostaw i usług taksówkarskich. Działacze europejskich związków zawodowych kurierów są jednak sceptyczni co do skuteczności wdrożenia tej dyrektywy.

MARTA MAZUŚ

Za pomoc dziękuję Stanisławowi Kierwiakowi, przewodniczącemu Związku Zawodowego Kurierów Pyszne.pl, grupie Zentrale oraz Kseni Naranovich z Fundacji Rozwoju Oprócz Granic.

REKLAMA

HAUSER
REBEL WITH A CELLO
19 LIPCA 2024
TAURON ARENA KRAKÓW
21 LIPCA 2024
ATLAS ARENA ŁÓDŹ
HAUSEROFFICIAL.COM
BILETY: BILETSERWIS.PL
NOWY ALBUM W SPRZEDAŻY
Prestige 15
BILET SERWIS
RZECZPOSPOLITA VIVA! przeart

Wiele hałasu o hałas

Hałas z plenerowych obiektów sportowych może zrujnować życie ludzi mieszkających obok. Sprawom sądowym, kończącym się likwidacją boiska czy skateparku, mogłaby zapobiec wcześniejsza analiza akustyczna planowanych inwestycji.

AGNIESZKA KANTARUK

Pomysł zbudowania skateparku na jednym z osiedli mieszkaniowych w Krakowie spotkał się z powszechną aprobatą. Taki skatepark to w założeniach pożyteczna sprawa – można pojeździć na deskorolkach, rolkach, spotkać się ze znajomymi. Mieszkańcy zgłosili go do finansowania w ramach budżetu obywatelskiego. Nie wygrał, ale idea podobała się tak bardzo, że pieniądze w kwocie 216 tys. zł i tak się znalazły, tyle że rada Dzielnicy VIII Dębniki wywalczyła je z budżetu miejskiego, dzięki czemu obiekt uroczyście otwarto przy ul. Zakrzowieckiej w kwietniu 2022 r. Dwa lata później nie ma po nim śladu. Został zdemontowany, chociaż w dzień i w nocy był oblężony przez użytkowników – a dokładniej właśnie z tego powodu.

Ten sam los spotkał boisko w Łodzi na osiedlu Złotno, gdzie w sąsiedztwie domów jednorodzinnych wybudowano boisko wielofunkcyjne, plac zabaw i siłownię plenerową. Było i nie ma. W wyroku wydanym w 2023 r. przez sąd apelacyjny zostały podtrzymane postanowienia sądu okręgowego z 2021 r. nakazujące likwidację boiska, otoczenie placu zabaw ekranami dźwiękochłonnymi oraz pokrycie kosztów sądowych przez łódzki samorząd będący stroną pozwaną.

Następny w kolejce jest Poznań. Tam również doszło do procesu, którego rezultatem jest nakaz demontażu boiska przy ul. Kaczmarskiego oraz pokrycie kosztów procesu przez stronę pozwaną. Podobnych spraw sądowych w skali kraju toczy się w tej chwili kilkadziesiąt.

Inwestycyjna swoboda

Kolejność działań zwykle jest taka: władze gminy, miasta, wsi, osiedla – motywowane przez mieszkańców lub z własnej inicjatywy – postanawiają, że przydałoby się zbudować nowy obiekt sportowy albo zmodernizować istniejący. Wybierają na ten cel wolną działkę i przystępują do pozyskania funduszy albo zdobywają fundusze i dzięki nim wyposażają dotychczasowy obiekt w nową infrastrukturę. Nie ma przepisów, które obligowałyby tych inwestorów do przeprowadzenia przedinwestycyjnych analiz akustycznych, nie ma też takich, które wymuszałyby certyfikację akustyczną obiektów istniejących wcześniej, ale znacząco rozbudowywanych. Nie ma nawet, choć w przeszłości były, przepisów obligujących do zachowania bufora odległości od zabudowy mieszkaniowej, zależnego od skali uciążliwości obiektu. Ze względu na niewielką powierzchnię obiekty te nie podlegają również wymogowi uzyskania decyzji środowiskowej.

Eksperci przygotowujący ten dokument przed przystąpieniem do realizacji inwestycji mają za zadanie oszacowanie jej przyszłego oddziaływania na otoczenie, a także wskazania, jak ma być użytkowany lub zabezpieczony obiekt, aby był jak najmniej szkodliwy – w przypadku skateparków i boisk w dokumentacji projektowej przyjmuje się założenie, że oddziaływania takiego nie będzie. „W otoczeniu projektowanej inwestycji znajdują się budynki mieszkalne jednorodzinne oraz budynek szkoły. Teren projektowanej inwestycji nie stwarza żadnych zagrożeń dla środowiska oraz higieny i zdrowia użytkowników projektowanego obiektu i jego otoczenia" – napisał inż. Łukasz Pikusa w dokumentacji projektowej boiska szkolnego przy Szkole Podstawowej

w Psarach, sporządzonej w 2013 r. Tym czasem hałasy dobiegające z tego boiska, ze względu na to, że jego płyta znajduje się na skarpie, na wysokości okien okolicznych domów, brzmią w ich wnętrzu jak kanonada pocisków. Dlatego ta sprawa też trafiła do sądu.

Piotr Poniatowski, doktor nauk prawnych, pracownik badawczo-dydaktyczny na Wydziale Prawa i Administracji Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, który zajmuje się badaniem prawnych aspektów hałasu, tłumaczy, że w takiej sytuacji osoby narażone na hałas dysponują różnymi roszczeniami cywilnoprawnymi, które mogą – niestety zwykle po długim postępowaniu sądowym – poprawić ich sytuację. – *W orzecznictwie sądowym zwraca się uwagę, że narażanie na hałas może naruszać dobra osobiste ludzi, takie jak: zdrowie i prawo do spokojnego mieszkania, prawo do spokoju psychicznego, prawo do wypoczynku i niezakłóconej możliwości korzystania ze swojej nieruchomości czy mieszkania oraz nietykalność mieszkania* – tłumaczy dr Poniatowski.

Kiedy mieszkańcy krakowskiego osiedla, na którym powstał wspomniany wcześniej skatepark, szukali sposobu na sfinansowanie tej inwestycji, nie mieli nawet przybliżonego wyobrażenia, z jakimi hałasami będzie się wiązać użytkowanie tego obiektu. Uderzenia kółek deskorolek o powierzchnię ramp słyszalne były wyraźnie nawet w odległości 150 m od terenu skateparku. W nieruchomościach zlokalizowanych najbliżej – 25 m od obiektu – hałas przypominał ciągłe walenie w bęben. Ponieważ obiekt dostępny był przez całą dobę, to w ciepłe noce zabawa trwała w najlepsze także do rana, a do hałasu deskorolek dochodziły także wrzaski pijanych użytkowników obiektu. W rezultacie na osiedlu najpierw zbierano podpisy popierające ideę utworzenia tego miejsca, a wkrótce później – jego likwidacji.

– *Ktoś, kto nie mieszkał przy czymś takim, nie rozumie, że tego rodzaju obiekt oznacza hałas przez większą część doby* – mówi Bartłomiej Paleta, który wstąpił na drogę sądową po wybudowaniu boiska w odległości 6 m od fasady jego domu. – *To jest ciągłe walenie piłkami, wrzaski, wulgaryzmy, głośna muzyka z przenośnych głośników i nielegalne przeskakiwanie na naszą posesję po piłki wpadające za ogrodzenie, które upadając, niszczą nasze mienie – elementy ogrodu, karoserie samochodów. Dom przestaje nadawać się do życia, nie można go wynająć, nie można go sprzedać. Władze nie robią nic, żeby zabezpieczyć ludzi mieszkających w pobliżu takich inwestycji przed hałasem. Nie da się spać. Nie da się zachować zdrowia, kiedy bez przerwy słyszy się łomot podrywający na równe nogi* – dodaje.

Na serce, na nerwy

Hałas dochodzący z obiektów sportowych, powodowany uderzeniami piłki o różne płaszczyzny i elementy infrastruktury, takie jak kosze, bramki czy ogrodzenie, potęgowany przez okrzyki graczy oraz kibiców, silnie obciąża układ sercowo-naczyniowy i nerwowy. – *Przy każdym kolejnym uderzeniu do krwiobiegu trafia porcja adrenaliny, a przy długotrwałym oddziaływaniu – kortyzolu nazywanego hormonem stresu* – wyjaśnia dr Grzegorz Bogusz, lekarz medycyny, od lat analizujący problem wpływu hałasu na zdrowie. Zaznacza, że ten mechanizm działa dokładnie tak samo u osób, które o nim wiedzą, jak i u tych, którym się wydaje, że „przyzwyczaiły się do hałasu". – *Do hałasu nie można się przyzwyczaić. Ze strony fizjologicznej to tak nie działa. Podobnie jest ze smogiem. Można żyć w zanieczyszczonym otoczeniu i o tym nie myśleć albo wyobrażać sobie, że to nie ma żadnego wpływu, ale szkodliwe procesy dokonują się i tak* – dodaje dr Bogusz.

Podstępność boiskowych odgłosów polega też na tym, że nigdy nie wiadomo, kiedy nastąpią oraz jak długo i z jaką intensywnością będą trwały. U osoby zmuszonej tych hałasów przez lata słuchać prowadzi to do drastycznej eksploatacji organizmu stawianego w stan alarmowy właściwie bez ustanku. Treningi, rozgrywki, zajęcia dodatkowe, organizowane we wszystkie dni tygodnia, składają się na pejzaż akustyczny trudny do udźwignięcia dla kogoś, kto bierze w nich udział wbrew swej woli. Nie byłyby zresztą znośne nawet dla samych uczestników, gdyby spędzali na nich od kilku do kilkunastu godzin na dobę każdego dnia, czemu dokładnie przyjrzeli się naukowcy.

W pracy opublikowanej w 2021 r. przez międzynarodowy zespół badaczy wskazano, że maksymalny czas przebywania w obiektach sportowych nie powinien przekraczać jednorazowo 100 minut, jako że średni poziom dźwięku wyniósł tam aż 87,6 dB, co przekłada się na wysokie prawdopodobieństwo obrażeń fizycznych i psychicznych. Ciekawscy mogą zweryfikować te pomiary na własną rękę, chociażby za pomocą dowolnej aplikacji do pomiaru hałasu – skoki na deskorolce bądź uderzenia piłką generują hałas na poziomie powyżej 80 dB, a zatem taki, który może prowadzić do trwałych uszkodzeń słuchu, ale też m.in. do wzrostu poziomu agresji oraz problemów z koncentracją i nauką.

A agresja to stały element w sprawach dotyczących sporów o hałas z obiektów sportowych. Występuje przy konfrontacji mieszkańców broniących się przed hałasem i tych, którzy chcieliby z boisk czy skateparków korzystać. Ci drudzy oskarżają tych pierwszych o egoizm, chociaż to administratorów obiektów powinni oskarżać o nienależyte wykonanie inwestycji, wywołujące problemy zarówno dla sąsiadów, jak i użytkowników. – *Podejmując się tej sprawy, nie spodziewałem się, jak ogromne wzburzenie społeczne ona wywoła* – mówi Jakub Ceranek, radca prawny z Poznania, którego staraniem zapadł wyrok o likwidacji boiska. – *W opinii publicznej problem jest przedstawiany jednostronnie, co wynika z jego niezrozumienia. Zapewne nikt z atakujących nie poświęciłby zdrowia, własnego domu czy mieszkania dla społeczeństwa, a postawy takiej oczekują od ludzi tracących te dobra przez lekkomyślną lokalizację boiska czy fakt, że nie jest ono akustycznie zabezpieczone, choć mogłoby być.*

Brak wytycznych akustycznych

„Odnośnie do oceny wpływu hałasu na sąsiednie nieruchomości należy stwierdzić, że jest to kwestia przeważająco pomijana w analizach przedrealizacyjnych" – przyznało w korespondencji mailowej Biuro Komunikacji Ministerstwa Sportu i Turystyki. Za zasadnością szybkiego opracowania i wdrożenia odpowiednich rozwiązań przemawia przede wszystkim masowość problemu. Przez cały czas powstają nowe obiekty sportowe finansowane z budżetów obywatelskich i inwestycje na styku funduszy samorządowych i unijnych. W ramach państwowego wsparcia związanego z programem „Moje boisko – Orlik 2012" w ciągu tylko pięciu lat od jego uruchomienia powstało aż 2,6 tys. nowych obiektów.

W tym roku Ministerstwo Sportu i Turystyki poinformowało, że na modernizację tych obiektów przeznaczy 200 mln zł, które będzie można spożytkować m.in. na dobudowanie dodatkowej infrastruktury sportowej, takiej chociażby jak skateparki. W dodatku od kwietnia ruszy program budowy kolejnych budynków. Mimo narastającej liczby spraw sądowych o hałas z obiektów sportowych żaden z regulaminów wykorzystania funduszy na te inwestycje nie zawiera wytycznych dotyczących ochrony akustycznej sąsiednich nieruchomości. Dlatego ich mieszkańcy powinni szykować swoje pozwy wraz z wbiciem pierwszej łopaty. ■

Kadry znad Warty

Rząd PiS kupował od handlarza bronią respiratory, a wojewoda lubuski maseczki od przedsiębiorcy rolnego. Historia tego drugiego to opowieść o tym, jak się rodzą polityczne układy i korupcja.

ZBIGNIEW BOREK

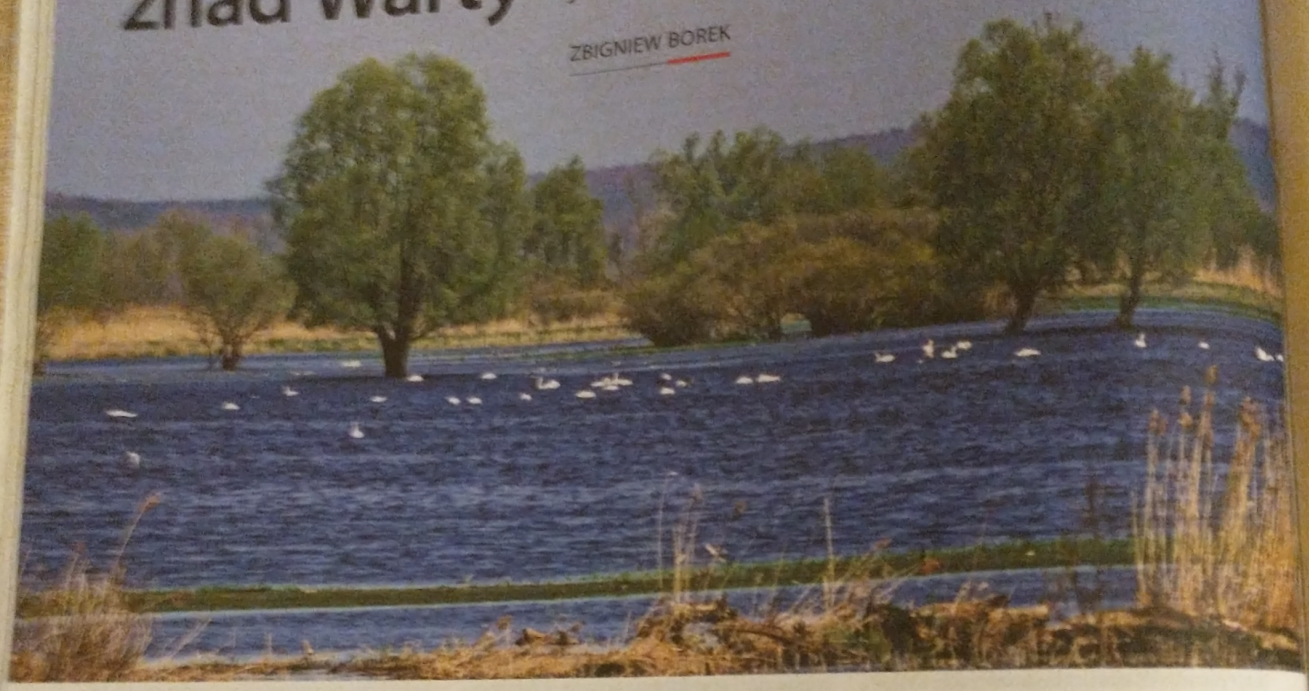

Wyobraźmy sobie zdjęcie: środkiem obory idzie minister rolnictwa w rządzie PiS Jan Krzysztof Ardanowski. Obok wojewoda lubuski Władysław Dajczak, w tle dyrektor urzędu wojewódzkiego Roman Sondej, obaj też z PiS. Bydło wyciąga szyje w ich stronę. Waldemar G., szef wydziału zarządzania kryzysowego wojewody, trzyma się z boku; Dariusz M. oprowadza delegację po swojej oborze... Obaj trafili do aresztu z zarzutami karnymi, do których przyczyniły się raporty NIK. Oba raporty łączy zaś Dariusz M., przedsiębiorca rolny z położonej w Ujściu Warty gminy Słońsk, dobry znajomy urzędników i polityków PiS.

Dzierżawa na gębę

Pierwszy z raportów dotyczył wyłudzania unijnych dotacji w Parku Narodowym Ujście Warty. NIK wykryła, że w latach 2015–19 rolnikom i innym podmiotom, które nie miały umów na dzierżawę gruntów w parku, wypłacono na ich utrzymanie 15,2 mln zł dotacji unijnych. Kolejne 13,5 mln zł wyłudzono na tzw. słupy i Bogu ducha winnych rolników, którzy dzierżawili parkowe ziemie, a dotacje bez ich wiedzy brał ktoś inny.

Jak to było możliwe? W ramach wspólnej polityki rolnej Unii Europejskiej dopłaty bezpośrednie przysługują posiadaczom gospodarstw rolnych, którzy spełniają określone warunki, ale można je też dostać za działalność rolniczą (wypas bydła i owiec czy pozyskiwanie siana) na obszarach z tzw. ograniczeniami naturalnymi, jak parki narodowe. W przypadku parków najistotniejsze są jednak płatności rolno-środowiskowo-klimatyczne, które mają promować zrównoważone gospodarowanie chroniące glebę, wody, klimat czy cenne siedliska przyrodnicze.

Aby otrzymać dotację, rolnik składa wniosek do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, ta zaś przyznaje płatności – teoretycznie po weryfikacji wniosku. Do 2020 r. istniała jednak luka w przepisach: ubiegając się o dotację, nie trzeba było przedstawiać tytułu prawnego do gruntu. Innymi słowy, wystarczyło oświadczenie, że jest się dzierżawcą. Agencja tego nie weryfikowała, nie wymieniała się też z parkami informacjami, kto, jakie grunty i kiedy dzierżawi.

– *Korzystając z tej luki, przedsiębiorcy rolni i agropiraci, którzy nie mieli nic wspólnego z rolnictwem, podzielili się parkiem narodowym tak, jak my moglibyśmy podzielić się naszym regionem: pan bierze Gorzów, a ja Zieloną Górę. Następnie wystąpowali z wnioskami o dotacje* – opowiada reporterowi osoba znająca kulisy sprawy.

W parkach narodowych obowiązują trzy rodzaje ochrony: krajobrazowa, czynna i ścisła. W tej ostatniej obowiązuje całkowity zakaz działalności człowieka, park zatem nie może tam wydzierżawić ani kawałka ziemi. Oszuści byli jednak na tyle bezczelni, że występowali o dopłaty (i je dostawali!) także na grunty objęte ścisłą ochroną. Inny przykład ich tupetu (i braku skutecznego państwowego nadzoru): rolnik złapany w parku na koszeniu 33 ha

łąki, której nie dzierżawił, dostał marne 300 zł mandatu, po czym wziął 57 tys. zł bezprawnej dotacji.

Drugi raport NIK wskazał, że Lubuski Urząd Wojewódzki nie przestrzegał uproszczonych procedur antycovidowych (na dwóch umowach o wartości 1,4 mln zł stracił 862 tys. zł. Inspektorzy wyliczyli, że za te same pieniądze można było kupić trzy razy więcej środków ochronnych (a przez kraj przelewała się akurat druga fala koronawirusa). NIK uznała, że to niegospodarność. „okoliczności wyboru dostawcy wyczerpują znamiona korupcjogennego mechanizmu dowolności", bo „zaniechano poszukiwania profesjonalnych dostawców specjalizujących się w dostawach środków ochrony indywidualnej (...), wybrano zaś dostawcę, którego główny przedmiot działalności (według KRS) obejmuje uprawę zbóż".

NIK nie powiązała obu tych spraw, nie wiąże ich także prokuratura, ale POLITYKA ustaliła, że urząd wojewody podpisał umowę na dostawę maseczek po zawyżonych cenach z przedsiębiorstwem rolnym Dariusza M. Gdy ten oprowadzał po swojej oborze urzędników i polityków PiS, karuzela z dotacjami w parku narodowym kręciła się w najlepsze.

Żeby nie szumieli

Ujście Warty to dla przyrodników i turystów raj, dla rolników – rozległe łąki i pastwiska. – *Za komuny państwowe, czyli niczyje. Co drugi dom we wsi wypasał tam konie, bydło, gęsi. Za grosze albo za darmo* – wspominają Hanna i Bogdan Kryczkowie, hodowcy koni z Przyborowa.

Zasady zmieniły się na początku lat 2000., gdy Polska miała wejść do UE i powstawał park narodowy. Jego powołaniem zajmował się Konrad W. (później jego wieloletni dyrektor aresztowany z Dariuszem M.). – *Przekonywał, że na wydzierżawione grunty dostaniemy unijne dopłaty, ale potrzebujemy jednego przedstawiciela, z którym park podpisze umowę, a on z nami, bo nie da się tak rozdrobnić dzierżawy* – opowiada Hanna Kryczko.

Tym przedstawicielem został Dariusz M., wówczas – jak słychać we wsi – trochę rolnik, bardziej handlarz zachodnimi brykami, ale wygadany i miejscowy, nie obcy. Park podpisał z nim „główną" umowę dzierżawy, on zaś miał podpisywać aneksy. To była fikcja, bo w parku nie można poddzierżawiać ziemi, ale rolników utrzymywano w niewiadomości, zbierając deklaracje, kto ile potrzebuje gruntu. Ci żyli w przekonaniu, że sprawa jest załatwiona „na gębę". Złudzeń pozbawił ich przypadek: gdy jedno z nich stad utknęło zimą w lodzie na parkowej łące, przyjechała telewizja i Konrad W. przed kamerami oświadczył, że nie ma pojęcia, czyje to zwierzęta ani skąd się tam wzięły. Oburzeni zażądali aneksów, ale nigdy się ich nie doczekali. – *Darek zorientował się, że na dotacjach pieniądz robi pieniądz, a dyrekcja parku używała różnych sztuczek, żeby iść mu na rękę* – twierdzą Kryczkowie.

Według nich rolników, którzy chcieli dzierżawić grunty, dyrektor odsyłał do Dariusza M., a ten jednym ziemię udostępniał w zamian za przychylność i milczenie, innych traktował jak wrogów. W tej drugiej grupie byli Kryczkowie, bo słali skargi do urzędów, policji i prokuratury. Z zemsty jeden z bliskich Dariusza M. zorganizował najście osiłków na dom Kryczków, „żeby nie szumieli tam, gdzie szumią", kolejny oskarżył Kryczkę o pobicie. Udało im się wyjść obronną ręką (organizator najścia trafił za kratki, sąd oczyścił Kryczkę), ale układ korupcyjny docierał się w tym czasie: dyrektor parku miał ustawiać przetargi pod Dariusza M., a ten przekupywać potencjalnych konkurentów.

W pokontrolnych raportach NIK odnajdujemy potwierdzenie opowieści o przetargowych machlojkach: scalaniu w gigantyczne kompleksy gruntów pod dzierżawę na siłę (nawet takich, które ze sobą nie sąsiadują) czy zwiększenie wymaganej tzw. obsady zwierząt do poziomu, którego nie ma szans osiągnąć zwykły hodowca.

Narkotyki w tle

Wyobraźmy sobie kolejne zdjęcie: wojewoda Dajczak sylwetkę ma trochę sztywną, marynarkę zapiętą. Dyrektor jego urzędu (i późniejszy kandydat PiS na prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego) Roman Sondej tańczy bez marynarki, rękawy koszuli podwinięte. Zdjęcie wykonano w sylwestra 2022 r. w lokalnej restauracji, do której polityków zaprosił Dariusz M.

Do tej pory na rolnictwie, dotacjach i innych interesach zbił już majątek. Jego luksusowy dom w Słońsku miejscowi nazywają posiadłością Carringtona: wysoki mur, brukowana aleja, szpaler drzew, prywatne zejście do rzeki. M. jest lokalnym dobrodziejem: sponsoruje stowarzyszenia, kluby i festyny, wyjmie z tylnej kieszeni kilka stów, żeby głodnym sportowcom postawić hamburgery. Uchodzi za człowieka, który pociąga za sznurki w gminie, ale wizyta delegacji rządowej w jego gospodarstwie, a potem sylwester z wojewodą to dla okolicy dowody, że „politycznie urósł".

Aresztowania spadają jak grom z jasnego nieba: dwa miesiące po sylwestrze policja zatrzymuje pod zarzutem wyłudzania dotacji Dariusza M., jego wuja i współnika w interesach Patryka M., dalszego członka rodziny Alberta Z., konserwatora przyrody Pawła B., potem także dyrektora Konrada W.

Pojawił się także inny wątek. Kolejny miesiąc później polskie i hiszpańskie służby rozbijają 37-osobowy gang, który przemycił narkotyki, warte 30 mln euro. Wśród zatrzymanych w Hiszpanii znajdują się dwaj synowie właściciela restauracji, w której odbył się sylwester, sen zaś jest kuzynem Dariusza M.

Co gorsza, w lutym 2024 r. do aresztu trafia Waldemar G., który jako szef wydziału zarządzania kryzysowego wojewody miał zdecydować o zakupie maseczek po zawyżonych cenach. Prokuratura zarzuca mu m.in. przekroczenie uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej. G. uchodzi za zaufanego człowieka Dajczaka.

Zdjęcie na finał

Po wyborach w 2023 r. Władysław Dajczak został posłem PiS. W sprawie zażyłej znajomości z Dariuszem M. nie ma sobie nic do zarzucenia: – *Zorganizowałem ok. 120 wizyt rządowych u M. dlatego, że prowadził wydajne gospodarstwo, o którym słyszał nawet minister Ardanowski, a za sylwestra zapłaciłem z własnej kieszeni.* Śledztwo w sprawie maseczek to według niego sprawa polityczna.

Tymczasem Waldemar G. pozostaje w areszcie, grozi mu 10 lat pozbawienia wolności, śledztwo uchodzi za rozwojowe. – *Weryfikowany jest nadzór urzędowy nad działaniami Waldemara G. i związki z dostawcą maseczek* – mówi osoba znająca kulisy.

Dariusz M. nie chce rozmawiać z reporterem. Wbrew stanowisku prokuratury opuścił areszt pod koniec zeszłego roku. Podobnie jak na innych podejrzanych, ciąży na nim zarzut działania w zorganizowanej grupie przestępczej i oszustwa, za co grozi nawet 15 lat odsiadki. W ostatniej kampanii do samorządu jakby nigdy nic towarzyszył wójtowi na przedwyborczych wiecach. – *Opowiadali, że byli, a to w powiecie, a to w województwie, co dla Słońska załatwili albo załatwią* – opowiada jeden z uczestników. Inny: – *M. stwarza wrażenie, że aresztowanie było nieporozumieniem i wszystko już się wyjaśniło, oczywiście na jego korzyść.*

I ostatnie zdjęcie z marca 2024 r.: grupa roześmianych dziewcząt trzyma plakaty: „Do boju Słońsk". Miejscowe młodziczki grają w siatkówkę. Między wójtem a trenerem stoi sponsor zawodów Dariusz M. Dorośli też się uśmiechają. Wszyscy zadowoleni. ■

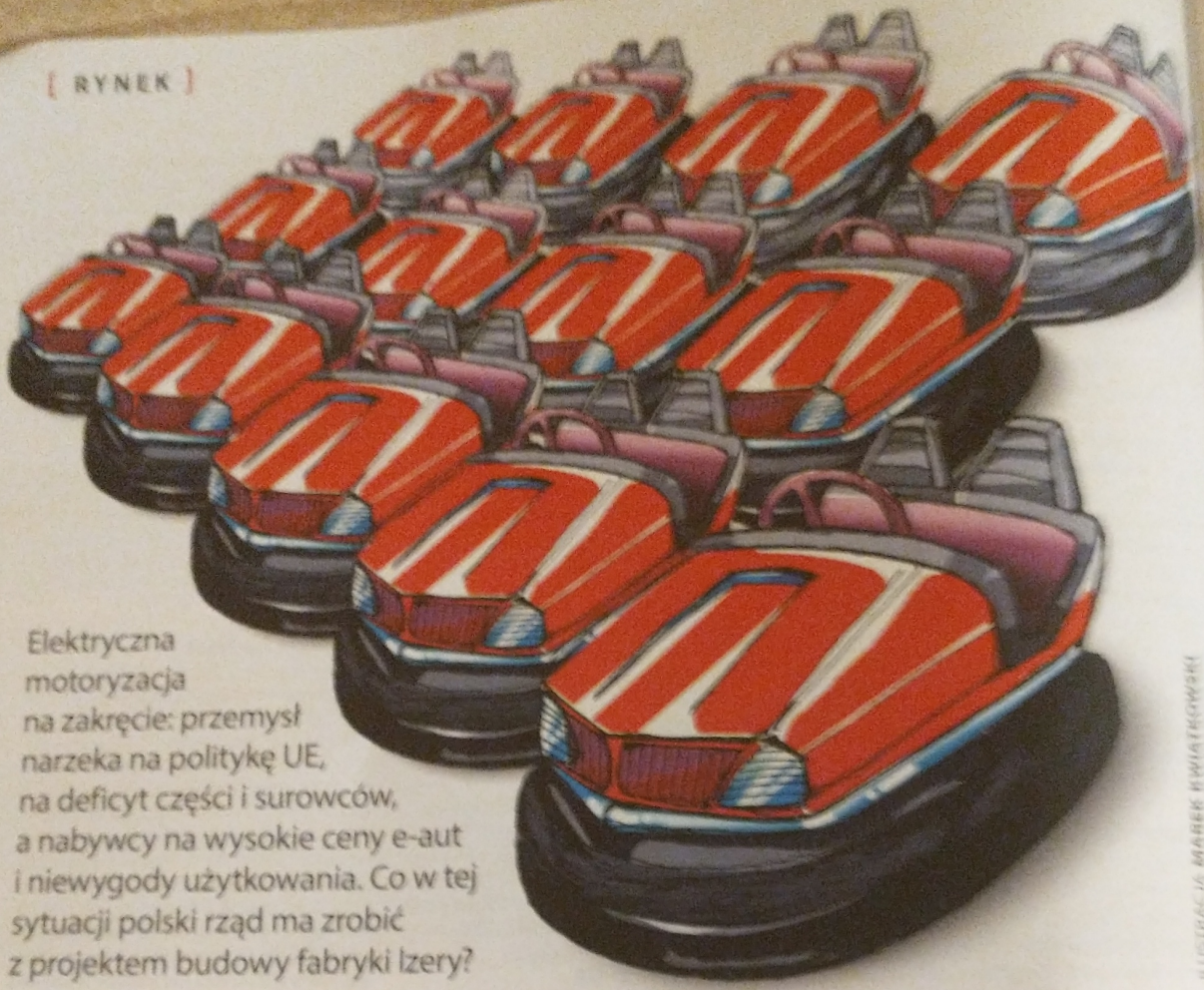

ILUSTRACJA MAREK KWIATKOWSKI

Elektryczna motoryzacja na zakręcie: przemysł narzeka na politykę UE, na deficyt części i surowców, a nabywcy na wysokie ceny e-aut i niewygody użytkowania. Co w tej sytuacji polski rząd ma zrobić z projektem budowy fabryki Izery?

Napięcia wokół elektryków

ADAM GRZESZAK

Rozległe pole w Jaworznie, w rejonie ul. Wojska Polskiego, przypomina pobojowisko. Jeszcze niedawno rósł tu las, ale już nie rośnie, bo na jego miejscu ma wyrosnąć wielka fabryka samochodów elektrycznych Izera. Takie w każdym razie było założenie. Na razie puste pole służy jako plan filmowy dla stacji telewizyjnych i twórców przedwyborczych klipów reklamowych. Dla jednych jako ilustracja tego, co zostało z megalomańskich projektów rządu PiS, dla innych jako wyrzut sumienia nowej władzy, która gotowa jest zaprzepaścić wielką gospodarczą szansę, jaką mogłoby stać się wprowadzenie Polski do ekskluzywnego klubu producentów aut na baterie.

„Miała być fabryka, a jest wycięty las" – mówił rok temu Donald Tusk, spacerując po polu, a kilka miesięcy później, w trakcie kampanii wyborczej na Śląsku, przekonywał, że „ogromny obszar wyciętego lasu i dzisiejsze pajacowanie premiera Morawieckiego są jedynym widocznym znakiem tej inwestycji". Inaczej na to patrzył prezydent Jaworzna Paweł Silbert (PiS) w trakcie kampanii samorządowej. Zapewniał mieszkańców: „Obiecuję państwu, że będę walczył, aby budowa fabryki Izery jednak się rozpoczęła. O to samo proszę każdego mieszkańca miasta: upomnijmy się wspólnie o to, by rząd Premiera Donalda Tuska nie zwlekał z pozytywną decyzją dla budowy". Mimo troski o Izerę przegrał przez KO. Druga tura zadecyduje, czy po 22 latach rządów odda prezydencki fotel.

Auto chińsko-włosko-polskie

Być może do tego czasu rozstrzygnie się sprawa fabryki, która miałaby produkować chińskie auta elektryczne z włoskim nadwoziem i polskim znaczkiem na masce. Taki w każdym razie plan ma państwowa spółka ElectroMobility Poland (EMP) powołana do stworzenia polskiego narodowego e-auta i uruchomienia jego

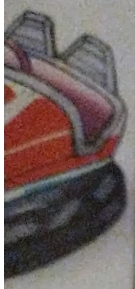

ILUSTRACJA MAREK KWIATKOWSKI

produkcji. – *Za kilka miesięcy minie ćwierć lat od narodzin EMP, a my nawet nie wiemy, jak ma wyglądać ten nasz przyszły elektryk. Nie ma choćby przedprototypu, choć produkcja ma ponoć ruszyć w połowie 2026 r. Nie mówiąc o tym, że nie ma też fabryki* – komentuje jeden z ekspertów branży motoryzacyjnej. Choć w mediach pojawiają się zdjęcia Izery, są to jednak materiały archiwalne pokazujące nieaktualne modele nadwozi. Te, które miałyby trafić na taśmę, zamówiono w innym studiu projektowym, choć także włoskim.

Pod tym nadwoziem ma kryć się chińskie auto stworzone przez firmę Geely, jednego z największych producentów e-aut z Państwa Środka, do którego należą też takie europejskie marki, jak m.in. Volvo, Polestar czy Lotus. Chińczycy, z którymi EMP podpisało już umowę, mają dostarczać swoje platformy SEA, czyli właściwie wszystko to, dzięki czemu auto jeździ – płytę podłogową z bateriami, silnikiem elektrycznym i falownikiem, zawieszeniem, układem kierowniczym, elektroniką itd.

„Izera jako chińska montownia nie jest dla Polski korzystna. Izera, która mimo chińskiego komponentu stawia szeroko na polskich podwykonawców, miałaby większy sens" – skomentowała na platformie X projekt budowy chińsko-włoskiego auta pod flagą biało-czerwoną Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, ministra funduszy i polityki regionalnej. Jednocześnie poinformowała, że „w KPO środki, które mogą być wsparciem dla tego projektu, przesuwamy z grantu do preferencyjnych pożyczek". Inaczej mówiąc, pomysłu nie skreślamy, ale bezzwrotnych pieniędzy z Unii Izera nie zobaczy. Bo pożyczkę trzeba będzie potem spłacić, a produkcja Izery obciążona jest ryzykiem i zapewne długo trzeba będzie dokładać do interesu.

Krajowy Plan Odbudowy w założeniu miał dostarczyć pieniędzy dla transformacji energetycznej, w tym też transportu niskoemisyjnego, choć akurat produkcji Izery, swego sztandarowego projektu, rząd PiS w planie wysłanym do Brukseli nie uwzględnił. Mimo że finansowanie inwestycji wciąż pozostaje niejasne, w marcu zarząd ElectroMobility Poland kierowany przez wieloletniego prezesa Piotra Zarembę podpisał list intencyjny z firmą Mirbud w sprawie budowy fabryki samochodów elektrycznych o mocy produkcyjnej 150 tys. sztuk rocznie. Na wieść o tym kurs akcji Mirbudu na giełdzie wzrósł, choć zamawiający nie ma wystarczającej kasy ani zgody właściciela. Niedługo potem prezes Zaremba pożegnał się ze stanowiskiem. Ale co dalej z projektem?

Kto tu rządzi?

Nie ma odważnego, kto podjąłby decyzję. Bo z jednej strony chodzi o kosztowną inwestycję, o wątpliwej na razie opłacalności, z drugiej zaś to inwestycja, która pochłonęła już setki milionów złotych (EMP dostała od państwa 0,5 mld zł), więc trzeba byłoby zaakceptować stratę. To także inwestycja rozwojowa związana z rodzącą się dopiero elektromobilnością. Za 10 lat UE chce zakończyć erę silników spalinowych, a polska branża motoryzacyjna jest wyspecjalizowana w produkcji silników i części do aut spalinowych, więc musimy znaleźć miejsce w nowej rzeczywistości.

Problem z Izerą wynika też z koalicyjnego charakteru rządu i rozproszonych kompetencji między ministrami z różnych partii. Bo sama EMP jako spółka, w której ponad 90 proc. ma Skarb Państwa (resztę mają państwowe spółki energetyczne), podlega ministrowi aktywów państwowych Borysowi Budce (KO). Jednak elektromobilność i transformacja energetyczna to kompetencje ministry klimatu i środowiska Pauliny Hennig-Kloski, a dokładniej zaś wiceministra Krzysztofa Bolesty (obaj z Polski 2050). Biorąc pod uwagę, że chodzi o politykę przemysłową i Śląsk, to w grę wchodzi też urzędująca w Katowicach ministra przemysłu Marzena Czarnecka (bezpartyjna). W sprawie unijnych pieniędzy, bez których Izera w ogóle nie ruszy, głos już zabrała ministra funduszy i polityki regionalnej Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz (Polska 2050). A przecież jest jeszcze Krzysztof Hetman (PSL), minister rozwoju i technologii, nie mówiąc o ministrze finansów Andrzeju Domańskim (KO), który nie będzie chętny do wydawania kolejnych miliardów z państwowej kasy.

– *Na razie strategia jest taka: popieramy produkcję aut niskoemisyjnych, w tym także Izery, gotowi jesteśmy udzielić wsparcia, ale nie ma zgody na państwową fabrykę samochodów elektrycznych. Obiecaną pożyczkę z KPO dostanie więc docelowy właściciel Izery, biorąc odpowiedzialność za los inwestycji i zaciągnięty dług. Tyle że znalezienie takiego nie jest proste* – wyjaśnia ekspert związany z projektem, dodając, że pojawia się też plan B, według którego Izera miałaby wejść na giełdę i tam znaleźć inwestorów. Ale to pomysł księżycowy, chyba że weszłaby na rynek NewConnect, gdzie pieniędzy poszukują jeszcze bardziej szalone projekty. Izera to nie Tesla, no i nie mamy Elona Muska, który mógłby inwestorom dać nadzieję na zyski.

Dlatego minister Budka wypowiada się dość niejasno. W marcu w Katowicach mówił, że rząd będzie starał się uratować teren w Jaworznie dla dużej inwestycji, być może związanej z elektromobilnością. „Nie może być tak, żeby bez konkretnego planu finansowego ktoś rzucał deklaracje. Na szczęście są inwestorzy, którzy chcą wchodzić w projekt elektromobilności, i jest szansa, że właśnie w tę stronę to pójdzie" – zdradził. Ale o kogo chodzi, już nie powiedział. – *A kto mógłby wejść w projekt produkcji samochodów Geely? Wiadomo, tylko Geely* – tłumaczy nasz rozmówca.

Chińczycy trzymają się mocno

Trwa więc namawianie Chińczyków, by zostali inwestorami w Izerze, jeśli im na tej fabryce zależy. A zależy bardzo, bo na wieść o tym, że nowy rząd się waha, szef Geely, Daniel Donghui Li, wysłał list do prezesa PFR Pawła Borysa, w którym przekonywał, by nie rezygnować z inwestycji. Obiecywał budowę fabryki baterii oraz „7 tysięcy miejsc pracy w fabryce", a także to, że Polska ma szansę znaleźć się wśród „kluczowych dostawców w łańcuchu wartości EV". Ale ani słowa o gotowości do zostania inwestorem w Izerze. I to mimo że Geely z EMP uzgodniło, iż w Jaworznie będą produkowane nie tylko Izery, ale także własne modele chińskiego koncernu. Chińczycy woleliby, by ryzyko wziął na siebie ktoś inny.

– *Europa jest dziś miejscem prawdziwej ofensywy chińskich koncernów motoryzacyjnych, zwłaszcza tych, które produkują auta elektryczne. A w tej dziedzinie Chińczycy są dziś światowymi liderami. Zdobyli kompetencje i rozbudowali swój przemysł aut elektrycznych ponad własne potrzeby, więc dziś muszą szukać rynków zbytu. USA bronią się przed nimi, a Europa z bogatymi konsumentami, systemem dopłat i planem przejścia na elektromobilność wydaje się miejscem wymarzonym* – tłumaczy Jakub Faryś, prezes Polskiego Związku Przemysłu Motoryzacyjnego.

Rozmawiamy podczas poznańskiego kongresu International Mobility Congress MOVE poświęconego elektromobilności, którego PZPM jest współorganizatorem. Tuż obok trwa Poznań Motor Show, więc prezes radzi, by zajrzeć do hal targowych, aby się przekonać, na czym polega problem. Sąsiednią halę targową wypełnia las małych stoisk, na każdym leży jakiś podzespół samochodowy, a za ladą siedzi chiński przedstawiciel gotowy do negocjacji. W kolejnej hali na wielkim stoisku swoje auta prezentuje koncern BAIC, wśród nich najnowsza limuzyna ▶

▶ Beijing 7. Są też inne chińskie firmy. Na tym tle dość blado wypada europejska konkurencja, zwłaszcza że niektóre marki były reprezentowane przez lokalnych dilerów.

„Przemysł motoryzacyjny, będący filarem europejskiej gospodarki, jest zagrożony przez napływ chińskich samochodów elektrycznych" – alarmuje Luca de Meo, dyrektor generalny Grupy Renault, w swoim dramatycznym „Liście do Europy". „W 2023 r. około 35 proc. pojazdów elektrycznych eksportowanych na całym świecie pochodziło z Chin. Logiczną konsekwencją tego trendu jest pięciokrotny wzrost europejskiego importu z Chin od 2017 r. To znacznie zwiększyło deficyt handlowy między Europą a Chinami, który obecnie wynosi prawie 400 mld euro po podwojeniu w latach 2020–2022!" – przekonuje.

– *Trudno odmówić racji dyrektorowi de Meo. Wyraził stanowisko całej europejskiej branży motoryzacyjnej. Nie boimy się konkurencji, ale musi się odbywać na równych warunkach. Jeśli chińscy producenci korzystają z rządowych subsydiów, a w UE z preferencyjnych ceł, natomiast europejscy producenci są dociskani przez Parlament UE i Komisję Europejską coraz ostrzejszymi regulacjami, to trudno mówić o równej konkurencji* – wyjaśnia prezes Faryś.

Komisja Europejska wszczęła już postępowanie dotyczące subsydiowania chińskich elektryków, co wywołało ostrzeżenia ze strony Pekinu przed retorsjami. Boją się ich szczególnie niemieckie koncerny samochodowe mające w Chinach spore inwestycje. Zresztą sam koncern Renault jest uwikłany w skomplikowaną zależność, bo jego model elektryczny Dacia Spring jest stosunkowo tani właśnie dzięki temu, że powstaje w Chinach.

Izera, czyli włosko-chiński model pod flagą biało-czerwoną.

Rynek aut na baterie przeżywa kryzys. Sprzedaż wprawdzie rośnie, ale w coraz wolniejszym tempie. I to nie tylko w Polsce, gdzie mieliśmy się właśnie zbliżać do miliona e-aut, a mamy ich nieco ponad 50 tys., ale także w Europie, USA, a nawet w Chinach.

– *Wszystko wskazuje na to, że brukselskie postępowanie niedługo dobiegnie końca. Przewiduje się możliwość wprowadzenia karnych ceł, które mogą wzrosnąć z obecnych 10 do nawet 25 proc.* – wyjaśnia dyrektor Maciej Mazur, szef Polskiego Stowarzyszenia Nowej Mobilności (PSNM) i prezydent brukselskiej organizacji The European Association for Electromobility (AVERE).

Od niedawna Mazur jest też członkiem rady nadzorczej ElectroMobility Poland, jednak zastrzega, że do rozmów o przyszłości Izery nie jest upoważniony. Prywatnie uważa jednak, że projekt wart jest realizacji pod warunkiem, że uda się pozyskać inwestora takiego jak Geely, bo na samodzielny rynkowy sukces Izera nie ma co liczyć. Inaczej, gdyby funkcjonowała w ekosystemie chińskiego koncernu. – *Jeśli UE podniesie cła na auta elektryczne importowane z Chin wówczas zniwelowane zostaną znaczne różnice cenowe w stosunku do europejskich producentów. Może to skłonić chińskie firmy do inwestycji w Europie, a także i w Polsce* – uważa Mazur, przewidując, że udział chińskich producentów w unijnym rynku może wzrosnąć do 20 proc.

Europo, pozwól żyć

Chińczycy to niejedyny kłopot europejskiego przemysłu motoryzacyjnego, który w 2035 r. będzie musiał zrezygnować z napędu spalinowego i całkowicie się zelektryfikować. Tymczasem rynek aut na baterie przeżywa kryzys. Sprzedaż wprawdzie rośnie, ale w coraz wolniejszym tempie. I to nie tylko w Polsce, gdzie mieliśmy się właśnie zbliżać do miliona e-aut, a mamy ich nieco ponad 50 tys., ale także w Europie, USA, a nawet w Chinach. Koncerny już tak się nie spieszą z kolejnymi elektrycznymi modelami. Tesla właśnie zrezygnowała z planowanego wprowadzenia w 2025 r. masowego taniego modelu swego e-auta.

Ceny elektryków są wciąż dużo wyższe niż spalinowych, a uciążliwości związane z ładowaniem dolegliwe. Wprawdzie udało się już znacznie skrócić czas napełniania baterii, ale publiczne ładowarki są w większości krajów rzadko rozlokowane, a czasem trudno dostępne. Kierowca nigdy nie może uwolnić się od lęku, że mu zabraknie prądu, zwłaszcza jeśli opuszcza granice miasta. Na dodatek cena energii elektrycznej w publicznych punktach ładowania jest na tyle wysoka, że koszty podróży e-autem i jego spalinowym odpowiednikiem niewiele się różnią. Rozwiązaniem może być wolne ładowanie z domowej sieci subsydiowanym prądem, tyle że mało kto ma ku temu techniczne warunki.

– *Samochody elektryczne są dziś kupowane głównie przez firmy (ich udział w rynku e-mobility przekracza 85 proc.). Popyt na nie w kolejnych latach nadal będzie się zwiększać. Przewidujemy, że do 2025 r. udział samochodów elektrycznych w rynku nowych pojazdów osobowych wzrośnie do ok. 12 proc. Kluczowe jest jednak wprowadzenie szeregu zmian regulacyjnych (w szczególności przyspieszających rozbudowę infrastruktury ładowania) oraz kontynuacja i optymalizacja programów wsparcia* – przekonuje prezes Mazur.

Tymczasem prezesi europejskich koncernów coraz głośniej kontestują unijne przepisy wymuszające pośpieszną elektromobilną transformację. „Poruszanie się na co dzień pojazdem elektrycznym o masie 2,5 tony jest oczywistym nonsensem środowiskowym. Problem polega na tym, że europejskie przepisy (dotyczące bezpieczeństwa, emisji spalin itp.) wywarły negatywny wpływ na rentowność segmentu małych samochodów, których sprzedaż spadła o 40 proc. w ciągu 20 lat" – twierdzi Luca de Meo. Podobnego zdania jest szef Stellantisa Carlos Tavares uważający, że rosnąca masa akumulatorów pozbawia e-auta ekologicznego sensu.

Wszystkie te apele i krytyka kierowane są już do przyszłego Parlamentu UE i nowej Komisji Europejskiej. Branża motoryzacyjna liczy, że zapowiadany na 2025 r. przegląd regulacji dotyczącej transformacji transportu skłoni UE, by zdjęła nieco nogę z gazu i wsparła przemysł zatrudniający 13 mln obywateli, czyli 7 proc. wszystkich pracowników najemnych w UE. Bo inaczej wylecimy na kolejnym zakręcie.

ADAM GRZESZAK

© BEZ ZGODY AUTORA

Rolnicy mieli być beneficjentami Europejskiego Zielonego Ładu. Gdyby ten program rzeczywiście został wyrzucony do kosza, staliby się ofiarami własnych żądań.

Czarny Ład

JOANNA SOLSKA

Na razie już nie blokują miast. Jeszcze w tygodniu przedwyborczym próbowali okupować Ministerstwo Rolnictwa, wybrali się pod domy posłów i europosłów ze zbiornikami gnojowicy i woreczkami z obornikiem. Ostatnim akcentem przed wyborami samorządowymi było żądanie 15 mld zł jako rekompensaty za niskie ceny. Protestujący zapowiadają jednak, że będą wracać na blokady, dopóki Unia Europejska nie zrezygnuje z Zielonego Ładu. – Już niedługo nie będzie wolno posiać marchewki w ogródku – straszy sprzedawczyni na warszawskim bazarze. Nie wyjaśnia dlaczego, ale i tak wiadomo – uprawy polskiej marchewki zabroni Unia, po to narzuca nam Zielony Ład.

Rolnictwa Zielony Ład dotyczy akurat w niewielkim stopniu. Jego głównym celem jest uniezależnienie Unii od paliw kopalnych przez szybszy rozwój zielonej energii, ale też jej bardziej oszczędne zużycie, co ma zahamować emisję gazów cieplarnianych, a więc także ocieplenie klimatu. Plan jest rozpisany do 2050 r.

Branża rolna emituje tylko 9 proc. ogółu gazów cieplarnianych, ale też musi ograniczyć emisje. Unia chce ten cel osiągnąć, wprowadzając do Wspólnej Polityki Rolnej tzw. ekoschematy: zwiększa dopłaty za proekologiczne zachowania, np. odejście od tradycyjnej orki pługiem czy mniejsze zużycie pestycydów. Przeciwko temu rolnicy protestują. Nie podoba im się też zawarta w Zielonym Ładzie troska o zachowanie bioróżnorodności, czyli ugorowanie kawałków gruntów, a także postulat powiększenia obszarów chronionych Natura 2000. Twierdzą, że Zielony Ład wykończy europejskie, a zwłaszcza polskie rolnictwo zagrożone dodatkowo importem produktów rolnych z Ukrainy. Zielony Ład zwiększy koszty produkcji, podczas gdy ceny płodów rolnych na światowych rynkach maleją i już teraz produkcja zbóż jest nieopłacalna.

Czesław Siekierski, minister rolnictwa, przyjmuje tę argumentację. – *Nie można obciążać rolników zadaniem przeciwdziałania zmianom klimatycznym, konieczne jest odejście od kosztownych wymogów Zielonego Ładu* – przyznaje. O ich ▶

© SWEN STRODE/SHUTTERSTOCK

▶ złagodzenie zabiega w KE Donald Tusk, ale na całkowite wyrzucenie Zielonego Ładu do kosza nie ma co liczyć. To jeden z największych unijnych programów. Komisja zgodziła się, że nie będzie karać za brak ugorowania gruntów, przesunie w czasie wymóg ograniczania ilości pestycydów, ale z ekoschematów, zachęcających rolników do proekologicznych zachowań, nie chce zrezygnować. Rolnicy też nie chcą ustąpić: żądają zwiększenia budżetu na Wspólną Politykę Rolną.

Tymczasem pula środków przeznaczona dla unijnych rolników, także na realizację Zielonego Ładu, została określona już wcześniej, obejmuje lata 2023–27. Zapisano ją w krajowych planach strategicznych, rząd PiS przygotował nasz jako jeden z pierwszych. Już wtedy określono, że większość pieniędzy w ramach WPR ma służyć środowisku i ochronie klimatu, czyli celom, które teraz wytycza Zielony Ład. Nowych pieniędzy na to nie będzie. Ale polscy rolnicy nie zostali pokrzywdzeni – przeciwnie.

Udział rolnictwa w polskim PKB wynosi zaledwie 2,5 proc., w unijnym już tylko 1,5 proc. W tegorocznym budżecie na wsparcie dla rolników zapisano ponad 74 mld zł. Licząc z dotacjami dla rolniczych ubezpieczeń KRUS oraz przywilejem niepłacenia PIT, to wsparcie sięga 5,5 proc. PKB. Oznacza to, że wartość sprzedanych przez rolników płodów rolnych jest ponad dwa razy niższa niż suma dotacji, jakie otrzymują. Przeciętnie każde gospodarstwo rolne, z 1,3 mln pobierających dopłaty, otrzymuje od Unii oraz od polskich podatników rocznie ponad 60 tys. zł. Tylko górnicy dostają więcej. Ogromne wydatki na naszą obronność to 4 proc. PKB. Na protesty wypadałoby więc spojrzeć także z tej strony.

Na kartonach przymocowanych do traktorów najczęściej pojawiało się hasło „Nie pozwolimy na ugorowanie!". O co chodzi? Docelowo z produkcji rolnej ma być wyłączone 10 proc. gruntów, na razie miało być 4 proc. Niech rosną tam nawet chwasty, byle zielone – dobrze wychwytują z atmosfery dwutlenek węgla. Ziemia ma w tym czasie odpoczywać bez chemii, w przeciwnym razie wkrótce nic się już na niej nie urodzi. Jerzy Plewa, który spędził w Brukseli sporo czasu jako wysoki urzędnik odpowiadający za wspólną politykę rolną, zapewnia, że Zielony Ład obowiązek ugorowania narzucał tylko na gospodarstwa większe niż 10 ha, w Polsce prawie 80 proc. ma mniej ziemi. Po protestach Komisja Europejska ustąpiła, kar nie będzie także w przypadku gospodarstw dużych. Protesty jednak nie ustały.

Protestują mali i duzi rolnicy. Duzi, bo „na gębę" dzierżawią ziemię od małych i oddają im za to unijne dopłaty. Gdyby teraz te cudze kawałki pozostawili nieobsiane, a dopłaty musieliby oddać ich formalnym właścicielom, byliby stratni. Z Zielonym Ładem nie ma to nic wspólnego; to PiS zamroził obrót ziemią, więc rolnicy uprawiają fikcję. Właściciele ziemi nie sprzedadzą ani nie wydzierżawią, bo stracą prawo do KRUS.

Z tego samego powodu, czyli rozdrobnienia krajowego rolnictwa, złość budzą inne ekoschematy, czyli większe dopłaty do hektara za troskę o środowisko, np. zastąpienie chemii nawozami naturalnymi czy uprawy bezorkowe. To warunek dla całej Unii. Nasi go nie chcą, bo uważają, że większe pieniądze należą im się bezwarunkowo, a uprawy bezorkowe to kolejna fanaberia Brukseli. Unia chce, żeby ziemi nie orać, tylko ją płytko spulchniać. Eksperci stwierdzili, że orka pługiem wysusza glebę, co przy ociepleniu klimatu i coraz bardziej gnębiącej rolników suszy ma ogromne znaczenie. Co gorsza, z przewracanych pługiem skib uwalnia się podtlenek azotu, który jest gazem cieplarnianym gorszym od metanu. Uprawa bezorkowa pomaga glebie oszczędzać wilgoć. Z badań Instytutu Rolnictwa i Gospodarki Żywnościowej wynika, że tylko z powodu suszy rolnicy w ostatnich latach stracili 20 proc. dochodów. Protestujący w ociepleniu klimatu jednak nie wierzą, chociaż ich najbardziej dotyka.

Nie chodzi im o to, żeby Zielony Ład poprawić, ma być wyrzucony do kosza, najlepiej „razem z Unią". Bruksela sama jednak pod polityczną presją wprowadza poprawki, choćby w sprawie nawozów i środków ochrony roślin, których zużycie Zielony Ład chciał docelowo ograniczyć aż o połowę, żeby żywność była zdrowsza. Ich wpływ na zdrowie konsumentów trudno zanegować, niszczą też bioróżnorodność, pogarszają jakość gleby. Ale tektury krzyczą, że wymóg jest niesprawiedliwy, Polska zużywa bowiem na hektar średnio 2 kg szkodliwych pestycydów, a Holandia aż 8 kg. Po redukcji nam wolno będzie zużyć zaledwie kilogram, a Holandii cztery.

Grzegorz Brodziak, zarządzający Goodvalley – dużym gospodarstwem na Pomorzu, zauważa, że w Danii przywiązującej dużą wagę do ochrony środowiska ta średnia wynosi właśnie 1 kg. Rząd PiS, który jako jeden z pierwszych w UE postulaty Zielonego Ładu zaakceptował, nie zorientował się, że niektóre zapisy są dla naszych rolników niekorzystne, z rolnikami nikt nie rozmawiał. Na kartonach protestujących nie ma informacji, że w Ukrainie na hektar zużywa się zaledwie 0,8 kg pestycydów. Protestujący przecież krzyczą, że mamy jeść polskie, bo zdrowe, a ukraińską żywność truje nas chemią. To nieprawda: Ukraina ma dobry klimat, ziemie i wielkotowarowe rolnictwo, w którym o racjonalnym użyciu nawozów decydują obserwacje satelitarne. Ale Gabriel Janowski, przed laty nieudany minister rolnictwa, teraz protestujący przeciwko Zielonemu Ładowi, wielkoobszarowego rolnictwa w Polsce sobie nie życzy. Polskie ma się opierać na małych gospodarstwach rodzinnych, które niczego optymalizować nie będą. W naszym kraju tylko 3 proc. gospodarstw rolnych ma więcej niż 50 ha, więc przed silniejszą konkurencją trzeba zamknąć granicę.

Rolnicy, zagrzewani do walki przez polityków, stali się coraz bardziej radykalni. – *Powstały ruchy oddolne, tworzone często przez kandydatów Konfederacji do samorządów lokalnych, a później pewnie i do europarlamentu, i one podgrzewają protesty. Organizują się w sieci* – wyjaśnia Wiktor Szmulewicz, prezes Izb Rolniczych. Pojawili się też samozwańczy przywódcy ogólnopolskiego protestu, rozsyłają do mediów maile, wypowiadają się „w imieniu polskich rolników", choć często nikt ich wcześniej w organizacjach rolniczych nie widział.

Hasła „zamknąć granice z Ukrainą" uzupełniono teraz słowami „zakazać tranzytu". Na początku protestów producenci zboża wymawiali rządowi PiS, że zmarnował dwa lata, w czasie których powinien zwiększyć przepustowość naszych portów i usprawnić transport kolejowy od granicy, żeby tranzyt z Ukrainy do portów odbywał się sprawniej i pod kontrolą. W tym okresie Turcja pobudowała nowe młyny, a Rumunia na tranzycie ukraińskiej pszenicy i kukurydzy zarabia coraz większe pieniądze, Polska wprowadziła embargo na ukraińskie zboża, z wyjątkiem tych, które przejeżdżają tranzytem. Na przykład do Niemiec czy Hiszpanii, gdzie susze uniemożliwiają już uprawę zbóż.

Uzgodnienia w sprawie „zakazu tranzytu" zapadły w jasnoncie, na corocznym spotkaniu rolników organizowanym przez Artura Balazsa. Przekonany co do jego sensu wydaje się także obecny wiceminister rolnictwa Michał Kołodziejczak. – *Z powodu niskiej ceny zboża rząd zdecydował się wprowadzić dopłaty dla rolników: 300 zł do tony* – tłumaczy. Obawia się jednak, że zboże przejeżdżające przez Polskę tranzytem zostawałoby

w kraju i ci, którzy je tanio kupili, dodatkowo chcieliby zarobić na dopłatach. Bo zboże wciąż jest bardzo tanie.

– *Po agresji Rosji na Ukrainę ceny żywności na świecie najpierw gwałtownie wzrosły, Food Price Index FAO skoczył ze 130 na prawie 170 pkt, ale potem zaczęły równie gwałtownie spadać* – przypomina Jerzy Plewa. Obecnie średnie ceny na rynku światowym są tylko o 17 pkt proc. wyższe od tych z lat 2014–16. Spadek cen zboża, który powoduje obniżkę cen innych grup żywności, wynika z coraz większego eksportu ziarna rosyjskiego i ukraińskiego, ale dobre zbiory były także w Brazylii i Argentynie. Na rynkach światowych mamy obecnie nadwyżkę zboża, a pierwszym graczem na nim jest Rosja; jej udział w eksporcie zboża wynosi już 31 proc. Próbuje ona odebrać Ukrainie jej dotychczasowe rynki, żeby pozbawić ją pieniędzy na prowadzenie wojny. To Rosja, zalewając światowe rynki zbożem zarówno swoim, jak i zrabowanym Ukrainie, jest sprawcą niższych cen światowych zboża. Polskim rolnikom wskazano innych winnych: Unię i Ukrainę.

Protesty rolników odbywają się w całej Europie i wszędzie manipuluje nimi antyunijna prawica, wykorzystując emocje rolników. Ich dochody się kurczą mimo ogromnego wsparcia w ramach wspólnej polityki rolnej, na którą przeznacza się aż 30 proc. unijnego budżetu. Przyczyną ich obecnych problemów nie jest jednak Zielony Ład, który w rolnictwie nie zaczął nawet być realizowany. Odwrotnie – powstrzymanie ocieplenia klimatycznego i rezygnacja z paliw kopalnych na rzecz odnawialnych źródeł energii, czyli dwa najważniejsze cele Zielonego Ładu, mogą rolnikom pomóc. To droga energia spowodowała, że ceny środków produkcji w rolnictwie są coraz wyższe, nożyce cen między środkami produkcji a cenami skupu rozwarły się szeroko. Ci, którzy zaprzeczają zmianom klimatycznym, nie wskazują sposobów, jak w bliskiej perspektywie obniżyć ceny energii. Ta z polskiego węgla jest coraz droższa, gdyż węgiel wydobywać trzeba z większej głębokości. Dlatego na hałdach leży 9 mln ton, a górnicy żądają nie tylko rezygnacji z importu węgla, ale i zakazu sprowadzania tańszej niż polska energii elektrycznej z innych krajów UE: Niemiec, Włoch czy Czech.

Wysokie ceny energii najbardziej uderzyły właśnie w rolników, ich gospodarstwa zużywają jej najwięcej. Drogi prąd to także drogie nawozy. To rolnikom powinno zależeć najbardziej na zastąpieniu drogiego prądu z węgla, szkodzącemu zarówno klimatowi, jak i zdrowiu. Rozwój odnawialnych źródeł energii (np. biogazowni) nie podoba się jednak związkowcom górniczym. Do protestujących rolników dołączyli więc związkowcy z Solidarności Piotra Dudy. Głoszą, że bronią interesów wsi, ale bronią własnych, czyli wysokich cen energii i wysokich własnych zarobków.

Bartosz Urbaniak, odpowiadający za rynki agro w Europie i Afryce w BNP Paribas, mówi wprost, że protestującymi rolnikami manipulują rosyjscy agenci. Bo Zielony Ład jest dla Rosji groźny. Jeśli uda się zrealizować jego cele, czyli rezygnację z paliw kopalnych, Rosja straci dużą część dochodów budżetu, a więc i środków na prowadzenie wojny.

Na proteście przed Urzędem Wojewódzkim w Lublinie Krzysztof Bosak, wicemarszałek Sejmu z Konfederacji, pochwalił rolników, że na żółtych kamizelkach umieścili napis „polexit". Agencja Rozwoju i Modernizacji Rolnictwa wyliczyła, że od momentu akcesji w 2004 r. na konta polskich rolników wpłynęło 471 mld zł, w tym ze środków unijnych 80 mld euro. Ale Unia, podobnie jak jej Zielony Ład, ma dzisiaj na polskiej wsi czarny wizerunek.

JOANNA SOLSKA

O sporach o przyszłość energetyki czytaj też na s. 54.

REKLAMA

Albatros travel

Sprawdź cenę!

Królewskie miasta Maroka i relaks w Agadirze

Dołącz do naszej magicznej podróży po starych, królewskich miastach, górach Atlas, piaskach Sahary i zrelaksuj się na plaży w nadmorskim kurorcie Agadir.

Najważniejszymi punktami naszej wycieczki są cztery królewskie miasta Maroka: Fez, Marrakesz, Meknes i Rabat, obecna stolica kraju, gdzie zobaczymy okazałe pałace, meczety i kolorowe targi. Atmosfery rodem z baśni 1001 nocy zakosztujemy nocując w wygodnych namiotach na obrzeżach pustyni Sahara, gdzie z bliska zobaczymy ogromne wydmy oraz poznamy życie współczesnych Berberów. Podróż zakończymy trzema dniami relaksu w hotelu przy plaży w Agadirze.

12 dni | Wylot z Warszawy 23/11 2024

Sprawdź cenę!

Hiszpania i Maroko – śladami Maurów

Wspaniała architektura, historyczne miasta i zapierające dech w piersiach widoki podczas wycieczki do Hiszpanii i Maroka.

W programie zwiedzanie Malagi i Kordoby oraz słynnej Alhambry w Grenadzie, a także brytyjskiej kolonii Gibraltar, gdzie Maurowie w 711 roku po raz pierwszy postawili stopę na Półwyspie Iberyjskim. Po przeprawie promem do Maroka odwiedzimy stare miasta handlowe jak Tanger, Casablankę i Marrakesz z ich atmosferą jak z bajek 1001 nocy i imponującymi meczetami, a także odwiedzimy byłą portugalską kolonię Essauoira, która kusi wszelkimi owocami morza i słynnymi „latającymi" kozami!

11 dni | Wylot z Warszawy 21/10 2024

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przelot relacji, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Premierowanie to nie wyzwanie

Jan Krzysztof Bielecki w rozmowie z Maciejem Głogowskim, dziennikarzem TOK FM, wspomina zarówno o tym, jak zarabiał na życie jako kierowca ciężarówki, jak też o swoim udziale w czasach polskiej transformacji.

JOANNA SOLSKA

Kiedy Lech Wałęsa, już jako prezydent, wezwał do Belwederu Jerzego Borowczaka i Bogdana Lisa, działaczy stoczniowej Solidarności, poinformował ich, że ma dla nich ministra odpowiedzialnego za gospodarkę. – Kogo? – zapytał Lis. – Krzysia Bieleckiego – odpowiedział Wałęsa. Lisek złapał się za głowę i mówi, Boże drogi, to zrób go lepiej premierem – opowiada Jerzy Borowczak. Był styczeń 1991 r., Bielecki umówił się z prezydentem, że szefem rządu będzie przez trzy miesiące, do pierwszych prawdziwie wolnych wyborów. Wybory odbyły się dopiero w październiku, JKB zdobył rekordową, jak na tamte czasy, liczbę głosów, 140 tys. Mimo że nie prowadził żadnej kampanii wyborczej; premier miał zarządzać krajem, a nie zabiegać o głosy – twierdzi w wywiadzie rzece, który poprowadził Maciej Głogowski.

Wielu pamięta wizytę premiera w zakładach Ursus, które już wtedy miały poważne kłopoty, relacjonowaną przez TVP. Bielecki wsiada do rządowej limuzyny, żując w ustach obelżywe, jak się domyślamy, słowa i z hukiem zatrzaskuje drzwi. Teraz wspomina, że oprócz związkowców i dyrekcji zakładu był tam także jako ekspert Andrzej Gąsiorowski, późniejszy bohater afery Art.-B. Mamił ludzi z zakładu magią lewarowanych transakcji finansowych, które pozwolą im produkować ciągniki na brytyjskiej licencji dla całej Europy – wspomina. Przy okazji Ursusa JKB zdumiał się też, że państwowe banki udzielają pożyczek inwestycyjnych, nie kontrolując sposobu ich wydawania. Dlatego, wsiadając do samochodu, użył słowa „sabotaż" i do dziś nie zmienił zdania.

Zostając premierem, Jan Krzysztof miał pojęcie o gospodarce rynkowej dużo większe niż dyrektorzy Ursusa. Jeszcze w czasach PRL, gdy nie można było zakładać prywatnych firm konsultingowych, jako współzałożyciel Spółdzielni Doradca, robił dla państwowych przedsiębiorstw analizy opłacalności inwestycji. Nawiązali nawet współpracę z Międzynarodową Korporacją Finansową. Po transformacji Doradca cieszył się ogromnym wzięciem. Dorobili się komputera i wyliczali państwowym przedsiębiorstwom, przy jakich parametrach mogą wpaść w znienawidzony „popiwek", czyli podatek od ponadnormatywnych wynagrodzeń, zastosowany przez Leszka Balcerowicza (wicepremiera i ministra finansów w jego rządzie) do walki z inflacją. Już jako szef profesora JKB chronił jego reformy. Iskrzyło między nimi potężnie, ale złego słowa o Balcerowiczu w książce nie ma.

Niewiele mówi też Bielecki o RWPG, czyli Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, która pod egidą Związku Radzieckiego skupiała wszystkie kraje socjalistyczne. Miała nawet wspólną walutę, którą był rubel transferowy, jego kurs do walut pozostałych członków także ustalała Moskwa. RWPG wyznaczała poszczególnym członkom ich specjalizacje eksportowe, naszą była produkcja kosmetyków i statków. Problem ze statkami był taki, że z ich sprzedaży uzyskiwaliśmy ruble transferowe, nieznane na Zachodzie, ale wyposażenie do nich trzeba było kupić za waluty wymienialne, u nas bezcenne.

Kiedy Bielecki zostawał premierem, Polska ciągle była członkiem RWPG, podobnie jak pozostałe „demoludy". W kraju przestawialiśmy się na gospodarkę rynkową, z którą członkostwa w RWPG pogodzić się nie dało. W naszym obozie zaczęto dyskutować o jakiejś neo-RWPG. Powiedzenie Moskwie „żegnajcie" groziło odcięciem od dostaw ropy i gazu. Polacy wiedzieli, co to znaczy – permanentny brak paliwa doskwierał nam przez całe lata 80. Bielecki także trzymał dwa kanistry z benzyną na swoim balkonie. Polski premier jednak marzył, abyśmy uciekli ze Wschodu na Zachód.

Wtedy marzyły o tym także Węgry. JKB porozumiał się z Józsefem Antallem, ówczesnym premierem Węgier, i odmówili uczestnictwa w neo-RWPG. Zagrywka nie do końca była pokerowa. Związek Radziecki się rozpadał, udało się zlikwidować Układ Warszawski, moment do rezygnacji był dobry. Bielecki, jak tylko zaproszono go do Waszyngtonu, nie omieszkał zadeklarować, że Polska chciałaby wejść do NATO. Potrafił nawet wykorzystać taką okazję, jaką był pucz Janajewa, który pod znakiem zapytania postawił dalsze negocjacje z Rosjanami na temat wycofania z Polski ich wojsk. Pucz osłabił Gorbaczowa, przychylniej nastawił też Zachód do polskich oczekiwań. W październiku 1991 r., w ostatnich dniach premierostwa Bieleckiego, doszło do parafowania porozumienia, w ramach którego wojska rosyjskie miały się wycofać z Polski w ciągu dwóch lat. Wznowił też rozmowy stowarzyszeniowe z UE. Dużo jak na dziewięć miesięcy.

Kazimierz Górski powiedział Bieleckiemu, że zmarnował życie; uważał go za świetnego piłkarza. JKB czasem grał z jego orłami. Żal do niego ma także prezydent Wałęsa, który chciał, aby po raz drugi został premierem. Bielecki, żeby mu nie odmawiać, zadekował się gdzieś, gdzie nie odnalazły go nawet służby. Do dziś nie lubi, gdy mówi się do niego „panie premierze", nie uważa, by to było wyzwanie w jego życiu najważniejsze. W rozmowie z Maciejem Głogowskim wspomina z dumą zarówno o tym, jak zarabiał na życie jako kierowca ciężarówki Star, jak też o dziesięciu latach spędzonych w Londynie w Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju. Wrócił do kraju na stanowisko prezesa Banku Pekao, wtedy jeszcze włoskiego, ale gdy Włosi postanowili ograniczyć kompetencje polskiego prezesa, rzucił świetnie płatną robotę.

Wielu czytelników, którzy o przyjaźni JKB z Donaldem Tuskiem chcieliby wiedzieć więcej, rozczaruje się rozmową. Bielecki tego wątku nie rozwija. Na pytanie, czy mu jednak cichcem nie doradzał, odpowiada krótko: „Już raz mu doradziłem wydłużenie wieku emerytalnego, źle się to skończyło".

Maciej Głogowski „JKB". Wydawnictwo Region. Gdynia 20[illegible]

Sprawa chłopska

Wydanie papierowe – od 24 kwietnia w kioskach i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio - **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

KUP TERAZ

POMOCNIK HISTORYCZNY
Ponad 60 tytułów

Sprawdź na
sklep.polityka.pl

Bogini wyszła z kuchni

© DANISH SIDDIQUI/REUTERS/FORUM

Pół miliarda Indusek zdecyduje o wyniku rozpoczynających się indyjskich wyborów. Dlatego politycy prześcigają się w kuszeniu ich obietnicami. A one korzystają.

PAULINA WILK

W piątek 19 kwietnia nad Gangesem rusza wyborczy maraton. Głosowania w kraju zostały podzielone na siedem faz, potrwają sześć tygodni, a wyniki poznamy 4 czerwca. Do oddania głosu w tym roku uprawnionych jest aż 970 mln osób, czyli więcej, niż gdyby do urn wybrały się całe populacje USA, Unii Europejskiej i Rosji łącznie. Powstanie milion komisji wyborczych, w których pracować będzie ponad 15 mln osób przy użyciu 5,5 mln elektronicznych maszyn do głosowania.

Trzeba je będzie wieźć przez pustynie, lodowce i góry. Samochodami, łodziami, na wielbłądach i słoniach. Zgodnie z obietnicą, że w czasie wyborów demokracja dotrze do każdego

zakątka Indii, członkowie komisji wyborczej będą się wspinać nawet do wioski Melogam, położonej w północnym stanie Arunachal Pradesz przy granicy z Mjanmą i Chinami, by zagłosować mogła jedyna zarejestrowana tam obywatelka.

W całych Indiach zarejestrowanych jest aż 2660 ugrupowań politycznych. Ale lider jest tylko jeden – urzędujący od 2014 r. premier Narendra Modi, który wyznaczył ambitny cel: prowadzona przez niego BJP (Indyjska Partia Ludowa) oraz koalicja pod jego przewodnictwem mają za zadanie zdobyć aż 400 z 545 mandatów w niższej izbie parlamentu. Przeciwko tej sile zjednoczyły się aż 24 opozycyjne partie, które w koalicji działającej pod akronimem INDIA starają się nie tyle zatrzymać triumfalny pochód rządzących, ile w ogóle zaistnieć. Albo – jak alarmują w manifestach wyborczych – powstrzymać osuwanie się indyjskiej demokracji w autorytaryzm.

Idzie trudno, także dlatego że sojusz jest skłócony i mało przekonujący. Ale walka będzie zacięta, bo w indyjskim systemie wyborczym wielkie znaczenie mają języczki u wagi, a w ostatnich latach okazały się nim przede wszystkim głosy kobiet. Dlatego na kuszenie Indusek rozmaitymi programami pomocowymi idzie pokaźna część kampanijnych wydatków. A będą to nie tylko najdłuższe, ale i najdroższe wybory w historii kraju – wydatki partii i kandydatów pochłoną ok. 14 mld dol. Dlaczego Induski są warte takich nakładów?

Więcej i silniej

W tym roku do udziału w wyborach zarejestrowało się 470 mln kobiet, to o 40 mln więcej niż pięć lat temu. Ten wzrost pokazuje, że rośnie liczba pań w dorosłej populacji, a także ich polityczna aktywność. Szczególnie u milionów kobiet ze wsi i z ubogich rodzin już sam wysiłek zarejestrowania się świadczy o determinacji – trzeba czasu i pieniędzy na dojazd, a także świadomej decyzji, że chce się z prawa wyborczego skorzystać.

Kobiety stanowią już 46 proc. głosujących, a frekwencja wśród nich jest wyższa – średnio o 15 pkt proc. – od frekwencji mężczyzn i przez pół wieku wystrzeliła w górę o 235 proc. Co równie ważne, ta aktywność jest częścią utrzymującego się od lat trendu, który właśnie odwraca polityczną wagę obu płci. Od 1991 r. aktywność wyborcza panów nad Gangesem spada, kobiet zaś wyraźnie rośnie. W 1962 r. odsetek Indusów przy urnach wyborczych był aż o 16 pkt proc. wyższy niż Indusek. W ostatnich wyborach jednak to one po raz pierwszy były minimalnie górą. I teraz szala będzie się przechylać na ich stronę.

Wynika to również z tego, że rośnie odsetek kobiet w całej populacji. Jeszcze według spisu powszechnego z 2011 r. na 1 tys. chłopców rodziło się zaledwie 940 dziewczynek – to skutek preferencji rodzin, selektywnych aborcji i złożonej kultury promującej posiadanie synów. W ciągu dekady doszło jednak do radykalnej zmiany i dziś – wedle danych rządowych – nad Gangesem rodzi się aż 1020 dziewczynek na 1 tys. chłopców. Większej liczbie dziewczynek udaje się przeżyć do piątego roku życia, a to już sygnał, że ich dobrostan i status w społeczeństwie się poprawiają.

Wzmożona aktywność wyborcza kobiet to jednak zjawisko znacznie szersze niż sam efekt statystyczny. Bo Induski uwielbiają głosować. Z tego prawa – z powagą, a często także w duchu celebracji – chętnie korzystają nawet masy niezamożnych i słabo wykształconych kobiet. Z dumą pokazują do kamer i aparatów zabarwione tuszem palce (proste zabezpieczenie przed podwójnym głosowaniem).

I odkąd na mocy konstytucji republiki Indii z 1952 r. otrzymały równe i uniwersalne prawa wyborcze (wcześniej ograniczały je m.in. wiek i status majątkowy), właśnie z przywileju głosowania korzystają licznie i chętnie. Wielu innych swoich uprawnień, choćby praw do dziedziczenia, nie egzekwują z porównywalną determinacją. Rosnące uczestnictwo w wyborach nie idzie też w parze ze zwiększeniem zatrudnienia kobiet, a długo stało też w sprzeczności z tradycjonalistycznym ograniczaniem zadań Indusek do sfery prywatnej, z brakiem samodzielności finansowej czy w ogóle prawa do funkcjonowania w sferze publicznej.

W przeszłości, choć Induski w głosowaniu uczestniczyły, to ogromna ich liczba nie podejmowała decyzji wyborczych ani samodzielnie, ani świadomie – głosowały często tak, jak wskazywali im mężowie. Teraz i to się zmienia.

Za miskę ryżu

Indyjska demokracja ma wyraźny rys klientelizmu. Głosy wyborcze się kupuje, bardziej lub mniej dosłownie. Normą jest rozdawnictwo, zapewnianie darmowych usług publicznych, stypendiów i dopłat wybranym grupom – w zamian za poparcie. A w czasie samej kampanii: przekazywanie talonów na paliwo i żywność albo wprost rozdawanie gotówki. O ile jednak Induski przez dekady zadowalały się ochłapami z męskiego stołu (wystarczały już niewielkie zachęty – przydziały mąki, ryżu czy paliwa), o tyle w ciągu ostatnich 10 lat skala inwestycji w ich interesy, a także stawka ich mobilizacji wyborczej wyraźnie wzrosła. I to bez wątpienia sukces strategii prawicowego rządu Modiego.

Premier mocno postawił na kobiety, a liczne decyzje parlamentu i rządu pozwoliły skierować znaczące środki na programy mające poprawić ich życie. Najgłośniejsze były dwa. Jeden to akcja budowania sanitariatów z dostępem do wody bieżącej. Modi obiecał „łazienkę i godność" każdej Indusce – do 2022 r. postawiono ponad 110 mln sanitariatów, choć wiele było niskiej jakości, część niesprawnych, a część pozostaje nieużywana.

Drugi program upowszechnił dostęp do usług bankowych: do konta, kredytów, zasiłków i ubezpieczeń. Pozwolił utworzyć 460 mln nowych rachunków (połowa z nich należy do kobiet) i przyczynił się do zmniejszenia wykluczenia finansowego Indusek. Części z nich pomógł się usamodzielnić przez dostęp do oszczędzania, małych pożyczek czy rządowych zasiłków, które bezpośrednio trafiały na ich własne konto.

Od 2016 r. władze realizują też program podłączania butli gazowych w domowych kuchniach, a to duża zmiana w komforcie gotowania. Wiele Indusek wciąż przygotowuje posiłki na kuchniach opalanych drewnem, muszą o świcie zbierać opał, całe rodziny chorują od wdychania dymu. Gotowanie na gazie to spory komfort, nic dziwnego, że właśnie ten program okazał się ogólnokrajowym przebojem wśród kobiet.

W ostatnich latach w wyborach do zgromadzeń stanowych partia Modiego stosowała i prostsze narzędzia: np. wypłacanie 1 tys. rupii (niecałe 50 zł) wszystkim dorosłym mieszkankom w stanie Madhja Pradesz w 2023 r., gdzie BJP wybory wygrała wyraźnie właśnie ich głosami. Podobny zabieg zadziałał w Karnatace. Pieniądze wypłacane były na osobistą kartę i powiązane z nią konto, co zminimalizowało ryzyko, że środki zostaną przejęte przez mężów czy ojców.

W trwającej kampanii wyborczej Modi wytoczył dodatkowe działa: m.in. zapewnił dopłaty do napełnienia butli gazowych, darmowe szczepienia, ułatwił dostęp do ubezpieczeń zdrowotnych i zwiększył środki przeznaczone na program, którego celem jest kreowanie liderek – „przedsiębiorczych sióstr". W tym pomyśle rzutkie kobiety z wiosek otrzymują pieniądze, szkolenia i sieć kontaktów, które mają zwiększyć ich przychody i katapultować je do zamożniejszej warstwy społecznej. ▶

▶ Przede wszystkim jednak BJP zadbała o zrealizowanie programów informacyjnych, które przypomniały Induskom, jak wiele zawdzięczają rządowi i samemu premierowi. Strategia łączenia postaci Modiego z poprawą losu kobiet sprawdza się znakomicie. Choć wiele pytanych Indusek nie potrafi wymienić nazwisk osób z władz lokalnych ani polityków działających w sąsiedztwie, to prawie wszystkie znają Modiego. Władzom udało się wytworzyć skojarzenie, że Modi jest jak brat, zawsze blisko, rozumie ich codzienność i potrzeby. I choć to zabiegi propagandowe, premierowi należy oddać, że dotąd żaden przywódca nie inwestował w kobiety tak pragmatycznie i konsekwentnie.

Co trzecia

Jesienią 2023 r. zdominowany przez partię Modiego parlament przyjął historyczną ustawę (procedowaną przez blisko trzy dekady!) gwarantującą kobietom 33 proc. miejsc w dwuizbowym parlamencie oraz w zgromadzeniach stanowych. Co prawda ustawa zacznie w pełni obowiązywać dopiero za kilka lat, ale jej znaczenie może się okazać olbrzymie.

Gdy w 1993 r. Indie zagwarantowały kobietom 33 proc. mandatów w panczajatach – lokalnych samorządach, Induski zaczęły odgrywać tam ważną rolę, zasłynęły sensownymi i skutecznymi decyzjami, kierowaniem inwestycji na rozwój edukacji, infrastruktury sanitarnej i komunikacyjnej. Ale wydarzyło się coś jeszcze – kobiety zaktywizowały się wysoko ponad przyznany im próg, dziś w samorządach lokalnych zajmują aż 44 proc. miejsc.

Na szczeblu stanowym i krajowym ten wskaźnik wciąż wynosi zaledwie 10–15 proc. Mniej więcej tyle miejsc panie dostają na listach partyjnych od prawa do lewa sceny politycznej. W tych wyborach BJP po raz pierwszy wprowadziła na listy w stołecznym Delhi aż dwie kandydatki (na siedem mandatów). Ma to jednak wciąż znaczenie symboliczne, bo co prawda liczba kobiet kandydujących w różnych wyborach wzrosła od lat 50. aż siedmiokrotnie, jednak kobiety nie wygrywają wyborów. System władzy politycznej pozostaje zdominowany przez mężczyzn.

Rośnie więc rozdźwięk – o ile wyborcza aktywizacja kobiet jest faktem, o tyle na stanowiskach decyzyjnych pozostają rzadkimi figurantkami. Niepodległe od 75 lat Indie miały zaledwie jedną kobietę na stanowisku premiera (zresztą sukces Indiry Gandhi wynikał z jej związków rodzinnych), tylko dwie kobiety w fotelu prezydenta (a to rola ledwie ceremonialna) i tylko 15 kobiet w roli szefowych rządów stanowych. W globalnym zestawieniu 185 krajów o największej dysproporcji w reprezentacji politycznej kobiet Indie, najludniejsza demokracja globu, zajmują 141. miejsce. Dlatego przyjęcie ustawy gwarantującej paniom 33 proc. mandatów parlamentarnych ma wymiar rewolucyjny.

Indyjska Partia Ludowa nie jest oczywiście jedynym ugrupowaniem, które kusi kobiety obietnicami. Opozycyjny Indyjski Kongres Narodowy stara się podbijać stawkę, w tej kampanii obiecywał m.in. miesięczne wypłaty 1,8 tys. rupii (86 zł) dla każdej kobiety po 18. roku życia albo zasiłek 2 tys. rupii miesięcznie dla kobiet będących głową rodziny. Od innych ugrupowań były też darmowe przejazdy autobusami, rowery w prezencie dla dojeżdżających do szkół dziewcząt, o darmowych workach ryżu czy beczkach nafty wspominać nie warto.

Dla wszystkich partii jest jasne, że ich los zależy od tego, jak skutecznie przekonają do siebie kobiety. I choć transakcyjny charakter, jaki ma relacja Indusek z polityką, może razić, to po latach jednostronności i wyłudzania ich głosów proporcje zaczynają się wyrównywać.

Induski mają zresztą bogatą przeszłość polityczną nad Gangesem. Angażowały się aktywnie w ruch niepodległościowy w latach 20. i 30., gdy Indie pozostawały najcenniejszą brytyjską kolonią. Wychodziły na ulice, prowadziły bojkoty zagranicznych towarów, języka angielskiego. A gdy ich mężowie siedzieli w aresztach, zajmowały ich miejsca przywódcze i kontynuowały sprzeciw. To ruch oporu dał im podmiotowość: skoro mogły maszerować i walczyć, mogły też mieć wolność i prawa równe mężczyznom.

Mahatma Gandhi był entuzjastą wolności i aktywizacji kobiet. Swej współpracownicy i działaczce feministycznej Mriduli Sarabhai mówił: „Wyprowadziłem Induski z kuchni. Waszą rolą jest dopilnować, by tam nie wróciły".

Po uzyskaniu niepodległości walka o prawa kobiet toczyła się fragmentarycznie. Nie udało się przeforsować jednego kodeksu cywilnego, zapewniającego im faktyczne równouprawnienie. Zamiast tego pojawiły się osobne ustawy regulujące m.in. małżeństwa, dziedziczenie, opiekę nad dziećmi. Wraz z nimi różnice w regulacjach praw obywateli, w tym kobiet, ze względu na ich wyznanie. Na papierze status kobiet w Indiach poprawił się radykalnie, uregulowano nawet obszary, w których uzyskały one szczególne przywileje: osobne miejsca w środkach transportu publicznego, zasiłki.

Indyjskie feministki koncentrowały się nie na ogólnym, uniwersalnym podnoszeniu statusu kobiet, tylko na poszczególnych problemach: przemocy domowej wynikającej z nadużywania alkoholu albo tradycji wręczania posagu, na gwałtach. Brały udział w protestach przeciwko zwyżkom cen żywności, stworzyły samopomocowe stowarzyszenie kobiece SEWA, które od ponad pół wieku pozwala im rozwijać przedsiębiorczość. Kobiety były aktywne we wszystkich ugrupowaniach politycznych – od komunistycznych bojówek po partie konserwatywne. Ale we wszystkich tych formacjach grały najwyżej trzecie skrzypce.

Gotowanie na gazie to spory komfort. Nic dziwnego, że właśnie ten program Modiego okazał się przebojem wśród kobiet.

Siostry, pomóżcie

Zmienił to dopiero Modi. A kluczem do jego feministycznego sukcesu jest błyskotliwy zabieg symboliczny. Otóż zgodnie z utrwalonym w tradycyjnej obyczajowości wizerunkiem kobiety jako strażniczki domowego ogniska udzielanie się publicznе było czymś niegodnym, mogącym sprowadzić dyshonor na całą rodzinę. Kobieta miała rolę przede wszystkim służebną i pomocniczą, świadczyła ją jako tzw. sewę – bezinteresowne wsparcie innych. I w ten bęben zaczął uderzać kilka lat temu Modi, wzywając „indyjskie siostry" na pomoc nowym Indiom. Korzystając z patetycznych metafor, przypominał o tym, że kraj nie będzie szczęśliwy, dopóki zadbane nie będą matki i córki.

Skutecznie ograł tym konserwatywnych ojców i mężów. Wytrącił im argument pozwalający hamować kobiety w chęci głosowania. A samym Induskom dał przekonującą motywację – honorową i pragmatyczną. Bo nic nie działa tak jak gotówka w dłoni i czysta woda w kranie. To, co zaczęło się jak typowy układ klientelski, nałożyło się na szersze procesy emancypacji i postępującej edukacji Indusek. Na zmianę świadomości. Dlatego ich szanse na wyzwolenie z politycznej dyskryminacji są dziś bardziej realne niż kiedykolwiek. Do kuchni już nie wrócą.

PAULINA WILK

Ognisko na piasku

Nowy pakt migracyjny wraz z unijnymi porozumieniami z państwami Afryki Północnej może usunąć migrację z pola widzenia europejskich wyborców. Ale nie rozwiąże problemu.

MARCIN ŻYŁA

© BORJA SUAREZ/REUTERS/FORUM

Gdy Moctar Dan Yaye widzi płomień nad horyzontem pustyni, cieszy się. Mówi na to ogień nadziei. To znak, że ktoś potrzebuje pomocy. Ten 30-letni mężczyzna mieszka w Agadezie, głównym mieście środkowego Nigru. Kilka lat temu wraz z kolegami założył Alarme Phone Sahara, organizację pomagającą migrantom. Przez Niger wiedzie główny szlak migracyjny Afryki. Agadez to najważniejszy punkt przesiadkowy na trasie.

– *Według naszych badań tylko 8 proc. ludzi ma zamiar dotrzeć do Europy. 70 proc. to pracownicy sezonowi jadący do Libii czy Algierii. Z nastaniem pory deszczowej wracają do swoich krajów* – mówi Dan Yaye. – *Tak było zawsze. Aż w 2016 r. na skutek żądań Europy nigeryjskie wojsko przestało ich przepuszczać.*

To wtedy – jak mówi – ludzie zaczęli się gubić na pustyni. Zamiast oznaczonych palikami czy stosami kamieni głównych szlaków przez Saharę wybierali boczne ścieżki: długie, kręte, myląc. – *Na pustyni nawet kłopot z oponą może oznaczać katastrofę. Podróżującym rozdajemy ulotki o tym, jak się wtedy zachować. Nie wszyscy wiedzą, że najlepiej rozpalić ognisko. Przy dobrej pogodzie ogień widać nawet z 20 km* – opowiada Dan Yaye.

Rozmawiamy na WhatsAppie w ostatni wieczór ramadanu. To czas radości i spotkań z rodziną, ale mężczyzna pilnuje, by jego telefon był naładowany. Migranci nie zawsze dzwonią – zasięg na Saharze jest ograniczony. Alarme Phone Sahara polega więc na sieci informatorów. To Tuaregowie mieszkający w oazach na północy Nigru, świetnie znający teren. Dzień i noc wymieniają się wiadomościami o białych pick-upach, którymi podróżuje po kilkanaście osób. Wypatrują ognisk.

Kilka miesięcy temu, po kilkuletniej przerwie, Agadez znów zapełnił się migrantami. Rząd Nigru, który powstał po zamachu stanu w lipcu 2023 r., wypowiedział umowę z Unią Europejską i zniósł ograniczenia w podróżowaniu przez Sahel.

W regionie to jednak wyjątek. W ostatnim czasie Bruksela podpisała umowy z Tunezją i Egiptem. Oficjalnie dotyczą współpracy w wielu dziedzinach. Są jednak wzorowane na porozumieniu z Turcją z 2016 r., które sprawiło, że w zamian za europejskie pieniądze kraj ten zatrzymał uchodźców i migrantów.

Umowy z państwami północnej Afryki to część szerszej strategii, którą obecna Komisja Europejska chciała – podobnie jak Zielony Ład – uzgodnić przed końcem swojej kadencji. Innym jej elementem jest przyjęty 10 kwietnia w Parlamencie Europejskim pakt migracyjny – negocjowany od kilku lat zbiór przepisów, który ma ułatwić państwom Unii deportację ludzi niespełniających kryteriów azylowych oraz ograniczyć liczbę tych, którzy trafiają do Europy. Pakt wprowadza też tzw. mechanizm solidarnościowy – uchodźcami mają się opiekować wszystkie kraje Unii. A jeśli tego nie chcą, muszą za nich płacić.

Ursula von der Leyen, szefowa Komisji, robiła w ostatnich miesiącach wszystko, aby pakt przyjęto przed czerwcowymi wyborami do PE. Nazwała go równocześnie sprawiedliwym i twardym – i to właśnie o te dwa przymiotniki zaczął się spór.

Zwolennicy paktu migracyjnego zwracają uwagę, że tylko formalizuje on praktyki, które kraje europejskie wypracowywały samodzielnie przez ostatnią dekadę. Krytycy z kolei są zdania, że nowe przepisy nie zakończą sporów ▶

▶ między państwami Unii o przyjmowanie azylantów. Nie zaspokoją też oczekiwań organizacji praw człowieka, które niepokoi fakt, że Europa stanie się teraz mniej osiągalna, także dla ludzi uciekających przed prześladowaniami.

– *Wiele osób, które występują o ochronę międzynarodową, robi to tylko dlatego, że nie ma innych sposobów na uzyskanie dokumentów pobytowych w Europie. Ale nie jest to ich wymarzony sposób, tym bardziej że często jest obarczony bagażem wykluczenia, np. z rynku pracy* – tłumaczy dr Konrad Pędziwiatr z Katedry Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie, współpracownik Ośrodka Badań nad Migracjami UW.

Chcący uciec przed wojną mieszkaniec Sudanu może nie mieć możliwości dotarcia do europejskiej ambasady w Chartumie – w wielu przypadkach to tam będzie teraz trzeba złożyć wniosek o azyl. Z punktu widzenia europejskiego interesu politycznego ważniejsze wydaje się jednak, aby dało się legalnie (i na miejscu) odmawiać wiz w ambasadach we względnie bezpiecznych miejscach, np. w Afryce Zachodniej.

Organizacje praw człowieka zwracają więc uwagę, że porozumienia Unii z państwami Afryki Północnej to sposób polityków na usunięcie migracji z pola widzenia europejskich wyborców. Inaczej niż na Lampedusę, na Saharę nie dociera wielu zachodnich dziennikarzy, a to ich relacje poruszyły kiedyś Europejczyków. Z drugiej strony wąskie kadry telewizyjne przedstawiające migrantów budowały w latach 2015–16 obraz Europy jako kontynentu „oblężonego" przez migrantów. Na tym obrazie budowała się też skrajna prawica.

I jeszcze jeden prawny szczegół: Morze Śródziemne jest podzielone na strefy poszukiwań i ratownictwa, za które odpowiedzialność ponoszą poszczególne państwa południa Europy. Kapitanów obowiązują tu zwyczaje i konwencje dotyczące ratowania rozbitków. Na pustyni jest inaczej – tu prawo europejskie nie obowiązuje.

Wiadomo: Europa chce wzmocnić kontrolę granic i okiełznać migrację za wszelką cenę. – *Ostatnie działania są o tyle kontrowersyjne, że często idą w kontrze do tego, co Unia głosi* – zwraca uwagę Pędziwiatr. – *Na sztandarach ma wciąż prawa człowieka, ale bezproblemowo porozumiewa się z dyktatorami.*

Wzorowane na umowie z Turcją porozumienia o współpracy Unia zawarła już z Tunezją (skąd do Lampedusy jest tylko 98 km) i Egiptem (koszt: 60 mld euro). Podczas uroczystości podpisania tych umów von der Leyen towarzyszyła premierka Włoch Giorgia Meloni. Teraz inicjatywę może przejąć Hiszpania, zainteresowana regulacją ruchu migrantów do swoich enklaw Ceuty i Melilli oraz na Wyspy Kanaryjskie. Kolejne państwa, które podpiszą umowy z Unią, to prawdopodobnie Maroko i Mauretania.

W kwestii migracji populistyczni politycy – jak Meloni – zaczynają też nagle przystawać do europejskiego mainstreamu. Ci zaś uznawani za wolnościowców czy liberałów kontynuują po poprzednikach kontrowersyjną politykę jak Donald Tusk, który już w styczniu przyznał, że push-backi na granicy z Białorusią są nielegalne, jednak najważniejsza dla rządu jest „obrona granicy". To zresztą trend ogólnoeuropejski. Nawet Finlandia skłania się ku akceptacji push-backów na swojej granicy z Rosją.

> Jeśli chcemy zadbać o zmniejszenie napływu migrantów nieregularnych, w całej Europie trzeba szerzej otworzyć kanały legalnej migracji ekonomicznej.

O ile w ostatniej dekadzie w europejskich państwach zawsze były duże partie, które zwracały uwagę na przysługujące migrantom prawa, o tyle głosowanie nad paktem migracyjnym w PE pokazuje, że obrona tych praw przestaje być domeną ugrupowań mainstreamowych – trudno za taką uznać np. Zielonych.

– *Pakiet zawiera dużo różnych elementów, m.in. przepisy dotyczące relokacji. One jednoczą w opozycji wielu skrajnie różnych polityków. Np. Donalda Tuska, dobrze rozszyfrowującego nastroje społeczne, i Viktora Orbána* – tłumaczy dr Konrad Pędziwiatr. – *Jednocześnie Europejczycy, w tym także Polacy, zdają sobie sprawę, że ich społeczeństwa, żeby przetrwać, są skazane na imigrantów i walczą o to, żeby najlepiej wykwalifikowani zamieszkali u nich. Na pewno jednak, jeśli chcemy zadbać o zmniejszenie napływu migrantów nieregularnych, w całej Europie trzeba szerzej otworzyć kanały legalnej migracji ekonomicznej oraz wzmocnić efektywność procedur deportacyjnych.*

Pędziwiatr podaje też przykład Wielkiej Brytanii, gdzie lada dzień Izba Gmin ma głosować nad projektem ustawy dopuszczającej wysyłanie azylantów do Rwandy. Nad podobnymi pomysłami – w zamyśle mającymi zniechęcić do podejmowania podróży do państw docelowych – zastanawiają się Włosi i Niemcy.

Między ostatnim domem Agadezu i Europą mało jest miejsc, gdzie migranci mogliby się czuć bezpieczni. Może dopiero na pokładach statków ratunkowych pływających po Morzu Śródziemnym. Podczas szkolenia ich załogi uczy się, aby po podjęciu człowieka z morza podały mu butelkę z wodą lub na chwilę poniosły plecak – właśnie po to, by ratowany poczuł, że na pewno jest bezpieczny.

Na takim statku pierwszymi osobami, które słyszą o przeżyciach migrantów, są lekarki i pielęgniarki. Już bezpieczni opowiadają np. o tym, jak stali na skrzyżowaniu w Libii, skąd zabierano ich do pracy dorywczej, najczęściej na budowach. Któregoś dnia nie pojechali jednak na budowę. Samochód zawiózł ich – niepełnoletnich chłopców – do domu bogatego Libijczyka. Tu opowieść się urywa, nie wszyscy znają słowa „wykorzystanie", „gwałt"; nie każdy potrafi przekroczyć tabu otaczające w Afryce homoseksualizm.

Po podpisaniu przez Włochy i Unię umów o współpracy z libijską strażą przybrzeżną zdaniem organizacji praw człowieka utrwalił się w tym kraju rynek pracy przymusowej, przez niektórych uznawany za system niewolniczy. „Duży, silny, dobry do pracy w polu" – tak zachwalano w nagranym ukrytą kamerą w 2017 r. reportażu CNN z Libii jednego z ludzi „na sprzedaż". Kupiono go za równowartość 3 tys. zł. Działo się to wszystko szybko – kilkadziesiąt osób w 10 minut. Od tamtego czasu w Libii nie zmieniło się na lepsze.

W styczniu 2023 r. rząd Meloni wprowadził nowe przepisy dotyczące podejmowania ludzi z morza. Po każdej akcji statek ratunkowy musi teraz płynąć do portu – i to nie najbliższego, na Sycylii, lecz do takiego, który wyznaczy centrum koordynacji ratownictwa w Rzymie. Władze zaczęły wskazywać organizacjom porty na północy Włoch, rejs tam i z powrotem trwał kilka dni dłużej, wyłączając statek z ewentualnych akcji ratunkowych. Za nieprzestrzeganie przepisów groziły aresztowania jednostek i wielotysięczne kary.

Nowe włoskie przepisy sprawiły, że mniejszych organizacji humanitarnych nie było już stać na utrzymywanie

statków ratowniczych. Teraz po Morzu Śródziemnym pływa ich tylko kilka.

– *Outsourcing rozwiązywania problemów migracyjnych do takich państw jak Libia czy Tunezja nie jest żadnym rozwiązaniem. Ludzie nie przestają wtedy podróżować. Po prostu wybierają dłuższe, bardziej niebezpieczne trasy. Na pokłady naszych statków trafiają nawet Syryjczycy wypływający z Egiptu i Libii, wcześniej cofnięci przez Greków z granicy tureckiej* – mówi Jana Ciernioch, koordynatorka ds. humanitarnych Lekarzy bez Granic. – *Ludzie będą próbować nowych dróg tak długo, dopóki nie ustaną powody migracji. Czasem będą za to płacić życiem. Nowy pakt migracyjny przyniesie dla nich więcej cierpienia.*

Według wysokiego komisarza ds. uchodźców ONZ w 2023 r. przez Morze Śródziemne dotarło do Europy ponad 270 tys. ludzi, najwięcej od siedmiu lat. Ponad 4 tys. zginęło. To jednak dane oficjalne – nie obejmują osób, których ciał nie znaleziono lub których nie szukali bliscy. Prawdziwa liczba ofiar może być nawet trzykrotnie wyższa.

Historie afrykańskich migrantów, którzy dotarli do Europy, to jednak tylko część szerszej opowieści – o wiele rzadziej słyszane i mniej znane są historie ludzi, którzy nie mogą wrócić do swoich krajów. Raporty organizacji Human Rights Watch dowodzą, że w Libii są oni ofiarami nietolerancji, arabskiego rasizmu wobec czarnoskórych Afrykanów, a w przypadkach skrajnych – wykorzystywania seksualnego, tortur, a nawet zabójstw.

Bo też obraz „szturmu" z Południa na bogatą Północ – utrwalany w europejskiej świadomości od dekad – traci na wyrazistości, jeśli spojrzymy na światową mapę migracji. Ta zwykle dotyczy regionów (na północy Afryki przyciąga Libia, na południu – RPA), a głównym celem przemieszczających się nie jest wcale bogata Europa. Jeden z najbardziej niebezpiecznych szlaków migracyjnych wiedzie z Rogu Afryki przez Jemen do Zjednoczonych Emiratów nad Zatoką Perską. Do niedawna był to szlak najbardziej opłacalny dla przemytników: w jedną stronę wozili Afrykańczyków budujących potem stadiony na mundial w Katarze, w drugą – uciekinierów z wojny domowej w Jemenie.

Na równie niebezpiecznej trasie leży Agadez. W kolonialnych francuskich przewodnikach jest nazywany Perłą Pustyni. Przez dekady żył ze szmuglowania ludzi, w latach 70. i 80. XX w. ciągnęły tędy karawany pracowników, skuszonych boomem naftowym w Libii Muammara Kaddafiego. To Libia, nie Europa, była wtedy rajem wymarzonym.

Sceny jak z tamtego czasu wróciły do miasta w ostatnich miesiącach. Od grudnia 2023 r. migranci znów podróżują przez Agadez. Na skrzyżowaniach najważniejszych dróg w całym Nigrze wojsko przestało ich zatrzymywać na posterunkach. Dla chłopców z Alarme Phone Sahara oznacza to jedno: więcej pracy.

Moctar Dan Yaye z Agadezu opowiada, jak wygląda typowy telefon od zaginionych na pustyni. – *Mówią zwykle: „Dzień dobry, zgubiliśmy się. Jesteśmy na pustyni, ale nie wiemy gdzie". Często ktoś z grupy już stracił przytomność, zdarza się, że ktoś zmarł.* Wcześniej bywało, że Moctar tracił połączenie, zanim dowiedział się czegoś konkretnego. Przeszkolił więc tuareskich informatorów, aby szybko uspokajali telefonujących. Tak jak w Europie, gdy dzwoni się na pogotowie.

MARCIN ŻYŁA

REKLAMA

Izrael coraz dalej

Rozmowa z Emily Tamkin, dziennikarką i autorką książki „Źli Żydzi", o tym, jak na wojnę w Gazie reagują różne środowiska żydowskie w USA.

EWA WINNICKA: **– Jak amerykańscy Żydzi zareagowali na masakrę z 7 października? I później na nową wojnę w Gazie?**

EMILY TAMKIN: – Na początku prawica zdecydowanie wspierała Izrael. Liberalne centrum odłożyło na bok krytykę izraelskiego rządu, aby wyrazić poparcie dla kraju po tym przerażającym ataku. Natomiast postępowa lewica natychmiast wezwała do zawieszenia broni.

A pani – młoda wykształcona amerykańska Żydówka z Waszyngtonu – co czuje, kiedy czyta kolejne doniesienia z Gazy i obserwuje antyżydowskie demonstracje w zachodnim świecie?

Dwa lata temu, po ataku wojsk izraelskich na Gazę, w USA zaczęto niszczyć synagogi, a znany amerykański działacz muzułmański porównał Żydów do karaluchów. Dziś wielu moich znajomych, amerykańskich Żydów, boi się o swoje rodziny w Izraelu. Z kolei Palestyńczycy w Ameryce są przerażeni losem Gazy. Atak Hamasu w październiku 2023 r. był potworny. Reakcja Izraela pod rządami Beniamina Netanjahu – brutalna i do przewidzenia.

Nie obawia się pani rosnącego antysemityzmu w USA?

My, amerykańscy Żydzi, musimy zrozumieć, że jeśli Izrael będzie kontynuował bombardowania Gazy i operacje naziemne, to Amerykanie będą o tym dyskutować, bo USA są związane z Izraelem na wielu poziomach. I niektórzy będą wykrzykiwać wrogie hasła. Ale to nie musi być antysemityzm. Oczywiście zdarzają się napaści czy podpalenia synagog, ale te wypadki nie mogą być wykorzystywane jako pretekst do uciszania dyskusji o amerykańskiej polityce wobec Izraela. Nie uciszy się rozmów o tej wojnie. Według jednej z palestyńskich organizacji pozarządowych w Gazie co 15 minut ginie dziecko. Ta statystyka nie jest antysemicka i nie umniejsza tragedii zamordowanych przez Hamas. Nie umniejsza też mojego strachu o los porwanych Izraelczyków. Ani poczucia mojej dumy z powodu bycia Żydówką.

Jak więc powinni reagować amerykańcy Żydzi?

Żydzi – zwłaszcza w Ameryce – muszą po prostu przestać udawać, że Palestyńczycy z ich aspiracjami nie istnieją.

W 2016 r. Bernie Sanders, ubiegając się o demokratyczną nominację w walce o fotel prezydencki, powiedział, że konieczne jest porozumienie Izraela z Palestyńczykami. To był szok dla wielu Żydów w Ameryce.

Pamiętam tę wypowiedź. Niektórzy uznali, że jest jednym z tych Żydów, którzy nienawidzą sami siebie. Ale Sanders nigdy nie negował prawa Izraela do obrony. Stwierdził tylko głośno, że Netanjahu nie zawsze ma rację. Inni byli zdziwieni, że trzeba było tak długo na taką wypowiedź czekać. To był jeden z tych momentów, od którego polaryzacja opinii wśród amerykańskich Żydów przyspieszyła.

Cztery lata później, gdy Sanders znów walczył o nominację, konkurował z byłym burmistrzem Nowego Jorku Michaelem Bloombergiem – też Żydem, w dodatku miliarderem. Bloomberg nie był skłonny otwarcie krytykować Izraela. Uważał, że w interesie USA oraz amerykańskich Żydów jest alians z izraelskim rządem. I Sanders, i Bloomberg to potomkowie emigrantów z Polski. Na ich przykładzie można więc było zobaczyć, w jak różny sposób traktowali swoją żydowskość.

W 2020 r. liberał Bloomberg zarzucał lewicowemu Sandersowi, że dzieli amerykańską społeczność żydowską i ją osłabia. Zgadza się pani?

Wśród amerykańskich Żydów nigdy nie było jedności. O czym mogłabym rozmawiać z ortodoksem z Williamsburga Czy utożsamiam się ze Stephenem Millerem, urzędnikiem administracji Donalda Trumpa, odpowiedzialnym za skrajnie prawicową politykę imigracyjną? Co mam myśleć o ortodoksach, którzy wspierają Trumpa jako obrońcę Izraela? Łączy nas to, że jesteśmy Żydami. Ale dla każdego to może znaczyć coś innego.

© LORNA ROBERTS/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W, TAMKIN/JTA

Emily Tamkin jest amerykańską dziennikarką, specjalistką do spraw Europy Wschodniej. Publikowała m.in. w „The New Statesman", „The Washington Post", „The Economist". W Polsce nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się jej druga książka „Źli Żydzi".

Co to znaczy być dobrym Żydem w USA?

Kiedy pisałam moją książkę, rozmawiałam z ponad setką osób i każdej zadawałam właśnie to pytanie. Według jednych zły Żyd to ten, kto odrzuca syjonizm. Według innych – ten, kto nie oczekuje od pozostałych Żydów wysokiego morale. Większość natomiast uważała, że sami nie są wystarczająco dobrymi Żydami. Jeśli spojrzeć wstecz, widać to samo: Żydzi, którzy przyjechali z Europy Zachodniej na przełomie XIX i XX w., czuli się lepszymi Żydami od zdesperowanych Żydów z Imperium Rosyjskiego. Żydzi aszkenazyjscy czuli się lepsi od sefardyjskich, religijni od niereligijnych i na odwrót.

Może zgadzacie się chociaż co do tego, czym jest antysemityzm?

Absolutnie nie. Czy jest nim np. antysyjonizm? Moim zdaniem nie. Czy palestyńska flaga jest z natury antysemicka? Nie. Podobnie jak głosy wsparcia dla palestyńskich cywilów i apele o wstrzymanie ognia. Kiedy w 2021 r. założona przez liberalnych Żydów firma produkująca lody Ben & Jerry zdecydowała, że nie będzie ich sprzedawać na Zachodnim Brzegu, w mediach rozpętała się afera, właścicieli uznano za wściekłych antysemitów. Dla mnie to nie jest takie oczywiste. Ale czy antysemityzmem jest życzenie śmierci wszystkim Żydom – oczywiście tak.

Wspomina pani w książce o „teście na Żyda".

Chodziłam do szkoły w małym, zupełnie nieżydowskim miasteczku. Przeprowadziliśmy się tam, bo ojciec chciał, żebyśmy wiedzieli, jak żyć także w nieżydowskim świecie. Oczywiście zdarzały się i takie historie: kolega rzucił przede mną monetę i sprawdzał, czy podniosę; ponieważ nie podniosłam, mówił, że „zdałam". Ale te zdarzenia nie mogą przesłaniać faktu, że żyłam w kraju, w którym wolność religijna i swobody obywatelskie są gwarantowane prawnie.

Jak zmienia się amerykańska żydowskość?

Pokolenie mojego dziadka swoją żydowskość ściśle wiązało z religią i przyszłym, a potem istniejącym państwem Izrael. Miało być schronieniem dla Żydów po koszmarze wojen i pogromów. Dziadek nie wyobrażał sobie, że ktoś z jego rodziny poślubi nie-Żyda. Ale mój ojciec poznał mamę, nie-Żydówkę. I miał zamiar się z nią ożenić niezależnie od gniewu dziadka. Mama dla niego dokonała jednak konwersji przed moim urodzeniem. Skończyłam żydowskie przedszkole, ale nie kontynuowałam żydowskiej edukacji. To jednak nie oznacza, że mniej czuję się Żydówką. Podczas pandemii zaczęłam się uczyć jidysz, ponieważ to jest dla mnie sposób, w jaki mogę czuć łączność z moimi przodkami. Mój ojciec nie zna tego języka.

A politycznie co oznacza być Żydem w Ameryce?

Od kilku lat społeczność żydowska bardzo się zmienia. Kiedyś wiadomo było, że jeśli jesteś amerykańskim Żydem z klasy średniej, to prawdopodobnie głosujesz na Demokratów. W 2020 r. na Joe Bidena głosowało 74 proc. amerykańskich Żydów. Ale jeśli przyjrzysz się młodym – poniżej 35. roku życia – liczba ta spada do 50 proc. I tak samo teraz: na początku wojny poparcie dla polityki Bidena wobec Izraela było w tej grupie przytłaczające: ok. 75 proc. amerykańskich Żydów było za (sondaż Jewish Electorate Institute), choć jeśli wziąć pod uwagę osoby poniżej 35. roku życia, liczba ta spadała już do 53 proc.

Czy wsparcie Bidena dla Izraela gwarantuje mu głosy amerykańskich Żydów w listopadowych wyborach?

To nie jest takie oczywiste. W miarę upływu czasu liberalne grupy żydowskie stają się coraz bardziej krytyczne wobec sposobu, w jaki Izrael prowadzi tę wojnę. Według badania Pew z zeszłego tygodnia już tylko 62 proc. z nas popiera obecne metody. Biden prawdopodobnie będzie miał wsparcie ze strony postępowych i liberalnych Żydów, niezależnie od tego, co jeszcze wydarzy się do listopada. Ale jeśli postawi Netanjahu twarde warunki, może się zderzyć z żydowską prawicą w USA, reprezentowaną głównie przez AIPAC (The American Israel Public Affairs Committee), który ma zasoby, aby wpływać na amerykańską politykę.

A dla pani to ważne, jak Ameryka traktuje Izrael?

To państwo jest dla mnie ważne, ale nie jest najważniejszym wyznacznikiem mojej tożsamości. I dla wielu młodych ludzi też już nie jest. Jeden z moich rozmówców powiedział tak: „Chodziłem do żydowskiej szkoły i tam opowiadano mi o wyjątkowo wspaniałym kraju, który jest przez wszystkich atakowany. I trzeba go za wszelką cenę bronić. A potem poszedłem na uniwersytet i zacząłem się dowiadywać, co się w moim państwie dzieje, i wpadłem w czarną rozpacz. A jeśli znasz już tylko współczesny Izrael, a zwłaszcza jego obecną politykę, szlag cię trafia".

Ten dysonans poznawczy jest jednym z powodów, dla których Izrael przestaje być kluczem do postrzegania żydowskości. Dla młodych ludzi rodzinne traumy, koszmar Holokaustu są oddalone w czasie. To wielka zmiana. Dziś istnieje niezależne Państwo Izrael ze swoją polityką. Dlaczego powinniśmy być wobec niego bezwzględnie lojalni?

Co więc określa panią jako amerykańską Żydówkę?

Dla mnie to jest ścisły związek z moją rodziną i jej historią. Druga rzecz to przynależność do społeczności żydowskiej, co oczywiście przybiera najróżniejsze postaci. Możesz pójść do synagogi, do żydowskiego teatru albo na kurs jidysz. Trzecią rzeczą, która moim zdaniem jest jednym z fundamentów judaizmu, jest to, by nie czynić innym zła, którego sami nie chcielibyśmy doświadczyć. I traktować innych tak, jak sami chcielibyśmy być traktowani.

Jako Żydówka nie ma więc pani żydowskich obowiązków?

Mogę o nich dyskutować. Np. o tym, co moja amerykańska wspólnota powinna mówić o polityce Izraela. Ale nie powinniśmy zapominać, że nie giniemy z powodu tych dyskusji lub wątpliwości. Stawka w rozmowach nad tym, jak być dobrym Żydem w USA, nie jest specjalnie wysoka. Możesz mieć urażone uczucia lub być wyrzucony ze wspólnoty czy synagogi. Dyskomfort nie jest przyjemny, ale nie stanowi zagrożenia. Nie ma porównania z losem Palestyńczyków, których – mimo najlepszych chęci – żaden żydowski wiec czy solidarnościowy artykuł nie wyzwoli z ośrodka dla uchodźców. ■

Więcej o Żydach w Ameryce przeczytasz w książce Tomasza Zalewskiego **„Żydowska Ameryka. Wczoraj i dziś diaspory w USA".**

KUP TERAZ

© LORNA ROBERTS/ALAMY STOCK PHOTO; BEW, TAMKIN/ITA

Punkt rekrutacyjny w Zaporożu.

Wszyscy jesteśmy żołnierzami

Ukraińcy w swojej walce korzystają ze społecznych skryptów zaradności, które pomagały przetrwać wcześniejsze katastrofy. Front to tylko nieznaczny wycinek tej wielkiej wojny obywatelskiej.

EDWIN BENDYK Z KIJOWA

Niedawna utrata donieckiej Awdijiwki po wielotygodniowych i krwawych bojach stała się symbolem zmiany sytuacji na froncie. Rosjanie pokazali, że dla osiągnięcia celu są gotowi poświęcić tysiące żołnierzy. Zdobycie tego miasteczka gruzów kosztowało ich blisko 50 tys. zabitych i rannych, 364 czołgi, 748 bojowych wozów piechoty. Czy mogło być inaczej, gdyby Ukraina potrafiła zmobilizować więcej żołnierzy, a sojusznicy nie guzdrali się z dostarczaniem wojskowego zaopatrzenia? Wszak to prezydent Joe Biden oskarżył Kongres USA za utratę Awdijiwki, bo Republikanie zablokowali pomoc do Ukrainy.

Gen. Ołeksandr Syrski, głównodowodzący armii ukraińskiej, w wywiadzie dla Ukrinform odpowiada na te pytania w zaskakujący sposób. Tak, w Awdijiwce brak amunicji okazał się decydujący. I to prawda, że amunicji oraz sprzętu bojowego nigdy dość, w najgorszych momentach Rosjanie dysponują przewagą w wystrzeliwanych pociskach artyleryjskich sześć do jednego. Ilość to jednak nie wszystko, bo w znacznym stopniu można zastąpić ją jakością rozpoznania i efektywnością prowadzenia ognia. Oraz innowacyjnością, której wyrazem jest mistrzowskie wykorzystanie dronów przez ukraińską armię. To właśnie dzięki operacjom z użyciem dronów Ukraińcom udało się zepchnąć rosyjską flotę do portów i odblokować we wrześniu ub.r. tzw. korytarz czarnomorski, obsługujący w tej chwili zdecydowaną większość ukraińskiego eksportu, zwłaszcza produktów rolnych. Nie jest więc prawdą – jak mówi rosyjska propaganda podchwytywana przez część mediów zachodnich – że Rosja przejęła inicjatywę na froncie, przekonuje Syrski. I dodaje, że ukraińska armia więcej pozycji odzyskuje, niż traci. A odejście z Awdijiwki nie oznaczało strategicznego przełomu, bo Ukraińcy utrzymują pozycje obronne pod miastem i zadają Rosjanom ciężkie straty.

Czy jednak nowo mianowany dowódca może mówić inaczej? Przecież Syrski zastąpił legendarnego gen. Wałerija Załużnego po to, by wykrzesać nowego ducha walki, który w toku ślamazarnej i nieudanej kontrofensywy wyraźnie przygasł. A trudno budzić bojowy entuzjazm, mówiąc o porażkach. Czy w takim razie generał uprawia pustą propagandę sukcesu? Niekoniecznie, o czym świadczy jego zaskakująca odpowiedź na temat liczebnego stanu ukraińskiej armii.

W mediach funkcjonuje liczba 500 tys. – o tyle rekrutów więcej domagał się Załużny, gdy dowodził siłami zbrojnymi. Prezydent Wołodymyr Zełenski na te prośby nie odpowiadał, ale w debacie publicznej dominuje przekonanie, że brakuje żołnierzy. Rzeczywiście, entuzjazm pierwszych tygodni wojny, kiedy przed komisjami poborowymi ustawiały się kolejki ochotników, wygasł. Dziś więcej mówi się o „uchylnikach", czyli tych, którzy uciekają

© ANDRIY ANDRIYENKO/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

przed poborem. Sprawę miała rozwiązać nowa ustawa o wojennej mobilizacji, która po pierwszym czytaniu w Radzie Najwyższej w lutym doczekała się ponad 4 tys. poprawek. Ustawy ciągle nie ma, prezydent Zełenski podpisał za to po wielomiesięcznej zwłoce ustawę obniżającą wiek wojennego poboru z 27 do 25 lat.

Zamiast nowego systemu mobilizacji jest więc gorąca debata o tym, kto i kiedy powinien być do wojska powoływany. Pojawiają się różne pomysły – czy rekrutować urzędników państwowych, może odpuścić młodym naukowcom robiącym doktoraty? Czy warto brać do wojska dobrze zarabiających? Wszak płacą wysokie podatki, z których armia jest utrzymywana. Sami Ukraińcy, co pokazują badania Instytutu Psychologii Społecznej i Politycznej, patrzą na problem z zadziwiającym dystansem. 54 proc. twierdzi, że uchylających się od służby można zrozumieć, przecież nikt nie chce umierać. Tylko 17 proc. jest przeciwnego zdania. Zrozumienie nie oznacza jednak akceptacji – 43 proc. twierdzi, że uchylanie się jest powodem do wstydu, tylko 24 proc. ma odmienne zdanie.

Wielu mężczyzn obawiających się poboru i jednocześnie niemogących wyjechać za granicę ukrywa się, pracując na czarno, żeby uniknąć namierzenia przez służby państwa. Odpowiedzialni za pozyskiwanie rekruta z kolei idą często na łatwiznę i polują na przyszłych żołnierzy tam, gdzie najłatwiej ich znaleźć – na wsi. „Washington Post" opisywał ukraińskie wsie, gdzie nie ma już mężczyzn w wieku poborowym, przybywa natomiast grobów poległych.

Wielu dowódców wojskowych obawia się jednak rekrutów pozyskiwanych metodą „branki", bo często mają niskie morale i zdarzają się przypadki dezercji. By uniknąć takich sytuacji, zakładają własne kampanie rekrutacyjne. W kijowskim metrze pełno jest plakatów legendarnej 3. Bojowej Brygady Szturmowej zachęcających do wstąpienia do tej właśnie formacji. Jednostka jest także aktywna w mediach społecznościowych. Inne brygady działają już w podobny sposób.

Do tej kampanii włączył się również gen. Syrski, stwierdzając, że z ludźmi w armii problemu nie będzie. Mobilizacja jest potrzebna, ale nie 500 tys. ludzi, twierdzi głównodowodzący. Sprawę tłumaczył mi jeden z posłów do Rady Najwyższej: – *Bezpośrednio w działaniach bojowych bierze udział jakieś 150 tys. żołnierzy. Łącznie we wszystkich rodzajach sił zbrojnych jest ich nieco ponad milion. Czy taka proporcja jest właściwa?* Sam Syrski twierdzi, że to wystarczy, by odpowiednio rotować tych, którzy są już na froncie.

Równie niejednoznaczna jest sytuacja z zaopatrzeniem sił zbrojnych. Potrzebne są dostawy od sojuszników. Pilnie przydałyby się systemy obrony przeciwlotniczej i amunicja artyleryjska. Ale Ukraińcy nie próżnują i rozwijają własną produkcję. Ołeksandr Kamyshin, minister odpowiedzialny za przemysły strategiczne, przekonuje, że ukraińska zbrojeniówka zwielokrotniła produkcję w czasie wojny. Dostarcza zarówno armatohaubice Bohdana – do sześciu sztuk miesięcznie, rozwija własny program rakietowy, jak i rozkręca projektowanie oraz produkcję dronów.

Kamyshina wspiera grono 30-latków, m.in. Mychajło Fiodorow, minister cyfryzacji i wicepremier odpowiedzialny za innowacje, oraz Herman Smetanin, od ub.r. szef Ukrobronpromu, państwowego holdingu zbrojeniowego. Kluczem była dekoncentracja produkcji i włączenie sektora prywatnego. O ile ciężkie typy uzbrojenia to domena Ukrobronpromu, o tyle dronami zajmują się konkurujące ze sobą firmy prywatne.

Podobnie jak w przypadku rekrutacji, konkurują ze sobą także struktury wojskowe. I tak Główny Zarząd Wywiadu zbudował własny ekosystem firm, które wytwarzają drony morskie Magura – zasłynęły z licznych zatopień rosyjskich okrętów. Służba Bezpieczeństwa Ukrainy niezależnie, w oparciu o własnych kontrahentów, buduje drony Sea Baby.

W tym pospolitym ruszeniu zbrojeniowym jest też miejsce dla społeczeństwa obywatelskiego. Fundacja Serhija Prytuły od lat zaopatruje siły zbrojne w sprzęt – od kamizelek kuloodpornych i noktowizorów po drony właśnie. Fundacja rozwija też własne konstrukcje dronów i systemy walki radioelektronicznej. Prytuła wyjaśnia, że jego organizacja robi wiele rzeczy szybciej i taniej niż struktury państwa. Zaprojektowany przez nich ciężki bojowy wóz piechoty kosztował 1,3 mln hrywien, firma państwowa zrobiła to samo za 17,2 mln.

Brak jasnej informacji o sytuacji na froncie i w wojsku Ukraińcy wypełniają na własną rękę. – *Głównym źródłem wiedzy stały się kanały w komunikatorze Telegram* – wyjaśnia Mykoła Czernotycki, prezes Suspilnego, ukraińskich mediów publicznych. Pod szyldem Suspilne działają telewizja, radio i serwisy internetowe. Instytucja jest finansowana z budżetu państwa, zatrudnia 3,6 tys. pracowników i jest w pełni niezależna. Gwarantem tego jest rada nadzorcza składająca się z polityków oraz przedstawicieli społeczeństwa obywatelskiego, którzy mają przewagę liczebną.

– *Niestety Telegram to morze niesprawdzonych informacji. Staramy się konkurować, ale Ukraińcy są coraz bardziej zmęczeni codzienną sytuacją i coraz chętniej uciekają w rozrywkę* – dodaje Czernotycki. Z tego właśnie względu nawet najbardziej renomowane media, jak choćby serwis NV, przeplatają doniesienia z frontu plotkami ze świata celebrytów. Czytelnicy nie mniej niż Awdijiwką interesują się bowiem zakończonym niedawno romansem pisarza Serhija Żadana z piosenkarką Chrystyną Sołowij. Czy to już oznaka wojennego pesymizmu?

Serhij Dembicki, wicedyrektor Instytutu Socjologii Akademii Nauk, twierdzi, że sprawa jest bardziej złożona. Prawdą jest, że po entuzjazmie pierwszych miesięcy wojny, kiedy Ukraińcy uwierzyli w swoje państwo, dziś ta wiara zaczyna topnieć: z 54 proc. twierdzących, że centralne organy władzy radzą sobie dobrze w maju 2022 r., do 14 proc. w lutym br. Ciągle jednak odsetek twierdzących, że sytuacja w Ukrainie będzie się poprawiać (49 proc.), przeważa zdecydowanie nad pesymistami (17 proc.). Podobny nastrój pokazują badania ukraińskiej sondażowni Rating. Według nich 88 proc. Ukraińców jest przekonanych, że ich kraj wygra wojnę, a 80 proc. z optymizmem patrzy w przyszłość.

Nie mniej ciekawe jest spojrzenie na kondycję psychologiczną Ukraińców. Wgląd daje tu badanie wpływu długotrwałego stresu na społeczeństwo. Ukraińscy badacze wykorzystują przy tym metodę pomiaru pierwszy raz użytą do badań nad skutkami katastrofy w Czarnobylu. Na tej podstawie okazuje się, że poziom długotrwałego stresu pod koniec drugiego roku wojny osiągnął poziom taki, jak w 2020 r. podczas nasilania się pandemii. Co ciekawe, podobnie na wojnę reagują mieszkańcy terenów położonych blisko działań bojowych, jak i bardzo od nich odległych.

Najwyraźniej Ukraińcy znaleźli sposób na radzenie sobie zarówno z wojną, jak i niedoskonałym, ale jakoś działającym państwem. Czerpią i z zasobów psychologicznych, i utrwalonych społecznie skryptów zaradności, które pomagały przetrwać wcześniejsze apokalipsy.

A jeśli kogoś nie przekonują badania socjologiczne, może sięgnąć po bardziej bezpośrednie informacje. Tylko w Kijowie w ub.r. powstało ok. 20 nowych księgarń – mimo wzrostu cen sprzedaż książek rośnie. I podobnie dzieje się na rynku nieruchomości, gdzie w ub.r. obroty wróciły do 80 proc. stanu przedwojennego. Nowe bloki mieszkalne zaskakują w Kijowie tak jak nowe księgarnie i dostępne w nich tytuły. Trudno o lepszą oznakę wiary w przyszłość. ■

© ANDRIY ANDRIYENKO/SOPA IMAGES/LIGHTROCKET/GETTY IMAGES

Nauka, ta wyrodna córka

Astrologia towarzyszy ludziom od zarania dziejów. To wiadomo. Ale co zawdzięcza jej współczesna nauka? Opowiada dr Alexander Bower, fizyk i historyk nauki, autor książki „A Scheme of Heaven" (Schemat niebios).

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

TOMASZ TARGAŃSKI: – **Zrobił pan doktorat z fizyki na Massachusetts Institute of Technology, magisterium z historii nauki na Oksfordzie, licencjat z języków klasycznych na Yale, a zawodowo zajmuje się fizyką plazmy. Dlaczego ktoś taki pisze książkę o astrologii?**

ALEXANDER BOXER: – Zanim zacznę, chciałem powiedzieć, że nie jestem astrologiem i nie wierzę w astrologię. Do tej dziedziny doprowadził mnie głód zachwytu pomieszany z wrodzonym sceptycyzmem. Zająłem się nauką, bo zaspokajała obie te potrzeby. Z jednej strony odkrywa przede mną wspaniałe zjawiska, wzajemne powiązania, subtelne, wywołujące podziw i strach mechanizmy. Z drugiej zaś pozwala odróżnić fantazje od faktów i zweryfikować domysły.

Po studiach zająłem się szeroko pojętą analizą danych. W centrum tej dziedziny jest tworzenie modeli prognostycznych. Bywa tak, że model skonstruowany w oparciu o najbardziej nawet precyzyjne dane okazuje się do niczego. A czasem jest zupełnie odwrotnie. Nie wiedziałem, dlaczego tak jest. Zacząłem czytać o historii analizy danych, tak doszedłem do statystyki, a przed statystyką była właśnie astrologia. Dotarło do mnie, że reprezentuje ona starą jak ludzka cywilizacja próbę wyłuskania prawdy na temat świata, w którym żyjemy, za pomocą wyszukanych metod obliczeniowych. W tym sensie uważam, że astrologia jest wielką poprzedniczką współczesnej analizy danych.

A czy dostrzega pan jakieś związki między astrologią a fizyką plazmy? W końcu obie dziedziny zajmują się siłami, których nie widać.

Byłbym ostrożny wobec takich analogii. Ale w ramach ćwiczenia wyobraźni dobrze czasem pospekulować. Według astrologów kosmos wypełniało promieniowanie i inne nienazwane siły emitowane przez planety. A w fizyce klasycznej ugruntował się pogląd, że kosmos jest, nazwijmy to, „pusty". Dziś wiemy, że to nieprawda. Kosmos wypełnia promieniowanie, cząstki wysokiej energii. Moja dziedzina, czyli plazmokosmologia, prezentuje elektryczny model wszechświata, który opiera się na mechanice zjonizowanego gazu, czyli plazmy, co w pewnym sensie bliższe jest temu, co twierdzili starożytni uczeni. Widzimy więc, że nasz obraz kosmosu ewoluuje, przechodzi różne cykle.

Gdzie szukać początków astrologii?

Nie mam dobrej odpowiedzi. Może od jakiegoś pierwotnego poczucia bliskości z nocą? Wyobrażam sobie, że dawni ludzie, stojąc w kompletnych ciemnościach pod gwiaździstą kopułą nieba, odczuwali zdumienie, a jednocześnie jakąś formę więzi z absolutem. W dzisiejszym zalanym sztucznym światłem świecie trudno w ogóle dostrzec gwiazdy. Ale kiedy się uda, przed oczami staje cały ten skrzący się splendor. Wydaje mi się, że próba wyłuskania z niego jakiegoś sensu i ogarnięcia w nim swojego miejsca dała pierwotny impuls astrologii. Te kwestie towarzyszyły ludzkości od zarania.

Astrologia jest starsza niż ludzka cywilizacja. Na najbardziej fundamentalnym poziomie polega na szukaniu wzorów i podobieństw. A jeśli istnieje jakaś cecha arcyludzka, to jest nią właśnie ten zupełnie odruchowy i niepohamowany imperatyw. Wyewoluowaliśmy jako zwierzęta doskonale wytrenowane w odnajdywaniu struktur i konfiguracji. Dostrzegamy je nawet tam, gdzie ich nie ma: w chmurach, formacjach skalnych, plamach atramentu. Astrologia jest więc jakąś formą tej swoistej gry – na skalę planetarną.

Alexander Boxer
– amerykański fizyk i historyk nauki. Jego publikacje z zakresu nauk ścisłych zamieszczane były m.in. na łamach „Nature Physics". „A Scheme of Heaven" jest jego pierwszą książką.

W książce pisze pan, że jeśli traktować historię nauki jako wielkie przedstawienie, to astrologia nie jest w niej anonimową statystką, lecz grą główną rolę.

Bardzo długo astrologia i nauka były jednym i tym samym. Ich drogi rozeszły się dopiero niedawno. Aby uprawiać astrologię, trzeba było skomplikowanych obliczeń i gruntownej wiedzy matematycznej. Często mówię kolegom zajmującym się analizą danych, że gdyby cofnęli się w czasie, byliby właśnie astrologami.

Czasem się żartuje, że ekonomia jest astrologią dla dorosłych. Obie dyscypliny są w gruncie rzeczy próbą przewidzenia przyszłości na podstawie danych, wyciągnięcia jakiegoś sensu z liczb. Opierają się na tworzeniu modeli, testowaniu ich. A jeśli okazują się do niczego, cóż, wymyśla się nowe. Nie atakuję nauk ekonomicznych, uważam, że są potrzebne. Wskazuję tylko na fakt, że naukowców nurtują dziś te same pytania, co astrologów tysiące lat temu. Mamy dokładniejsze narzędzia, wyostrzyliśmy metody, ale nadal wierzymy, że liczby do nas przemówią. Powiedzą, kim jesteśmy i dlaczego robimy to, co robimy. Ta sama nadzieja leżała w sercu astrologii.

W środowisku naukowym nikt dziś nie traktuje astrologii poważnie. Po co więc ją badać?

Bo astrologowie byli pionierami widzenia świata w kategoriach ilościowych. A w dzisiejszym świecie rację ma ten, kto potrafi interpretować dane, tworzyć modele. Dane stały się najwyższą formą retoryki. Astrologię łatwo obśmiać, sprowadzając ją do kosmicznego promieniowania, które przynosi energię i wewnętrzną siłę. Tyle że są to argumenty czysto retoryczne. Posługiwanie się nimi nic nie wnosi z naukowego punktu widzenia. Właściwą krytykę astrologii najlepiej przeprowadzić od strony empirycznej. Jest to dyscyplina oparta na danych i tylko za ich pomocą można ją analizować. A to oznacza, że trzeba usiąść i zacząć liczyć. Sprawdzić, co się zgadza, a co nie. Tak właśnie zrobił Johannes Kepler, który dużą część życia strawił na stawianiu horoskopów, bo było to dość intratne zajęcie. Jednak na drodze empirycznej przekonał się, że koniunkcja planet nie ma wpływu na życie ludzi.

Astrologia daje też unikalny wgląd w historię powstania nowoczesnej nauki. Dominuje pogląd, że ludzkość przez całe wieki była bardzo głupia, ale niedawno zjawiło się kilku geniuszy, którzy nagle zrozumieli, gdzie jest prawda, i wyprowadzili ją z ciemności do światła. Nie zgadzam się z taką interpretacją. Dużo bliższa prawdy wydaje mi się historia uwzględniająca astrologię. Opowiada ona, jak ludzie pokroju Ptolemeusza, Al-Biruniego czy Rogera Bacona, naprawdę wielkie umysły, przez stulecia wykorzystywali dane, aby zmierzyć się ze złożonością świata. To, że cała dyscyplina okazała się ślepym zaułkiem, nie może przysłonić faktu, że właśnie ślepe zaułki są kluczowe, aby popchnąć wiedzę do przodu.

Powiedział pan, że dane stały się najwyższą formą retoryki, ale nie zawsze tak było. Pana książka pokazuje, że przednowoczesne społeczeństwa odnosiły się do nich z nieufnością.

Dziś przyjmujemy za pewnik, że nowoczesna nauka mówi w języku matematyki. Aby dowieść czegoś w sposób naukowy, musimy przetłumaczyć to na liczby. Taka myśl zostałaby jednak zdecydowanie odrzucona przez ludzi antyku. Tamten świat z gruntu nie ufał obliczeniom, nieporównanie bardziej ceniąc rozumowanie zanurzone w dziełach klasycznych filozofów. Dla Platona czy Arystotelesa matematyka była nauką teoretyczną. Chodziło w niej raczej o abstrakcyjne byty, a nie problemy. ▶

MATERIAŁY PRASOWE

▶ Te dwa różne sposoby postrzegania rzeczywistości pozostawały w stanie równowagi chwiejnej aż do wczesnej nowożytności.

Zmianę przyniosły odkrycia Kopernika i Keplera. Od XVI, XVII stulecia pogląd, że świat można opisać za pomocą liczb, zaczął przeważać. Dziś nawet nie przechodzi nam przez myśl pytanie, czy wszystkie fenomeny i zjawiska podlegają opisowi matematycznemu. A nawet jeśli chcielibyśmy je zadać, nie mamy do tego odpowiedniego języka.

Czy można wskazać moment, kiedy drogi astrologii i astronomii zaczęły się rozjeżdżać?

Myślę, że nie była to jedna chwila, lecz człowiek – i był nim Kepler. Do dziś zachowało się niemal tysiąc horoskopów spisanych przez niego własnoręcznie. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy wierzył w astrologię. Za młodu angażował się w nią z pasją, ale pod koniec życia budziła w nim już tylko złość i frustrację. Pisał o niej jako o „nonsensie". Człowiek, który sformułował prawa ruchu planet wokół Słońca, nie odnalazł żadnych dowodów na to, że układ gwiazd i planet na niebie ma wpływ na wydarzenia na Ziemi. Jednocześnie bardzo trafnie ujął zależność między astronomią a astrologią, porównując je do matki i córki. W „Tablicach rudolfińskich" napisał bardzo poetycko, że astronomia jako córka przerosła astrologię, swoją matkę, i patrzy na nią z góry, jakby chciała wymazać łączące je pokrewieństwo.

Jednak nikt nie chce przyznać, że jakiekolwiek pokrewieństwo istnieje. Jesienią 1975 r. na łamach magazynu „The Humanist" ukazał się głośny list podpisany przez 186 czołowych naukowców z całego świata, w którym odcięli się oni od astrologii, nazywając ją siedliskiem „obskurantyzmu i irracjonalności".

Co do zasady autorzy tego listu mieli rację – astrologia nie jest nauką. Cała ta sytuacja była niezwykła nie dlatego, że wśród sygnatariuszy było 18 laureatów Nagrody Nobla, m.in. Hans Bethe, jeden z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie teorii jądra atomowego, czy Francis Crick, współtwórca słynnego modelu podwójnej helisy DNA. Najbardziej znaczące wydaje mi się to, kto listu nie podpisał, a był nim Carl Sagan, najbardziej znany wówczas ambasador astronomii. Nie zrobił tego, bo uznał, że ton listu był „autorytarny", a to jego zdaniem nie przystawało do etosu naukowca.

Co ciekawe, filozof Paul Feyerabend, znany ze swojej anarchistycznej koncepcji nauki (POLITYKA 9), odpowiedział na ów list błyskotliwym esejem „The Strange Case of Astrology" (Osobliwy przypadek astrologii). Wyśmiał autorów, twierdząc, że na tle ich listu niesławny traktat Kościoła katolickiego „Młot na czarownice" jawi się jako dzieło na wskroś pluralistyczne, ponieważ najpierw prezentuje wrogie sobie poglądy, a potem po kolei je obala. Jak sądzę, Feyerabendowi nie chodziło o rehabilitację astrologii, krytykował jednak nienaukowy sposób walki z nią.

Feyerabend wzywał, by nie egzorcyzmować astrologii ani innych zdezaktualizowanych dziedzin wiedzy, bo mogą się kiedyś okazać przydatne.

Astrologia z pewnością jest użyteczna jako probierz. Możemy sprawdzać, w jaki sposób metoda naukowa jest lepsza niż to, co proponowała astrologia. Mówi się, że nauka opiera się na dowodach empirycznych. Astrologia również. Albo że nauka polega na obserwacjach. Astrologia również. Sztuka polega na tym, aby przekonująco wykazać, dlaczego wyniki osiągane dzięki nauce dają lepsze rezultaty niż metody nienaukowe. Odcinając naukę od różnych „heretyckich" nurtów, które pomogły jej przybrać obecną formę, nigdy nie zrozumiemy, jak działa. Jeśli uwierzymy, że została objawiona przez grono genialnych proroków, stanie się jakąś formą religii.

Czy nie jest symptomatyczne, że tyle osób mówi dziś, iż „wierzy w naukę"? W astrologię również się wierzy. W nauce trzeba kwestionować, wątpić i rygorystycznie sprawdzać. Być ciągle gotowym na to, że nasze teorie opisujące świat okażą się nieaktualne. W tym procesie błędy i potknięcia są nieodzowne. Tylko dzięki nim odkrywamy, czego wcześniej nie dostrzegaliśmy. W XXI w. ma to podwójne znaczenie, bo – jak już wspomniałem – analiza danych jest współczesną wersją astrologii. Wiele modeli matematycznych nie dawało Donaldowi Trumpowi szans na zwycięstwo w wyborach w 2016 r. Podczas pandemii Covid-19 wiele opartych na liczbach przewidywań okazało się zupełnie nietrafionych. Można wymieniać jeszcze długo.

Sam fakt, że jakaś dziedzina wykorzystuje metody ilościowe, nie czyni jej nauką. Siłą a zarazem wielką słabością narzędzi matematycznych jest to, że redukują złożone zjawiska i wielkie procesy społeczne do liczb. Duża część publikowanych dziś badań, np. w socjologii czy ekonomii, bazuje, moim zdaniem, na „śmieciowej" statystyce, dzięki czemu ich autorzy są w stanie udowodnić dosłownie wszystko. Dlatego napisałem książkę. Bo uczeni muszą być gotowi wykazać, że ich metody są lepsze niż metody astrologów.

> Wyewoluowaliśmy jako zwierzęta doskonale wytrenowane w odnajdywaniu struktur i konfiguracji. Dostrzegamy je nawet tam, gdzie ich nie ma.

Astrologia i sztuczna inteligencja współdzielą wiarę w potęgę danych. Czy na podstawie tego pokrewieństwa możemy formułować jakieś przestrogi?

Bardzo podstawowe, ale tak. Przede wszystkim: dane nie są neutralne. Ten, kto umie się nimi posługiwać, może wpływać na decyzje ekonomiczne i polityczne. Tam, gdzie w grę wchodzą liczby, trzeba być ostrożnym, bo diabeł tkwi w szczegółach. Pamiętajmy, że każdy model to tylko przybliżenie rzeczywistości. Aby był dobry, musi zostać dokładnie skalibrowany i poddany próbom. Jeśli będziemy traktować te narzędzia krytycznie, mogą nam pomóc.

Gorzej, jeśli traktujemy je jak wyrocznię, która nigdy się nie myli. Dziś, niestety, podążamy tą drugą ścieżką. Szczególnie w Ameryce, gdzie analiza danych to biznes wart miliardy dolarów rocznie. Znaleźliśmy się w sytuacji, w której nie umiemy odpowiedzieć na proste pytanie: jak to działa? Jeśli twórcy modeli predykcyjnych czy wielkich modeli językowych często nie wiedzą, dlaczego otrzymują takie, a nie inne odpowiedzi, to czy możemy im ufać?

Właśnie – możemy?

Nie wiem. Wypłynęliśmy na nieznane wody. Chyba po raz pierwszy w historii dane wyprzedzają naszą wiedzę o świecie. Robimy z nimi rzeczy, których nie rozumiemy. Dotychczas było na odwrót: matematyka tłumaczyła zjawiska, które od dawna nas fascynowały. Myślę, że poza wiarą w potęgę liczb astrologia i sztuczna inteligencja mają wspólnego coś jeszcze. Chodzi mi o uczucie konsternacji, zachwytu i własnej małości, w połączeniu z pokusą zawierzenia liczbom. Ci, którzy dziś mają do czynienia na przykład z uczeniem maszynowym, zapewne doświadczają tego samego dreszczu, co ludzie, którzy 500 lat temu czytali najnowszy horoskop renesansowego astrologa.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

Hallyu - koreańska fala

Historia podzielonego półwyspu

mapy • ilustracje • konteksty • ciekawostki

140 stron

Już w sprzedaży!

Wydanie papierowe – w kioskach i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Wydanie audio – **sklep.polityka.pl** i **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

KUP TERAZ

POMOCNIK HISTORYCZNY
Ponad 60 tytułów

Sprawdź na
sklep.polityka.pl

Nietrzymanie moczu nie jest już problemem

Jak to możliwe, by powszechnie występujący problem nietrzymania moczu był przez tysiące kobiet i mężczyzn pilnie strzeżoną tajemnicą? Wstyd przed rozmową z lekarzem uniemożliwia rozpoczęcie kuracji, choć opcji leczenia jest sporo. Na każdy typ nietrzymania moczu współczesna medycyna ma skuteczne rozwiązanie.

Poczucie, że z tą kłopotliwą niesprawnością pęcherza moczowego nic nie można zrobić albo że jest naturalną dysfunkcją po porodach, oznaką przekwitania u kobiet lub niezwykle częstym powikłaniem radykalnego leczenia raka prostaty u mężczyzn, zniechęca wiele osób do szukania pomocy. Choć trudno im pogodzić się z codziennymi niedogodnościami – czy zdążę do toalety, czy nie zabrudzę bielizny i nie będzie widać śladów na ubraniu, czy nie zacznę w towarzystwie brzydko pachnieć? – wszystkie te kłopoty, mimo pogorszenia jakości życia, zrzucają na karb upływu lat. – *A to nieprawda, warto takie przekonanie zmienić* – zachęca dr Piotr Grabiec, który kieruje oddziałem Andrologii oraz Urologii Funkcjonalnej i Rekonstrukcyjnej w warszawskim Szpitalu Medicover. – *To bardzo powszechna dolegliwość, która może ujawnić się w najmniej spodziewanym momencie* – dodaje. – *W Polsce dotyka oficjalnie ponad 2 mln pacjentów. Jednak z powodu intymnego charakteru tych dolegliwości, bo trudno się przyznać do popuszczania moczu lub jego całkowitego nietrzymania, dane te są niepełne i w rzeczywistości szacuje się, że cierpi z tego powodu aż 4 mln Polek i Polaków.*

Profilaktyka, potem leczenie

Adresatkami i adresatami niniejszych zaleceń są nie tylko panie w starszym wieku, ale również kobiety aktywne zawodowo, które zmuszone są zabierać do pracy drugi komplet bielizny, czy mężczyźni, którzy po operacjach gruczołu krokowego nie są w stanie zapanować nad mikcją i muszą nosić pieluchomajtki. – *Mówimy o niekontrolowanym wycieku moczu, spowodowanym niezdolnością organizmu do gromadzenia go w pęcherzu oraz zaniku świadomego decydowania o momencie jego opróżniania* – wyjaśnia dr Grabiec. Przyczyny mogą być rozmaite i to one determinują wybór odpowiedniej terapii. – *Wdrażając odpowiednie leczenie, jesteśmy obecnie w stanie pomóc 80 proc. pacjentów, a pozostałym 20 proc. znacząco poprawić komfort życia* – przekonuje nasz rozmówca. Dlatego warto skonsultować swój problem z urologiem, który przeprowadzi szczegółową diagnostykę, aby precyzyjnie ocenić czynność zwieracza i przepływ moczu przez cewkę moczową oraz zbadać proces gromadzenia go w pęcherzu. Dzięki skrupulatnie zebranemu wywiadowi oraz badaniom urodynamicznym i uroginekologicznym specjalista rozstrzygnie, jaką metodę leczenia najlepiej zastosować.

– *Takie testy wykrywają nieraz wczesny etap zaburzeń. Wystarczą wtedy ćwiczenia, w które trzeba zaangażować mięśnie dna miednicy. Dzięki temu uda się zredukować dolegliwości* – uspokaja dr Grabiec. Wszystkie pacjentki po porodach oraz te, u których podczas wspomnianych badań stwierdza się wiotkość tkanek miękkich, powinny profilaktycznie trenować mięśnie miednicy mniejszej. Pomoże również redukcja masy ciała (u otyłych kobiet, którym uda się schudnąć o 5–10 proc., częstość epizodów nietrzymania moczu zmniejsza się aż o połowę!). Zdrowa dieta bogata w błonnik i przeciwdziałająca zaparciom jest również korzystna dla mięśni dna miednicy oraz mięśni wokół zwieracza pęcherza moczowego. Podobnie jak regularna aktywność fizyczna (zwłaszcza jazda na rowerze, pływanie, nordic walking oraz joga), która odciąża i zarazem chroni miednicę mniejszą.

Te wszystkie zalecenia powinny stosować pacjentki z początkowymi objawami dysfunkcji pęcherza moczowego, jak również profilaktycznie kobiety w średnim wieku, aby zminimalizować ryzyko wystąpienia nietrzymania moczu – bo może ono wystąpić przy zmianach hormonalnych w okresie wejścia w klimakterium.

– *Urologia funkcjonalna zajmuje się leczeniem wszystkich rodzajów nietrzymania moczu: od wysiłkowego, czyli wywołanego wzrostem ciśnienia w miednicy mniejszej, np. w czasie kaszlu, kichania lub wysiłku fizycznego, poprzez nietrzymanie moczu z parciem naglącym, kiedy droga do toalety staje się zbyt długa, aż do formy mieszanej, kiedy występują oba te rodzaje zaburzeń* – mówi dr Piotr Grabiec, który doświadczenie zawodowe zdobywał w Niemczech, pracując w największym krajowym centrum nietrzymania moczu i neurourologii w Mönchengladbach.

Diagnoza, potem wybór metody

Po ustaleniu przyczyny można przystąpić do leczenia. Przy rozpoznaniu wysiłkowego podłoża niesprawności zwieracza i pęcherza, wspomniane ćwiczenia miednicy mniejszej w początkowym etapie choroby mogą okazać się wystarczające, aby ponownie odzyskać kontrolę. Dobre rezultaty we wczesnych stadiach przynosi również farmakoterapia. W bardziej zaawansowanych konieczne staje się już leczenie operacyjne, które polega na minimalnie inwazyjnym ostrzyknięciu cewki moczowej odpowiednim preparatem lub na wprowadzeniu tzw. taśmy podcewkowej stabilizującej cewkę moczową, co przeciwdziała bezwiednemu wyciekowi moczu w trakcie wysiłku (wywołanego np. kaszlem).

– *W trudniejszych przypadkach, a szczególnie w sytuacjach, kiedy wszczepiona taśma okazała się nieskuteczna, rozważamy zastosowanie taśmy regulowanej, której pozycję dopasowuje się drugiego dnia po zabiegu* – opowiada nasz ekspert. Można również zastosować specjalne pesary, czyli wkładki dopochwowe stabilizujące cewkę moczową.

Niekiedy problem wynika z zaburzeń statyki narządów miednicy mniejszej. Wtedy najlepsze efekty przynosi ich

rekonstrukcja, która może być przeprowadzana klasycznie, czyli metodą otwartą, laparoskopowo lub minimalnie inwazyjnie przy użyciu robota operacyjnego. Takie zabiegi polegają na odtworzeniu anatomii w obrębie dna miednicy, a najnowsza metoda z podwieszeniem macicy na więzadle grzebieniastym (metoda UPS) jest bezpieczna dla pacjentek w każdym wieku i wymaga krótszego okresu rekonwalescencji.

Z kolei u mężczyzn cierpiących na nietrzymanie moczu szansą na powrót do normalnego życia jest wszczepienie sztucznego zwieracza cewki moczowej. Poprzez niewielkie nacięcie w rejonie krocza umieszcza się mankiet takiego urządzenia wokół cewki, a następnie łączy go z pompą oraz ze zbiornikiem płynu regulującego ciśnienie w systemie umieszczonym w jamie brzusznej. Sterowanie systemem odbywa się manualnie i choć z opisu tej metody wydaje się ona skomplikowana, jest przyjazna dla pacjenta, a efekty takiego leczenia są bardzo dobre.

Wiedza, potem fachowa pomoc.

– *Inną przyczyną nietrzymania moczu jest silne parcie, które może pojawić się na tle zwykłej infekcji dróg moczowych, ale jest też charakterystyczne dla osób cierpiących na choroby neurologiczne: stany poudarowe, porażenia kończyn, stwardnienie rozsiane, chorobę Parkinsona lub Alzheimera* – wylicza dr Grabiec. Pacjenci z takimi schorzeniami powinni regularnie kontrolować sprawność pęcherza moczowego, ponieważ zbyt wysokie ciśnienie w nim może nieodwracalnie uszkadzać nerki.

Do metod wykorzystywanych przy leczeniu tego typu dolegliwości, związanych z nadreaktywnym pęcherzem, należy również wspomniany już wcześniej trening mięśni miednicy albo leczenie farmakologiczne. Niekiedy przewlekła terapia może wywoływać skutki uboczne i w konsekwencji tego trzeba ją odstawić. Ponadto istnieje grupa pacjentów niereagujących na leki. – *Nie zostawiamy ich bez pomocy* – zaznacza dr Grabiec – *urologia funkcjonalna oferuje im endoskopowe ostrzykiwanie pęcherza toksyną botulinową w trybie tzw. chirurgii jednego dnia.* Zabieg pozwala na czasowe rozwiązanie problemu – dolegliwości ustępują na kilka miesięcy (zazwyczaj efekt leczenia utrzymuje się od 9 miesięcy aż do 1,5 roku), więc w tych odstępach czasu należy go powtarzać.

Inną metodą jest neuromodulacja. Jej celem jest przywrócenie prawidłowej pracy pęcherza moczowego poprzez ciągłą stymulację nerwów krzyżowych. W pierwszym etapie wszczepione zostają elektrody testowe. Jeśli efekty są zadowalające, w drugim etapie pod skórę zostaje wprowadzony generator impulsów. Neurostymulacja nerwów krzyżowych jest jedyną szansą na poprawę działania pęcherza w przypadku jego niedoczynności.

Parciem naglącym lub uczuciem niepełnego opróżniania pęcherza moczowego objawiają się również zaburzenia statyki miednicy mniejszej. Odpowiedzialne za to jest obniżenie narządów miednicy (wypadanie macicy, odbytnicy lub pęcherza moczowego) na skutek postępującego z wiekiem zmniejszenia elastyczności tkanek, nadwagi lub dużej liczby ciężkich porodów. Dolegliwość doraźnie łagodzić może noszenie odpowiednich wkładek dopochwowych (pesarów). Jedyną szansę na wyleczenie daje jednak zabieg

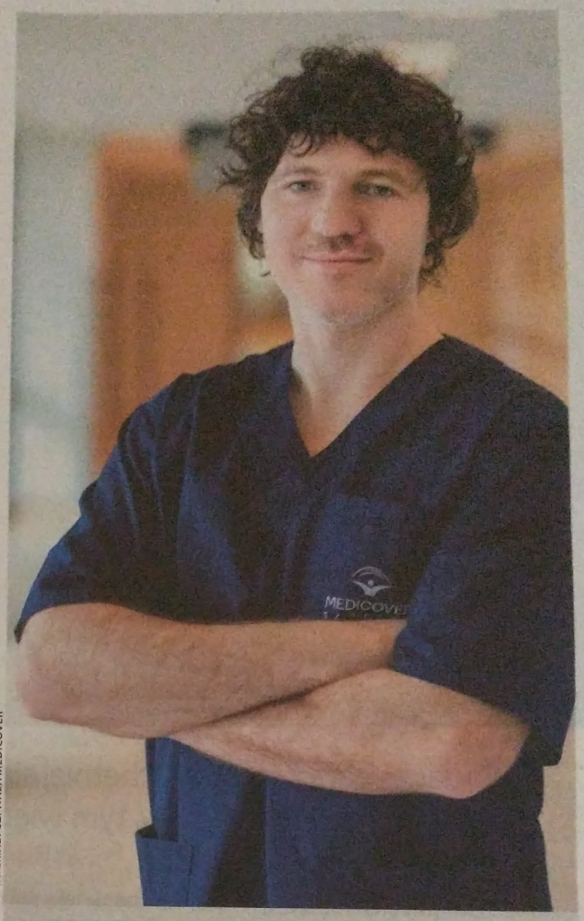

© MATERIAŁY SZPITALA MEDICOVER

Piotr Grabiec – urolog, androlog, Szpital Medicover

rekonstrukcyjny. – *Mamy do wyboru wiele metod chirurgicznych, od operacji przezpochwowych po laparoskopowe, a więc minimalnie inwazyjne leczenie połączone z rekonstrukcją narządów* – wyjaśnia dr Grabiec, dodając, że największą precyzję zapewniają operacje z wykorzystaniem robota operacyjnego, podczas których chirurg ma możliwość optymalnej korekcji zaburzeń (dodatkowym atutem robotowych operacji jest znaczne skrócenie pobytu w szpitalu i okresu rekonwalescencji po zabiegu).

Wraz ze starzeniem się społeczeństwa i zwiększaniem częstości występowania chorób sprzyjających nietrzymaniu moczu należy spodziewać się, że ten problem będzie coraz bardziej powszechny. Tym lepiej, że spektrum możliwości leczenia jest bardzo duże. Z oferowanych metod można jednak skorzystać tylko pod warunkiem, że o krępującej dolegliwości zaczniemy szczerze rozmawiać i odważymy się szukać pomocy u specjalistów urologii.

MATERIAŁ POWSTAŁ PRZY WSPÓŁPRACY ZE SZPITALEM MEDICOVER

Więcej Czatu!

Badacze coraz częściej i chętniej sięgają po narzędzia sztucznej inteligencji. Im więcej sukcesów, tym więcej pytań o potencjalne zagrożenia.

MARCIN ROTKIEWICZ

DARPA jest jedną z najsłynniejszych amerykańskich instytucji wojskowych. Choć jej pełna nazwa, czyli Defense Advanced Research Projects Agency (Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności), sugeruje wyłącznie militarny obszar działań, to instytucja ta ukształtowała także cywilny świat. Przyczyniła się do powstania m.in. szczepionek przeciwko Covid-19, satelitów meteorologicznych, systemu nawigacji satelitarnej GPS, dronów, interfejsów głosowych czy komputerów osobistych. I, *last but not least*, internetu. Oczywiście ponosiła również porażki lub wspierała zupełnie szalone czy wręcz absurdalne pomysły (np. stosowanie masowej hipnozy w wietnamskich wioskach, by zwiększyć poparcie dla władz Wietnamu Południowego w latach 60. XX w.). Ale właśnie taka jest natura DARPA. Powołano ją, by wspierać nawet najbardziej futurystyczne pomysły. Kolejnym jest ogłoszony w listopadzie 2023 r. „Autonomiczny naukowiec".

Jak zwinąć białko?

DARPA oferuje milion dolarów tym, którzy pomogą w stworzeniu systemu sztucznej inteligencji wspierającego badaczy. Generowałby on unikalne hipotezy oraz proponował ich krytyczną analizę. Miałby się również stać „przynajmniej dziesięciokrotnie lepszy od człowieka pod względem skalowalności". Chodzi o efektywne przetwarzanie rosnącej liczby danych oraz obsługę coraz liczniejszych i bardziej złożonych eksperymentów, ale bez istotnego spadku wydajności. Oznacza to, że „Autonomicznego naukowca" dałoby się angażować zarówno do małych projektów, jak i naprawdę dużych. Skalowalność wiąże się też z redukcją kosztów, gdyż AI m.in. określiłaby najbardziej obiecujące kierunki badań i zasugerowała tańsze, ale efektywniejsze metody eksperymentalne.

Zastosowanie „Autonomicznego naukowca" byłoby szerokie, obejmujące m.in. badania nad modelowaniem klimatu czy opracowywanie nowych materiałów. DARPA kładzie również nacisk na eksperymenty związane z zastosowaniem biologii obliczeniowej (czyli wspartej informatyką, matematyką i inżynierią) do analizy zwijania (inaczej: fałdowania) białek. Chodzi o proces, podczas którego łańcuchy aminokwasów (z nich składają się białka) formują unikalne i skomplikowane trójwymiarowe struktury. Jest on ogromnie ważny, gdyż forma przestrzenna, jaką przyjmuje białko, decyduje o jego funkcji. A błędy podczas zwijania mogą prowadzić do powstawania niefunkcjonalnych lub wręcz szkodliwych protein. Podsumowując, DARPA chce dać silny impuls do powstania narzędzi AI, które zmienią sposób pracy naukowej, umożliwiając szybsze i bardziej efektywne dochodzenie

© NICOELNINO/SHUTTERSTOCK, SHUTTERSTOCK

© LECH MAZURCZYK

do nowych teorii i odkryć. Jednak przy zachowaniu, jak deklaruje agencja, kluczowej roli ludzkiego intelektu i kreatywności.

Pytanie tylko, czy DARPA – niemal zawsze będąca w awangardzie – dziś nie jest już mocno spóźniona. Wspomniany projekt jeszcze pięć–dziesięć lat temu wydawałby się niezwykle ambitny, niemal jak science fiction. Jednak dziś rozwój systemów AI ogromnie przyspieszył. Szczególnie tych generatywnych, czyli tworzących nowe treści dużych modeli językowych, które już mocno wpływają na naukę. Wystarczy spojrzeć na ubiegłoroczną decyzję tygodnika „Nature", jednego z najstarszych i najbardziej prestiżowych czasopism naukowych. Pod koniec każdego roku jego redakcja wybiera dziesięcioro uczonych, którzy swoimi odkryciami, pracą czy wpływem na debatę znacząco przyczynili się do postępu wiedzy. I w 2023 r. po raz pierwszy postanowiono rozszerzyć tę listę o jedenastą, nie ludzką „osobę". Wybór padł na ChatGPT.

Uznano, że program ten coraz częściej pomaga w pisaniu prac naukowych, projektów grantowych, generowaniu kodu komputerowego oraz służy jako źródło inspiracji dla nowych badań. Oczywiście, co dostrzegają redaktorzy „Nature", może wprowadzać także negatywne elementy. Na przykład niektórzy naukowcy anonimowo przyznają się do korzystania z ChatGPT podczas pisania artykułów, choć nie deklarują w nich tego faktu. Istnieją też obawy związane z błędami generowanymi przez duże modele językowe oraz ich powielaniem. Mimo to AI, która zapewne dalej będzie się rozwijać i doskonalić, już jest postrzegana jako istotny uczestnik procesu naukowego, zdolny do wpływania na jego kierunek i jakość.

Nieludzkie mózgi

ChatGPT i inne modele językowe to jednak nie wszystko. Jednym z pierwszych sygnałów nadciągającej rewolucji było pojawienie się programu AlphaFold, opracowanego przez słynne laboratorium sztucznej inteligencji Google DeepMind. W 2020 r. wygrał on Critical Assessment of Structure Prediction (CASP), prestiżowy konkurs przewidywania struktur przestrzennych białek. Tygodnik „Science" uznał to za jedno z największych ówczesnych osiągnięć naukowych. Przed erą AI określanie budowy przestrzennej białek było bowiem bardzo trudne i czasochłonne, gdyż wymagało skomplikowanych i kosztownych technik eksperymentalnych. Tymczasem AlphaFold (który jest cały czas ulepszany) już udostępnił bazę przewidywanych struktur wszystkich znanych nauce protein (ok. 200 mln), także tych budujących organizm człowieka.

W ub.r. redakcja „Science" oceniła jako przełomowe także inne „dziecko" naukowców Google'a. Chodzi o GraphCast, czyli oparty na uczeniu maszynowym program analizujący dane historyczne stanów pogody. Na tej podstawie tworzy prognozy meteorologiczne do 10 dni naprzód. A potrafi robić to w mniej niż minutę i bez użycia mocy obliczeniowych potężnych komputerów.

Nie był to zresztą jedyny w ostatnim czasie spektakularny przykład zastosowania systemów AI w badaniach naukowych. Program opracowany w Massachusetts Institute of Technology „przeskanował" 12 mln związków chemicznych w celu znalezienia antybiotyków zdolnych do zabijania dwóch rodzajów lekoopornych bakterii (*Staphylococcus aureus* i *Enterococcus*). Wytypowane przez maszynę substancje okazały się skuteczne w badaniach z udziałem myszy. Inna AI, też wykorzystująca uczenie maszynowe, pomyślnie przeszła test przewidywania składu szczepionek przeciwko grypie. Sprawdzono to na H3N2, czyli najbardziej zmiennym genetycznie wirusie powodującym tę chorobę. Program przeanalizował historyczne dane z lat 1980–2020 i trafnie zaproponował skład szczepionek na sezon 2020–21.

Rok 2023 przyniósł również doniesienia o działających systemach, które DARPA ▶

AI w badaniach naukowych

Główne korzyści	Główne zagrożenia
Szybsze przetwarzanie danych	Interpretacja danych bez ich zrozumienia
Szybsze obliczenia	Powielanie błędów zawartych w danych
Oszczędność czasu i pieniędzy badaczy	Ułatwione oszustwa
Większy dostęp do danych	Finansową bariera dostępu do AI
Przetwarzanie nowych typów danych	Energochłonność
Szybsze pisanie programów komputerowych	
Odpowiedzi na pytania o wysokim stopniu komplikacji	
Ulepszenie metod badawczych	
Nowe odkrycia	
Nowe hipotezy	

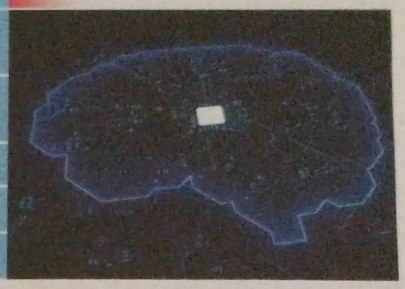

Dane z ankiety tygodnika „Nature" z udziałem 1659 naukowców z całego świata (2023 r.)

Do czego naukowcy wykorzystują ChatGPT lub inne duże modele językowe?

(w proc.)

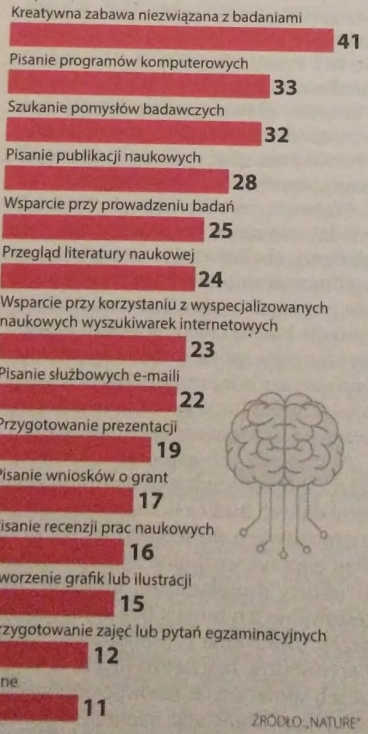

ŹRÓDŁO „NATURE"

© NICOELNINO/SHUTTERSTOCK, SHUTTERSTOCK
© LECH MAZURCZYK

▶ dopiero chce pomóc tworzyć. GNoME, czyli Graph Networks for Materials Exploration, opracowany przez DeepMind, jest modelem AI przewidującym struktury kryształów nieorganicznych. Do tej pory znano ok. 48 tys. takich potencjalnych struktur, ale GNoME rozszerzył ten zbiór do ponad 2 mln. Co więcej, twórcy tego systemu nawiązali współpracę z Lawrence Berkeley National Laboratory (LBNL), dysponującym w pełni zautomatyzowanym robotycznym laboratorium. GNoME przesłał do niego 58 propozycji kryształów, z których bez udziału człowieka udało się zsyntetyzować 41 (choć niektórzy naukowcy kwestionują ten wynik, więc pewnie będzie on wymagał jeszcze potwierdzenia).

Ciekawy eksperyment przeprowadzili też badacze z Chin. Stworzyli oni robota chemika, który, bazując na składzie mineralnym próbek pobranych z pięciu meteorytów marsjańskich, zdołał uzyskać substancję katalizującą produkcję tlenu m.in. z obecnego na Marsie CO_2 (co może mieć ogromne znaczenie dla przyszłych misji załogowych). Co istotne, działa ona w bardzo niskich temperaturach, typowych dla Czerwonej Planety. Jak wyliczyli naukowcy, zastosowanie katalizatora w pomieszczeniu o wysokości 3 m i powierzchni 10 m kw. pozwoliłoby na osiągnięcie zawartości tlenu zbliżonej do ziemskiej w ciągu zaledwie 15 godzin. Oszacowali również, że gdyby chcieć uzyskać taką substancję bez pomocy AI, zajęłoby to ponad 2 tys. lat żmudnych badań.

Kolejnym spektakularnym przykładem jest eksperyment przeprowadzony przy użyciu autonomicznego systemu badawczego AI o nazwie BEAR, zbudowanego w Boston University. Koordynował on działanie kilku urządzeń, takich jak drukarka 3D, robotyczne ramię, wagi laboratoryjne czy prasa hydrauliczna: i z ich pomocą przeprowadzał, bez udziału człowieka, 50 eksperymentów dziennie, poszukując materiałów o określonych cechach. W końcu udało mu się odkryć taki, który charakteryzował się największą znaną absorpcją energii. Dlatego może on znaleźć zastosowanie m.in. w produkcji kasków rowerowych, gdyż siła uderzenia będzie rozpraszana lepiej niż dotychczas.

Oj, dane, dane...

W artykule opublikowanym na łamach „The Atlantic" amerykański dziennikarz Matteo Wong dorzuca do tej listy jeszcze jeden przykład. Firma Insilico Medicine zaprojektowała lek na idiopatyczne włóknienie płuc (IPF), wykorzystując setki modeli AI. Dzięki temu udało jej się skrócić o połowę czas potrzebny na przeprowadzenie badań nowego leku (zazwyczaj zajmuje to pięć lat). Jeśli uda jej się wprowadzić go na rynek, będzie to pierwszy w historii medykament opracowany przez sztuczną inteligencję.

Coś takiego budzi zachwyt – pisze Wong – ale i poważne obawy. Szczególnie dotyczące fundamentalnych kwestii związanych z nauką. AI potrafi dziś w ciągu sekund rozszyfrować strukturę przestrzenną białka czy przetworzyć ogromne zbiory danych z precyzją wykraczającą daleko poza ludzkie możliwości. Tylko jak to robi? Znamy podstawowe zasady działania np. dużych modeli językowych, ale nie wiemy, w jaki dokładnie sposób ogromnie skomplikowane sztuczne sieci neuronowe dochodzą do odpowiedzi na zadane pytania. Jeśli zatem badacze coraz częściej i chętniej będą polegać na algorytmach AI, to proces naukowy straci swoją esencję – zrozumienie. Można to także nazwać efektem „magicznej skrzynki", do której wrzucamy pytanie i otrzymujemy odpowiedź.

Ponadto ważnym elementem procesu naukowego są ludzki osąd i etyka, które trudno będzie sprowadzić do algorytmicznych wyliczeń. Jak więc zapewnić, by w świecie coraz bardziej zdominowanym przez maszyny nauka pozostała ludzka? – zastanawia się Wong.

W jednym z ostatnich wydań „Nature" podobnymi kwestiami zajęły się dwie amerykańskie badaczki: antropolożka Lisa Messeri z Yale University oraz neuronaukowczyni Molly Crockett z Princeton University. Przeanalizowały około setki prac naukowych, materiałów konferencyjnych i książek – głównie z ostatnich pięciu lat – by sprawdzić, w jakich rolach badacze chcieliby obsadzić systemy AI. Następnie pogrupowały je w cztery kategorie.

Pierwszą jest Wyrocznia. To źródło wiedzy zdolne do błyskawicznego przeglądania, analizowania i interpretowania ogromnych zbiorów danych naukowych. Ma pomagać w określaniu nowych kierunków badań i formułowaniu hipotez, wykraczając poza ludzkie możliwości przetwarzania informacji. Wyrocznia pełniłaby zatem funkcję wszechwiedzącego przewodnika w procesie badawczym.

AI miałaby też wspierać naukowców jako Zastępca, czyli symulator lub generator danych trudnych, kosztownych bądź niemożliwych do uzyskania. Na przykład tworzyć wirtualne skomplikowane struktury molekularne, umożliwiając testowanie ich funkcji bez konieczności przeprowadzania czasochłonnych eksperymentów laboratoryjnych. A w naukach społecznych kreować odpowiedzi na ankiety, ułatwiając badanie zachowań społecznych bez potrzeby angażowania rzeczywistych uczestników.

Z kolei Analityk wykorzystywałby zaawansowane metody uczenia maszynowego do identyfikowania wzorców i trendów w danych, które mogą nie być widoczne ani zrozumiałe dla ludzkiego oka i umysłu. Dzięki jego pomocy naukowcy zaczną odkrywać np. nowe mechanizmy w dziedzinach takich jak genetyka, astronomia czy ekonomia. Analityk byłby więc potężnym narzędziem umożliwiającym głębokie zrozumienie skomplikowanych zestawów danych i odkrywanie nowych zależności.

Ostatnią kategorią AI byłby Arbiter zajmujący się oceną i weryfikacją wyników badań. Działałby jako obiektywny sędzia recenzujący jakość pracy naukowej. Pomagałby wyłapywać potencjalne błędy, uprzedzenia czy nieścisłości w trosce o wysokie standardy i wiarygodność badań.

Monokultury i iluzje

Brzmi to wszystko wspaniale, tyle że wejście AI w powyższe role – piszą Messeri i Crockett – niesie z sobą szereg zagrożeń. Między innymi pojawienia się monokultur wiedzy, które powstają wówczas, gdy naukowcy zaczynają zdecydowanie faworyzować określone metody badawcze z powodu ich efektywności, kosztów lub prestiżu. Sztuczna inteligencja też może zacząć skupiać się na konkretnych typach danych lub problemach najlepiej odpowiadających jej algorytmom. Grozi to nie tylko ograniczeniem zrozumienia złożonych zjawisk, lecz również nabraniem przekonania, że posiadamy pełniejszy obraz rzeczywistości, niż jest to możliwe.

Amerykańskie badaczki piszą też o kilku groźnych iluzjach. Pierwsza polegałaby na tym, że ludzie zaczną przypisywać sobie wiedzę uzyskaną dzięki algorytmom. Druga zawężałaby badane obszary do tych, które można testować za pomocą systemów AI. Trzecie złudzenie, dotyczące obiektywności, to przekonanie, że systemy AI reprezentują wszystkie możliwe punkty widzenia – albo nie posiadają własnego; mimo że odzwierciedlają jedynie to, co było zawarte w danych, na których je trenowano.

Dlatego wyzwaniem dla współczesnej nauki będzie znalezienie równowagi między wykorzystaniem potencjału sztucznej inteligencji a zachowaniem pluralizmu metodologicznego i poznawczego. Tylko dzięki temu będzie ona miała szanse pozostać elastyczna, innowacyjna i wolna od ograniczeń, które zahamowałyby jej postęp – podsumowują amerykańskie badaczki.

MARCIN ROTKIEWICZ

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

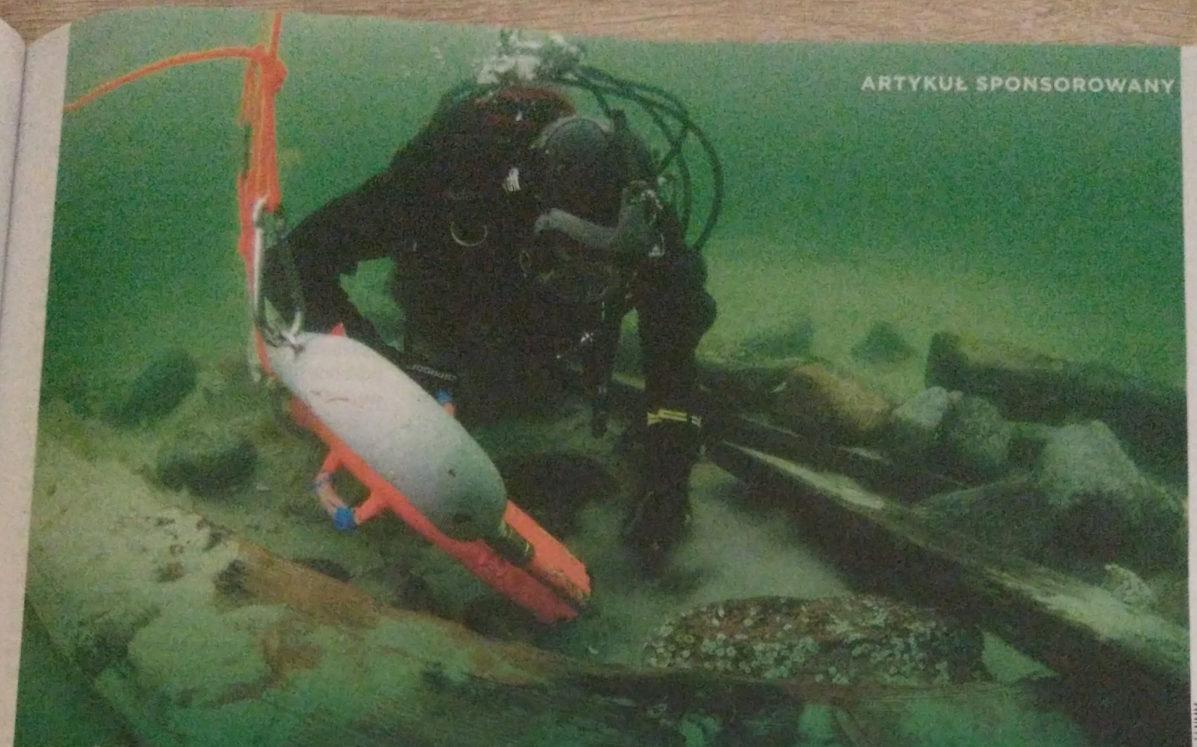

Wraki i nie tylko. Podwodne dziedzictwo kulturowe Polski

Fot. Robert Domżał/ NMM

Ostatnich kilka lat to czas szczególnie intensywnej pracy zespołu Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku na rzecz zachowania zabytków spoczywających na dnie Bałtyku.

▲ Oczyszczanie fragmentów drewnianego wraku na dnie Zatoki Gdańskiej przy pomocy ejektora.

Te działania to budowa Muzeum Archeologii Podwodnej i Rybołówstwa Bałtyckiego w Łebie, utworzenie Podwodnego Magazynu Wraków w Zatoce Gdańskiej i wdrażanie zaleceń konwencji UNESCO o ochronie podwodnego dziedzictwa kulturowego. Przedsięwzięcia te są kontynuacją misji, którą instytucja realizuje już od 1968 r. To właśnie wtedy ówczesne Muzeum Morskie, jeszcze jako młoda placówka kultury, zainicjowało pionierskie w skali kraju archeologiczne badania podwodne.

Jednymi z pierwszych wraków zbadanych przez muzealnych archeologów były: XV-wieczny żaglowiec typu holk oraz XVII-wieczny galeon. Zostały one odkryte pod koniec lat 60. XX w. podczas prac przy budowie gdańskiego Portu Północnego. Pierwszy z wraków badacze nazwali Miedziowcem, od zachowanego w nim ładunku owalnych wlewek miedzi; drugi zidentyfikowano jako *Solen* – okręt szwedzkiej floty wojennej, zatopiony podczas bitwy pod Oliwą w 1627 r. Od czasu tamtych badań w bazie wraków zinwentaryzowanych przez muzeum znalazło się już ponad sto historycznych jednostek odkrytych w polskich obszarach morskich, w tym m.in. brytyjski bark *General Carleton* i fryzyjski kuff *De Jonge Seerp* z XVIII w. Muzealni archeolodzy od lat badają również relikty zatopionego średniowiecznego portu w Pucku, gdzie na obszarze ok. 16 ha udokumentowano pozostałości konstrukcji portowych oraz wraki łodzi z okresu od X do XIV w. Zabytki pozyskane w trakcie badań już za kilka lat znajdą swoje stałe miejsce w powstającym obecnie w Łebie Muzeum Archeologii Podwodnej i Rybołówstwa Bałtyckiego. Ekspozycja placówki została zaprojektowana tak, by w pełni ukazać spektakularność wielkogabarytowych artefaktów, m.in. zrekonstruowanej rufy Miedziowca wraz z ładunkiem, wraków średniowiecznych łodzi z Pucka oraz reliktów datowanego na koniec XIII w. statku typu koga. Oprócz funkcji wystawienniczej łebski oddział muzeum będzie również zapleczem logistycznym dla archeologów oraz bazą szkoleniową dla badaczy, przewodników i pasjonatów podwodnego dziedzictwa kulturowego. Celem muzeum w najbliższej przyszłości jest utworzenie w tym miejscu Centrum UNESCO II stopnia, mającego wspierać działania edukacyjne w zakresie archeologii podwodnej.

W 2021 r. Polska ratyfikowała konwencję UNESCO o ochronie podwodnego dziedzictwa kulturowego, ogłoszoną w Paryżu w 2001 r. Do głównych zadań państw sygnatariuszy należy ochrona podwodnych obiektów kulturowych *in situ* wraz z kontekstem przyrodniczym, w którym się znajdują. Zabezpieczenie zabytków w miejscu ich odkrycia nie zawsze jest możliwe, dlatego Narodowe Muzeum Morskie od kilku lat realizuje projekt Podwodnego Magazynu Wraków. Jest to wydzielony akwen na Zatoce Gdańskiej, wyłączony z jakiejkolwiek działalności przemysłowej. Na jego dnie spoczął już wrak *Solena* oraz żeliwne działa okrętowe odkryte na środkowym Bałtyku. Ze względu na dużą wartość historyczną i naukową deponowanych zabytków, Podwodny Magazyn Wraków będzie nie tylko „skansenem" obiektów przenoszonych z obszarów przeznaczonych pod inwestycje, ale również poligonem badawczym dla naukowców z różnych dziedzin i miejscem popularyzacji podwodnego dziedzictwa kulturowego Bałtyku. Przez kolejne lata w jego obszarze będą prowadzone badania wpływu środowiska naturalnego na stan zachowania umieszczonych w nim zabytków. Muzeum, z myślą o rozwoju turystyki nurkowej, planuje również przygotowanie w tym miejscu podwodnej trasy zwiedzania dla płetwonurków.

Zadania: Budowa oddziału Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku – Muzeum Archeologii Podwodnej i Rybołówstwa Bałtyckiego w Łebie oraz Podwodny Magazyn Wraków – Zatoka Gdańska dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE MUZEUM MORSKIE w Gdańsku

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Jak działa świat

Na początku była energia. Bez niej nie byłoby niczego: cementu, stali, żywności, po prostu życia. O czym zbyt często zapominają ekonomiści.

EDWIN BENDYK

Jeszcze nigdy ludziom nie było tak dobrze jak dzisiaj, przekonują optymiści. W skrajnym ubóstwie w 2022 r. żyło 682 mln osób, czyli 8,5 proc. globalnej populacji. To dużo, ale wiek wcześniej dotykało ono 1,3 mld spośród 1,75 mld żyjących wówczas na Ziemi. Nie unieważnia to informacji o toczących się wojnach, klęskach głodu i ofiarach katastrof naturalnych. Informacje te nie powinny jednak przesłaniać szerszego obrazu, z którego wynika, że postęp działa. I choć ciągle nie wyeliminowaliśmy takich zagrożeń jak niosące śmierć wirusy, to doświadczenie pandemii Covid-19 jest najlepszym dowodem pozytywnego rozwoju, powie każdy optymista.

Owszem, setki tysięcy ludzi zmarło na skutek nieudolności systemów opieki zdrowotnej, nieradzących sobie z problemem w nawet najbardziej rozwiniętych krajach świata. To jednak dzięki m.in. operacji Warp Speed, współczesnemu odpowiednikowi Projektu Manhattan, w ciągu kilku miesięcy powstały skuteczne szczepionki. Połączenie zakumulowanej wiedzy naukowej, przetwarzania olbrzymich ilości danych z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, nowoczesnej logistyki przyniosło efekt w czasie wielokrotnie krótszym niż przewidywano.

Klimat i postęp

Skoro tak, to kolejne wyzwania stojące przed ludzkością, z kryzysem klimatycznym na czele, także znajdą rozwiązanie. Więcej – te rozwiązania są już znane i na ich podstawie optymiści kreślą scenariusze dojścia do świata, w którym wzrost temperatury atmosfery zatrzyma się na wskazanym przez uczonych poziomie 1,5 st. C powyżej okresu przedprzemysłowego.

Trzy lata temu grupa europejskich naukowców przedstawiła w „Nature" wizję świata w 2050 r., gdy na głowę mieszkańca Ziemi zużywać się będzie o 52 proc. energii mniej niż dziś, a pochodzić ona będzie oczywiście głównie z czystych źródeł. W 2023 r. podobne w duchu opracowanie przedstawił zespół badaczy z Uniwersytetu Stanforda. Przekonywali, że przejście na zasilanie energią z wody, wiatru i słońca możliwe jest już nawet do 2035 r. Zielonej transformacji towarzyszyć będzie wzrost efektywności, który doprowadzi do zmniejszenia zużycia energii o 57 proc. W nagrodę za wysiłek powstaną miliony nowych dobrych miejsc pracy.

Kto nie chciałby realizacji takich scenariuszy? Zasilają więc one konkretne projekty polityczne, jak Europejski Zielony Ład, który ma doprowadzić kraje Unii Europejskiej do uzyskania neutralności klimatycznej w 2050 r., czy rezolucję Kongresu USA z 2019 r. zobowiązującą rząd do podjęcia Zielonego Nowego Ładu. Właśnie te ideę poddaje analizie Vaclav Smil, jeden z najpoczytniejszych historyków techniki.

Pochodzący z Czechosłowacji naukowiec związał się z Kanadą i University of Manitoba. Jego konikiem jest energia i jej rola dla cywilizacyjnego rozwoju. Tematowi poświęcił wiele książek, również tłumaczonych na polski. Właśnie nakładem wydawnictwa Insignis ukazała się synteza „Jak naprawdę działa świat. Przewodnik po naszej przeszłości, teraźniejszości i przyszłości" w przekładzie Dariusza Rossowskiego. W książce tej Smil wychodzi poza ulubione pole energii, pozostaje ona jednak w centrum uwagi.

Atom i ropa

Powód takiego przywiązania jest oczywisty – wbrew przekonaniu humanistów na początku nie było słowo, lecz energia. O tym często też zapominają ekonomiści, przekonani, że rozwój gospodarczy bierze się z takich czynników jak kapitał, praca lub innowacje. Bez dostępu do energii nie miałby kto ani pracować, ani tworzyć innowacji, więc także nie byłoby akumulacji kapitału. Jest ona potrzebna nie tylko, by trzymać przy życiu ludzi, lecz także, by zapewniać ciągły ruch materii – cementu, stali, tworzyw sztucznych i innych materiałów tworzących współczesną cywilizację.

Smil jest piewcą materialności świata w czasach, kiedy niemal wszyscy żyją wizją cyfryzacji, dematerializacji i triumfu sztucznej inteligencji, która ma wywołać nie mniejsze skutki cywilizacyjne niż rewolucja przemysłowa. Nie odrzuca tych przekonań z góry, pokazuje jednak, jak świat rzeczywiście pracuje. A współczesna cywilizacja powstała w wyniku rewolucji przemysłowej jest wielkim systemem przetwarzania energii, której ciągle zdecydowana większość, bo około 80 proc., pochodzi z paliw kopalnych.

Owszem, trwa wielki wysiłek na rzecz dekarbonizacji. Przykładem Niemcy realizujące program Energiewende. W wyniku zielonej transformacji elektroenergetyki w ciągu ostatnich dekad już ponad 50 proc. tego, co wychodzi z gniazdka elektrycznego, pochodzi z odnawialnych źródeł (OZE). Mimo to ciągle w bilansie energii

pierwotnej paliwa kopalne stanowią blisko 78 proc., a OZE zbliżają się do 20 proc.

Zmiana i tempo

Niemiecki przykład, mimo licznych krytyk związanych choćby z zamknięciem elektrowni atomowych ciągle nadających się do użytku, dowodzi, że zmiana jest możliwa. Należy jednak pamiętać, że realizuje ją najbardziej uprzemysłowione i jedno z najbardziej technologicznie zaawansowanych państw świata, dysponujące olbrzymimi zasobami kapitału, infrastruktury i technologii. Mimo to przemiana zachodzi znacznie poniżej tempa, jakie nie tylko za pożądane, ale i realne uważają autorzy wspomnianych postwęglowych wizji świata w 2050 r. Przykład niemiecki bowiem pokazuje, pisze Smil, że w 2040 r. udział paliw kopalnych w bilansie energii pierwotnej Niemiec zmniejszy się do 70 proc. Dlaczego historyk nie wierzy w możliwość przyspieszenia, jakie obserwuje się np. w elektronice?

Logiką postępu w świecie cyfrowym rządzi tzw. prawo Moore'a wynikające z obserwacji, że wydajność mikroprocesorów podwaja się co ok. 18–24 miesiące. Mniej istotne jest dokładne tempo zmiany, bardziej liczy się logika wykładniczego przyspieszenia. Ona powoduje, że dzisiejsze smartfony mają moc obliczeniową porównywalną do superkomputerów z lat 80. XX w. W efekcie możliwe było spotęgowanie rozwoju systemów AI. Te z kolei mają, jak przekonuje wielu ekspertów, doprowadzić do rewolucji naukowo-technologicznej polegającej na wzroście tempa innowacji.

Węgiel i wodór

Smil nie neguje wagi tego ostatniego procesu. Zwraca jednak uwagę, że systemy materialne nie podlegają podobnej logice. Owszem nowe maszyny zwiększają efektywność i tempo pracy ludzkiej, ale szybkość ich powstawania nie zmieniła się zasadniczo w ciągu ostatnich dekad. W przypadku najbardziej zaawansowanych, jak elektrownie atomowe, nawet spowalnia. Dlaczego? Ze względu na coraz ostrzejsze normy bezpieczeństwa. Podobnie jest z inwestycjami w nowe autostrady, kopalnie i rurociągi. Coraz trudniej je realizować ze względu na ograniczenia ekologiczne. Nawet jednak bez nich tempo niewiele się zmienia.

Autor „Jak naprawdę działa świat" przekonuje, że współczesna cywilizacja ciągle oparta jest na czterech materialnych filarach: cemencie, stali, tworzywach sztucznych i nawozach sztucznych. Możemy ich nie lubić, ale nie potrafimy bez nich żyć. W 2019 r. świat zużył 4,5 mld ton cementu, 1,8 mld ton stali, 370 mln ton plastiku, 150 mln ton amoniaku. Produkcja tych filarów cywilizacyjnych oparta jest na paliwach kopalnych, zużywa 17 proc. energii pierwotnej i odpowiada za 25 proc. emisji dwutlenku węgla.

Owszem trwają intensywne prace nad bardziej ekologiczną alternatywą. Stosowane są już technologie pozyskiwania stali, w których węgiel zastępowany jest wodorem. Jednak w tej chwili to zaledwie kilkanaście milionów ton rocznie. Ewentualna zmiana tak złożonego systemu wymaga wielu dekad, co jasno podpowiada historia wcześniejszych transformacji technologicznych (POLITYKA 7).

Struktura i kultura

Parowce zasilane węglem po raz pierwszy przepłynęły Atlantyk w 1838 r., ale na dobre zaczęły wypierać i dominować na szlakach interkontynentalnych po 1880 r. Do tego czasu napęd żaglowy skutecznie opierał się konkurencji nowej technologii. Po części wynikało to z energetycznej efektywności żaglowców – nie musiały zabierać paliwa zajmującego przestrzeń ładunkową. Niemniej ważne były uwarunkowania instytucjonalne i kulturowe powodujące, że stary system trzymał się siłą inercji.

Jeszcze ciekawsza jest historia mechanizacji rolnictwa, opisana niedawno przez tygodnik „The Economist". Mimo że pierwszy traktor pojawił się pod koniec XIX w., a od niemal początku XX stulecia producenci promowali nową technologię, w 1920 r. tylko 4 proc. gospodarstw zdecydowało się na jego zakup. Ciągle podstawowym źródłem napędu w pracach rolnych były konie – 25 mln obsługujących tylko rolnictwo USA. I potrzebujące do wykarmienia 25 proc. areału. Traktory na dobre wyparły konie dopiero w drugiej połowie XX w., mimo że ich zalety wydawały się ewidentne.

Smil podkreśla, że zmiany systemowe w złożonych systemach materialnego podtrzymywania życia całej cywilizacji muszą trwać przez dekady. Czasu wymagają zarówno dostosowanie technologiczne, budowa nowej infrastruktury, jak i normatywne oraz kulturowe, czyli wypracowanie instytucji oraz praktyk życia społecznego. Żadna z tych sfer nie da się nagiąć do tempa, jakie podpowiada prawo Moore'a.

Mięso i czipy

To właśnie dlatego w wizjach przyszłości nie należy posługiwać się fantazjami wywodzonymi z teoretycznie spójnych modeli, mających jednak niewiele wspólnego z doświadczeniem, jakie podpowiada historia i znajomość mechanizmów działania systemów złożonych. Podstawową ich cechą – Smil wraca do ulubionego wątku – jest to, że polega na transferze energii z paliw kopalnych, zwłaszcza ropy naftowej, do innych sfer życia. Nawet kalorie, jakie dziś spożywamy w jedzeniu, pochodzą w większości nie ze Słońca zasilającego proces fotosyntezy, lecz głównie z ropy naftowej.

Na wyprodukowanie kilogramowego bochenka chleba potrzeba około szklanki ropy naftowej. Wytworzenie kilograma mięsa z kurczaka to mniej więcej 350 ml ropy. Kilogram pomidorów hodowanych w słonecznej Hiszpanii to, w zależności od sezonu, od 150 do 500 ml tego surowca. Te szacunki dotyczą jedynie bezpośredniego transferu do żywności energii ukrytej w takim nośniku jak ropa. Dochodzi do tego jeszcze utrzymanie wytwarzania i dystrybucji. W Stanach Zjednoczonych produkcja żywności bezpośrednio zużywa 1 proc. energii pierwotnej. Cały system – 20 proc.

Wojna Rosji przeciw Ukrainie przypomniała, że działa on w wymiarze globalnym. Integracja rynków i łańcuchów wartości, czyli sieci produkcji i handlu, to kolejna ważna część analizy Smila. Pokazuje on, że czas najintensywniejszej integracji gospodarczej w wymiarze planetarnym mamy już za sobą. Doświadczenie pandemii, napięcia między takimi potęgami jak USA i Chiny powodują, że coraz więcej mówi się o lokalnej reindustrializacji. Faktem jednak pozostaje, że współczesna cywilizacja polega na niezwykłej koncentracji kapitału i wiedzy w kluczowych dziedzinach, jak wytwarzanie mikroprocesorów. Nawet jeśli więc fabryki czipów wrócą do USA i Europy, będą musiały korzystać z urządzeń do fotolitografii, które wytwarza (na razie) tylko jedna firma na świecie – holenderski ASML.

Trud i realizm

Smil pomaga zrozumieć, „jak naprawdę działa świat", choć oczywiście nie daje wszystkich odpowiedzi. Te, które podsuwa, na pewno nie spodobają się entuzjastom przekonanym, że rzeczywistość da się szybko naprawić. Niestety sile wyobraźni i politycznej woli, jeśli taka by się pojawiła, stać na drodze będzie najzwyklejszy opór materii wynikający z nieredukowalnej materialności świata. Cechy tej nie zmieni, potwórzmy, żadna sztuczna inteligencja ani aplikacja na smartfon. Przeciwnie, rozwój systemów AI jest wyrazem największego w dziejach uzależnienia ludzkiej cywilizacji od infrastruktury materialnej i dostępu do energii. ■

© GETTY IMAGES

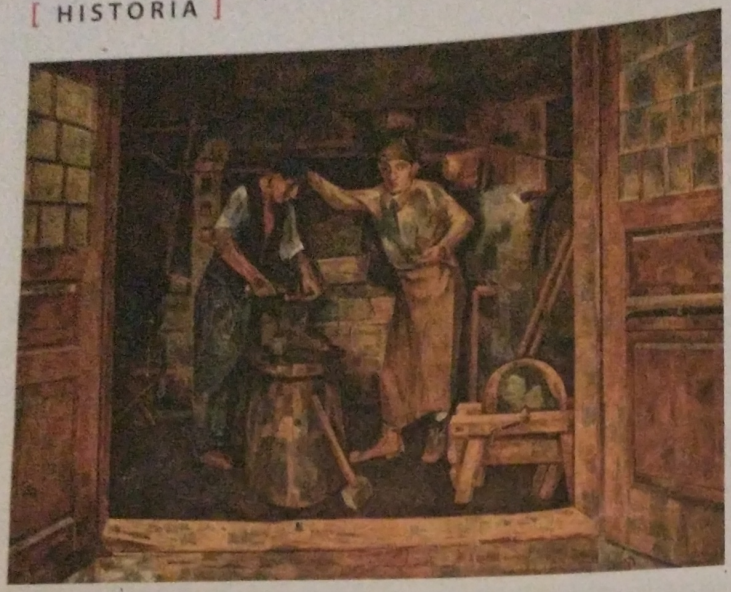

Franciszek Bartoszek i jego obraz „W kuźni" z 1937 r.

Pistolet zamiast pędzla

Lewicowi awangardowi plastycy podczas drugiej wojny rozwinęli sztukę... zabijania. Należeli do specgrupy Gwardii Ludowej, ekipy komunistycznych likwidatorów.

MICHAŁ WÓJCIK

Lena Wolińska, wkrótce gwiazda stalinowskiej prokuratury wojskowej, była przerażona. Umówiła się z Franciszkiem Bartoszkiem ps. Jacek, zastępcą komendanta specgrupy Gwardii Ludowej (GL), aby odebrać od niego sprawozdanie z akcji. Stali na warszawskim placu Wilsona, a „Jacek", jeszcze upojony adrenaliną, zamaszyście gestykulował.

– Cyk...cyk...cyk... sam jeden ich zastrzeliłem! – krzyczał.

Dzień wcześniej on i członkowie elitarnej grupy bojowej wykonali rozkaz udzielenia pomocy walczącemu gettu. 20 kwietnia 1943 r. zaatakowali stanowisko karabinu maszynowego koło ul. Bonifraterskiej. Gdy Bartoszek podchodził do niemieckich żołnierzy, drogę zatarasowali mu granatowi policjanci. Pewnie chcieli go wylegitymować. Wyciągnął pistolet i ruszył do ataku.

Na wieść o tym, że do konspiracji przystąpił poeta Krzysztof Kamil Baczyński, badacz literatury Stanisław Pigoń powiedział z żalem: „Należymy do narodu, którego losem jest strzelać do wroga brylantami".

W przypadku pierwszego składu specgrupy GL można powiedzieć, że brylantami komuniści strzelali ogniem ciągłym. Bartoszek i jego bojowcy byli bowiem przed drugą wojną światową utalentowanymi awangardowymi plastykami.

Ich formacja artystyczna w dwudziestoleciu była kalką przeniesioną z ZSRR: partia miała wspierać ludzi sztuki, a ci tworzyć dla ludu pracującego. Miało być groźnie, ale i pięknie: oni, artyści awangardy, postępowcy na czele rewolucyjnych tłumów. Jak u Słonimskiego w poemacie „Czarna wiosna" z 1918 r.: „Rzeźbiarzu, dłuto swoje rzuć!/ Będziesz burżuja w mordę kuć".

Plan stworzenia pierwszej radykalnej grupy artystycznej z polecenia partii komunistycznej pojawił się w Warszawie rok przed śmiercią Józefa Piłsudskiego. Komunistyczna Partia Polski (KPP) powierzyła to zadanie Mieczysławowi Bibrowskiemu. Aplikant w kancelarii adwokackiej Teodora Duracza, znanego obrońcy w procesach politycznych (w 1935 r. bronił Marcelego Nowotkę), miał ułatwione zadanie. Bo oprócz pracy w todze redagował czasopismo „Kwadryga" i realizował się na scenie. Kierował zespołem Teatru Eksperymentalnego, który uchodził za awangardowy do tego stopnia, że niektóre spektakle stały się głośne, zanim je wystawiono. Ponieważ z afisza skreślała je policja, recenzenci walili na próby. A potem robili szum w mediach.

Tak się stało ze sztuką „Szyny dudnią" radzieckiego dramaturga Władimira Kirszona. Za oprawę sceniczną odpowiadał Mieczysław Berman, grafik eksperymentalny, twórca popularnych fotomontaży. Wpadł na pomysł, aby za aktorami wyświetlać wielkie

Mieczysław Berman i jego propagandowy kolaż stworzony już po wojnie, w 1955 r.

zdjęcia z placów budowy. Ciężki sprzęt i półnadzy, spracowani robotnicy. Mimo że odbyło się wiele prób, a scenografia była gotowa, przedstawienie spadło. Cenzura nie zgodziła się ani na dudnienie szyn, ani na nagie torsy.

Bibrowski zagadał wtedy do Bermana, że to najlepszy czas, aby powiedzieć: dość! Musi powstać grupa artystów pewnych i gotowych do działania nie tylko w pracowniach (zresztą tych zazwyczaj nie mieli, bo nie było ich stać). Ich tworzywem miał być gniew, sceną – ulica. To władza miała się bać, a nie lud pracujący.

Czapka Frygijska

Berman rozpuścił w światku artystycznym wici. Do pierwszego spotkania ochotników doszło w klitce na Powiślu. Przyszli młodzi graficy i malarze: Witold Miller i Kazimierz Gede. Henryk Szerer i Józef Herman. Przede wszystkim jednak Berman zapamiętał Zygmunta Bobowskiego i Franciszka Bartoszka. Już wtedy byli nierozłączni, a za kilka lat, podczas okupacji, warszawiacy zapamiętają ich jako parę rewolwerowców bojowców. Będą napadać na banki, zabijać konfidentów. Przejdą do komunistycznej legendy jako ojcowie założyciele Gwardii Ludowej.

Na początku Berman wyczuł jednak opór. Okazało się, że nie była to pierwsza taka próba. Podobnych radykałów chciał zebrać w 1933 r. inny artysta, rzeźbiarz ze Lwowa o nazwisku Buch. Gdy zainteresowani malarze i graficy wyrazili akces, wszystkich zgarnęła policja. Czy była to prowokacja, czy Buch nie miał pojęcia o konspiracji – dość, że artyści byli odtąd nieufni. Najbardziej Gede. Wkrótce zamieni farby i pędzle na karabin i granaty – pojedzie do Hiszpanii. Będzie walczył z faszyzmem generała Franco. Zginie w 1937 r.

Propozycja Bermana chwyciła, bo na przymierających głodem artystów pozytywnie wpłynęła propozycja finansowa. Partia zadeklarowała, że odtąd będzie opłacać wspólną pracownię i dorzuci się do materiałów plastycznych. Artyści dostali także partyjnego komisarza – Dawida Hopensztanda, który w prasie występował jako Jerzy Keler albo „Hop". Ten krytyk i publicysta miał kolosalny wpływ na środowisko sztuki. Gdy w 1935 r. w Poznaniu odbył się krajowy zjazd polonistów, a wystąpienie Hopensztanda zakłóciła antysemicka grupa narodowców, wezwał do bojkotu imprezy. Opuściła ją delegacja warszawska, akcję wsparli poloniści wileńscy, zjazd zakończył się klapą.

W połowie 1936 r. malarze i graficy byli już zwartym kolektywem. Czapka Frygijska – bo taką nazwę przyjęli – nie zawiodła towarzyszy. Skąd nazwa? Frygia to starożytna kraina w Azji Mniejszej. W okresie rzymskim charakterystyczną czapkę z tamtych stron dostawał niewolnik, kiedy stawał się wyzwoleńcem. Czapka frygijska była zatem symbolem wolności.

Artyści wypowiedzieli wojnę przede wszystkim mieszczańskiej publice. Dosyć landszaftów i Fałatów. Koniec pejzaży i Grottgerów. Za nic mieli Kossaki, martwe natury i górskie widoczki. Tematem ich prac były bezrobocie, strajki i bieda. W tle dymiące kominy, na pierwszym planie bici i głodzeni. Kompozycje zdominowały dwa kolory: czerń bruku i czerwień sztandarów. Grupa nazwała swój styl realizmem proletariackim.

Po wojnie ten styl stanie się doktryną. Zdominuje całą polską twórczość jako socrealizm.

Skandaliczne prace

Tytuły pierwszych prac Czapki Frygijskiej mówiły same za siebie. Miller na pierwszej – zamkniętej jeszcze wystawie – pokazał rysunki „Przed kuchnią dla bezrobotnych" i „Bezdomne dzieci" – biedaków tulących się do siebie w rynsztoku. Bartoszek wystawił grafikę „Wisielec". Krajewski rysunek „Strajk" oraz jeden z wariantów swego ulubionego tematu „Za garść kartofli". Jedyna kobieta w tym gronie, Helena Malarewiczówna, mogła uchodzić za artystkę religijną. Jej „Głód" to robotnica w chuście, z obnażoną piersią, tuląca chore dziecko. Madonna proletariatu.

W maju 1936 r. Czapka Frygijska była już gotowa zaistnieć oficjalnie. Wystawa w gospodzie WSM na Żoliborzu z miejsca podbiła młodą publiczność. Bobowski pokazał nowy cykl „Szosa", przedstawiający pracujących brukarzy, Szerer akwarele „Piaskarze" i „Praczki", Berman fotomontaże, „portrety satyryczne hersztów międzynarodowego faszyzmu" – jak napisał po latach.

W ciągu trzech tygodni wystawę obejrzało kilka tysięcy ludzi. Reakcja władz była łatwa do przewidzenia. Bobowski, Szerer i Berman zostali aresztowani. Dwaj pierwsi siedzieli bez wyroku kilka miesięcy. ▶

© MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, AN (2), EAST NEWS

▶ W tym czasie przez Polskę przetoczyła się fala strajków i manifestacji. W Warszawie na ulicę wyszło ponad 300 tys. osób, we Lwowie w starciach z policją zginęło niemal 50 robotników. Tu ziściło się marzenie twórców: nad rozognionym tłumem wznosiła się wielka pięść – transparent namalowany przez Bartoszka.

Zmienił się rząd. Nowy premier generał Felicjan Sławoj-Składkowski w ciągu kilku miesięcy przeprowadził istny pogrom prasy lewicowej, zamknął kilkanaście tytułów. Więzienia wypełniły się nie tylko artystami i dziennikarzami, za kraty trafili również politycy.

Artyści Czapki Frygijskiej dobrze odnajdowali się w tej atmosferze, jak ryby w wodzie. Organizowali zebrania i dyskusje, pisali petycje. Ale przede wszystkim tworzyli. Na początku 1937 r. zorganizowali kolejną wystawę, tym razem w konserwatywnym Krakowie. Do ekipy dołączyli satyryk Franciszek Parecki i genialny malarz Bronisław Linke. Władze odczuły to jak policzek. Przecież Linke i Witkacy jako rządowi stypendyści skończyli właśnie twórcze tournée po śląskich fabrykach. W swoich pracach mieli pokazać sukces i odbudowę. Zawiedli.

Linke wystawił klasyczną dziś „Maszynkę do mielenia mięsa". Na rysunku drapieżna łapa wtłacza do maszynki zbitą kupę przerażonych żołnierskich głów. Po ich zmieleniu sypią się monety.

Wystawa zakończyła się skandalem. Mainstreamowi recenzenci pisali o „destrukcyjnym nihilizmie" i „negacji wszelkich zdobyczy kultury". Dziennikarz „Naszego Wyrazu" złorzeczył „pornografii społecznej". Czapka Frygijska była zmuszona zakończyć działalność w 1937 r. Weszła jednak do historii polskiej sztuki.

Początek sztuki krwi

Dla większości Polaków świat, jaki znali, zawalił się 1 września 1939 r. Ale dla prawdziwych komunistów kataklizm zaczął się rok wcześniej. 16 sierpnia 1938 r. Stalin rozwiązał Komunistyczną Partię Polski. Młody polski komunista Abraham Rotfarb zapisał w pamiętniku: „wszystko licho wzięło – komórkę, współżycie… wszystko".

Trzy lata później Moskwa wydała rozkaz o stworzeniu Polskiej Partii Robotniczej. Jedną z kluczowych decyzji Komitetu Centralnego było powołanie GL, a w szczególności specgrupy im. Ludwika Waryńskiego, grupy eksowo-terrorystycznej (eksowa od ekspropriacji, wywłaszczania), która miała zadbać o bezpieczeństwo i dobrostan politbiura. Szefem pięcioosobowej ekipy cyngli został przyjaciel Władysława Gomułki Jan Strzeszewski, postać szczególna, bo w przeszłości szwoleżer od Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego, a od połowy lat 30. zagorzały komunista i, co ważne, zawsze przy pieniądzach. Dzięki temu nawet na początku okupacji sponsorował środowisko lewicowych artystów (sam był z wykształcenia architektem) i gdy przyszedł odpowiedni rozkaz, wiedział, gdzie szukać kandydatów do mokrej roboty.

Z Franciszkiem Bartoszkiem znali się od lat. Zdolny malarz, pracownik Muzeum Narodowego, wielokrotny stypendysta w Paryżu i Wenecji nadal tworzył dla partii. Zaprojektował np. karty obligacji „Daru narodowego" – które komuniści rozprowadzali po fabrykach w celu pozyskania środków na działalność w 1942 r. Jak ten wrażliwy twórca znalazł w sobie energię i wolę do zabijania z zimną krwią? Tu należy docenić fenomen tradycji polskiej konspiracji. Wiele wskazuje na to, że zabójcze know-how przekazała mu przed wojną słynna Wanda Krahelska, pierwsza dama polskiego terroru. To ona na rozkaz Piłsudskiego wykonała w 1906 r. słynny zamach bombowy na generała-gubernatora Gieorgija Skałona. Generała nie zabiła, ale zyskała światową sławę, pod wrażeniem był nawet Włodzimierz Lenin. Krahelska w 1939 r. zatrudniła Bartoszka w swoim czasopiśmie „Arkady" i oprócz dyskusji o sztuce sporo rozmawiali o bardziej radykalnych środkach.

Do specgrupy Strzeszewski włączył znanego grafika Zygmunta Bobowskiego, również z Czapki Frygijskiej, oraz Ładysława Buczyńskiego, Jerzego Duracza (syna znanego mecenasa) i córkę przedwojennego łódzkiego milionera, niedoszłą panią historyk Rywkę Tajtelbaum. Przyjęli pseudonimy i ruszyli do boju.

Kilkanaście, może nawet więcej napadów na banki, kasy oszczędności i jubilerów, zamachy na konfidentów i zdrajców – specgrupa szybko zyskała legendę ekipy nieustraszonych artystów zabójców. Miało to swoją cenę. Tak radykalna działalność w warunkach okupacji była drogą do zatracenia. O powolnym spalaniu się, spadaniu w przepaść, o depresji członków ekipy piszą historycy Gwardii Ludowej.

W szał zabijania chyba najgłębiej wpadł Franciszek Bartoszek. Zabijał z zimną krwią (jego ofiarą był m.in. komendant policji granatowej płk Aleksander Reszczyński), ale co się z nim działo „po godzinach", wiedziała tylko jego żona Hedda. Po wojnie ujawniła, że cierpiał i przestał malować. Zwinął stare obrazy w rulony, pochował farby i palety. Przyjaciołom powiedział, że sztuka się skończyła, że teraz jego tworzywo to broń i granaty, farbą jest krew. Jego przyjaciel Tadeusz Bobowski podobno znajdował jeszcze czas na szkicowanie. W pewnym momencie zaniechał i tego. W przypływie szczerości wyznał: „Już nie umiem".

Kochać znaczy nienawidzić

Mimo że Czapka Frygijska formalnie przestała działać przed wojną, jej prawdziwy koniec to skok na Bank Społem w maju 1943 r. Ekipie w gęstej palbie z pistoletów udało się wynieść z banku zdobycz, ale na Krakowskim Przedmieściu zaatakowali ją niemieccy żandarmi. Według świadków Bartoszek działał jak w transie. Nie uciekał. Z angielską flegmą szedł i po kolei eliminował żołnierzy. Po każdej salwie ktoś padał na ulicę.

W pewnym momencie ranny został Zygmunt Bobowski. Bartoszek podbiegł do niego, próbował unieść, ale nie uszli daleko. Z naprzeciwka już nadbiegał jakiś niemiecki lotnik. Strzelił Bartoszkowi w pierś, zabił na miejscu.

Po wojnie historia i legenda specgrupy stała się konkurencją dla „Kamieni na szaniec". Zamiast kolejnych książek o „Rudym" i „Zośce" powstawały powieści i reportaże o towarzyszach-bojowcach „Jacku", „Tadku" i „Wandzie". W 1946 r. Stanisława Sowińska opublikowała powieść „Lata walki", oficjalny zapis mitu.

Historyczka Karolina Glińska w 1947 r. wydała biografię Rywki Tajtelbaum. Proces przemiany humanistki w maszynę do zabijania opisała krótko: „Dopiero na jej przykładzie zrozumiałam, ile prawdy zawiera zdanie »serca, umiejące najgoręcej kochać – najsilniej też nienawidzą«".

Izolda Kowalska-Kiryluk, ps. Krysia, w tomie wspomnień gwardzistów napisała o swoim mężu Bolesławie Kowalskim „Janku" i o Franciszku Bartoszku. Pewnego dnia była świadkiem, jak obaj – w mundurach oficerów SS – wrócili z jakiejś akcji. Właśnie zabili urzędnika. „Jacek" siedział za stołem i długo oglądał swoje dłonie. Dłonie malarza, który już nigdy nie weźmie pędzla do ręki, nie stworzy żadnego dzieła sztuki.

MICHAŁ WÓJCIK

Korzystałem z opracowania Mieczysława Bermana „Czapka Frygijska" – w pracy zbiorowej „Księga wspomnień 1919–1939" oraz niepublikowanej monografii Stanisława Zbigniewa Gołębiowskiego „Franciszek Bartoszek – artysta malarz i dowódca Specjalnego Oddziału Gwardii Ludowej im. Ludwika Waryńskiego w Warszawie" z 1984 r.

W maju ukaże się książka Michała Wójcika „Rywka. Śmierć ze złotym warkoczem", która opisuje dzieje i legendę specgrupy im. Ludwika Waryńskiego.

Be

Czesław Kul
Poniżej: prze

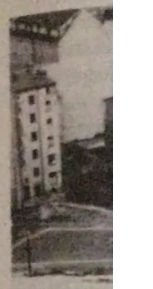

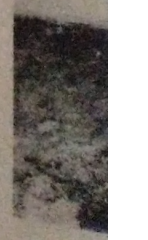

© IPN, ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Bez przedawnienia

Pół wieku temu uciekinier z Polski zginął od strzału w plecy na przejściu granicznym w Berlinie. W stolicy Niemiec trwa właśnie proces domniemanego mordercy.

FILIP GAŃCZAK

Czesław Kukuczka zastrzelony przez funkcjonariusza Stasi. Poniżej: przejście graniczne na Friedrichstrasse w centrum podzielonego Berlina.

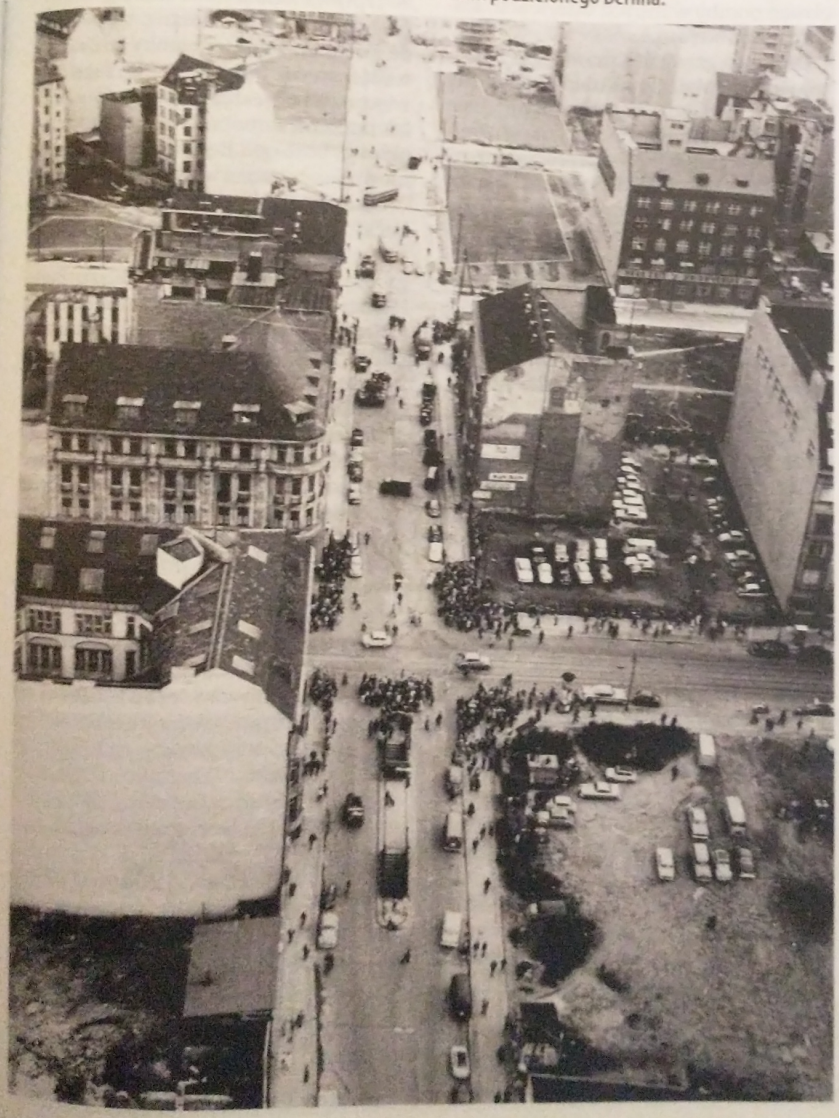

Erhard T. dobrze zapamiętał ten piątkowy dzień: 29 marca 1974 r. Miał wtedy 39 lat i był kierowcą ciężarówki w osławionym Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego NRD, lepiej znanym jako Stasi. Zazwyczaj pracował przy przeprowadzkach albo woził materiały na plac budowy. Jednak tym razem przełożony wręczył mu kluczyki do sanitarki i kazał jechać na dworzec Friedrichstrasse – przejście graniczne w centrum podzielonego murem Berlina. Tam Erhard T. odebrał ciężko rannego mężczyznę i przetransportował go do dzielnicy Hohenschönhausen, do lecznicy przy centralnym areszcie śledczym Stasi. „W czasie jazdy jęczał" – zeznał pół wieku później o swoim pasażerze.

Erhard T. jest jednym ze świadków w głośnym procesie, który od 14 marca tego roku toczy się przed Sądem Krajowym w Berlinie. Na ławie oskarżonych, odgrodzony od publiczności szklaną szybą, siedzi 80-letni Martin Manfred N., inny były funkcjonariusz Stasi. Prokuratura zarzuca mu podstępne morderstwo, którego ofiarą padł Polak Czesław Kukuczka. Ten sam, którego Erhard T. wiózł sanitarką enerdowskiej marki Barkas.

Do dziś nie jest jasne, co 38-letni Kukuczka robił w ostatnich dniach życia. Wiadomo, że 3 marca 1974 r. nie stawił się w pracy – służył wtedy jako podoficer w Miejskiej Komendzie Straży Pożarnych w Bielsku-Białej. Można przyjąć, że w Katowicach wsiadł w pociąg do Berlina wschodniego (w chwili śmierci miał przy sobie taki właśnie bilet kolejowy), na miejscu zaś skierował się pod adres (znajomego?), który miał w notatkach. Prawie miesiąc po zniknięciu, wczesnym popołudniem 29 marca, zgłosił się do Ambasady PRL w Berlinie wschodnim.

To czas rządów pierwszych sekretarzy Edwarda Gierka i Ericha Honeckera – z socjalistycznej Polski do „bratniej" Niemieckiej Republiki Demokratycznej można było podróżować bez paszportu. Ale Kukuczka chciał się dostać dalej – na Zachód, do Stanów Zjednoczonych, gdzie – jak twierdził – miał dwie ciotki. W książce „Kraj bez wyjścia?" prof. Dariusz Stola podaje, że w roku 1974 z PRL do USA legalnie wyemigrowało „na pobyt stały" 2450 osób. Powodów odmowy wydania paszportu mogło być wiele. – *Wcześniejsza nielegalna emigracja członka rodziny, przyłapanie na „handlu turystycznym", wyrok w zawieszeniu, zaległości podatkowe lub alimentacyjne itp.* – wylicza przykłady Stola.

Kukuczka próbował wymusić zgodę władz na wyjazd i w ambasadzie ▶

© IPNC, ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

Zdjęcie z procesu w Berlinie. Oskarżony o morderstwo Martin Manfred N. zasłania twarz i nie przyznaje się do winy.

▶ postawił jasne ultimatum: do 15.00 ma się znaleźć w Berlinie Zachodnim. Twierdził, że w teczce ma bombę i groził jej zdetonowaniem, jeśli jego żądanie nie zostanie spełnione. Powiedział też, że w takim przypadku jego współpracownicy zdetonują trzy inne budynki w mieście.

Negocjacje z Kukuczką prowadzili dwaj urzędujący w ambasadzie oficerowie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL. Mężczyzna z teczką był wobec nich nieufny, często spoglądał na zegarek i nie chciał pić kawy, którą go poczęstowali. „Próbowaliśmy go uspokoić" – zaraportuje później płk Maksymilian Karnowski. Zapewnił on Kukuczkę, że ultimatum zostanie spełnione i musi tylko zlecić wystawienie dokumentu niezbędnego do przekroczenia granicy. Gdy pod takim pozorem opuścił pokój, poinformował o sprawie Stasi.

Niemiecki resort bezpieczeństwa nie przypadkiem miał opinię bezwzględnego. Wiceminister Bruno Beater błyskawicznie postanowił, że Kukuczkę należy „unieszkodliwić". Karnowski nie miał nic przeciwko takiemu scenariuszowi. Na pożegnanie dał rodakowi kilka marek zachodnioniemieckich. Około 14.40 Kukuczka wsiadł do samochodu podpułkownika Stasi Hansa Sabatha. Do przejścia granicznego mieli mniej niż kilometr.

Na dworcu Friedrichstrasse Polak skorzystał jeszcze z toalety. Gdy z niej wyszedł, jego teczka była zauważalnie lżejsza. Być może pozbył się już pokrywy hydrantu, która zostanie później sfotografowana razem z jego rzeczami osobistymi. To ona udawała bombę. Prawdziwego ładunku wybuchowego w teczce nie było. Wszystko wskazuje na to, że w sprawie swoich rzekomych współpracowników, gotowych zdetonować bomby w innych miejscach, Kukuczka też blefował.

Odprawa graniczna przebiegła zadziwiająco szybko. Gdy Kukuczka był już niemal u celu, od tyłu podszedł do niego ubrany po cywilnemu mężczyzna w ciemnym płaszczu i okularach przeciwsłonecznych. Z bliskiej odległości strzelił Polakowi w plecy. Ciężko ranny Kukuczka został odwieziony nie do Charité – pobliskiego szpitala klinicznego o światowej renomie – lecz do Hohenschönhausen, oddalonego o prawie 10 km. W samochodzie, który prowadził Erhard T., nie było nawet sanitariusza. Wczesnym wieczorem tego samego dnia Polak umarł w szpitalu więziennym.

Jeden z oficerów Stasi zameldował, że Kukuczkę udało się unieszkodliwić „bez szczególnego poruszenia" ze strony innych podróżujących. A jednak naocznymi świadkami strzału były trzy nastoletnie uczennice z Republiki Federalnej Niemiec, które wracały akurat ze szkolnej wycieczki do Berlina. Ich nauczyciel, który był nieco dalej, ale też słyszał strzał, był zdeterminowany, by sprawa ujrzała światło dzienne, i po powrocie do RFN zaprosił dziennikarza bulwarówki „Bild". Po czterech dniach w wysokonakładowej gazecie ukazał się krótki artykuł o tajemniczym zamachu przy murze berlińskim. Dwie uczennice zostały nawet przesłuchane przez zachodnioniemiecką policję kryminalną. Rzecz jasna nie znały jednak tożsamości sprawcy ani ofiary. W warunkach zimnej wojny nic więcej po stronie RFN nie dało się ustalić.

Stasi ani myślała upubliczniać sprawy. Publikacja „Bilda" chyba jednak wprowadziła w resorcie pewną nerwowość, bo nasiliło się mataczenie. 4 kwietnia powstał raport „o udaremnieniu zamachu terrorystycznego". Czytamy w nim, że na przejściu granicznym Kukuczka spostrzegł dwóch funkcjonariuszy, nagle wyciągnął z kieszeni płaszcza pistolet i wycelował w jednego z nich, a wówczas drugi pogranicznik strzelił w obronie kolegi. Taka wersja stoi w jawnej sprzeczności z wcześniejszymi sprawozdaniami, w których o rzekomej broni Kukuczki nie ma ani słowa. Kłóci się też z wynikami sekcji zwłok – uznani lekarze z Uniwersytetu Humboldtów wyraźnie wskazali, że przyczyną śmierci był strzał w plecy. Zapewne dlatego, choć oficjalnie była mowa o względach sanitarnych, ciało zostało wkrótce skremowane.

Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Warszawie nie miało wątpliwości, że „sprawa winna mieć charakter tajny". Chodziło w dużej mierze o to, by metoda Kukuczki z atrapą bomby nie znalazła naśladowców. Dyplomaci PRL sugerowali więc przyjęcie jeszcze innej wersji – że Polak popełnił samobójstwo, a ciało znaleziono w lesie pod Berlinem. Na to jednak nie przystała strona wschodnioniemiecka.

Ostatecznie dopiero 22 maja żona Kukuczki i 18-letnia córka – jedyna wtedy pełnoletnia z trojga dzieci – zostały ściągnięte do prokuratury w Bielsku-Białej i tam poinformowane „o zgonie ich męża i ojca". Dwa dni później wdowa otrzymała rzeczy osobiste i urnę z prochami zmarłego. „Pochowaliśmy go w puszce" – powie mi po latach Wiesław Kukuczka, starszy syn Czesława. Skromny kościelny pogrzeb odbył się w Kamienicy w powiecie limanowskim. Miejscowy prokurator z satysfakcją meldował, że „nie stwierdzono (...) żadnych wydarzeń o charakterze demonstracyjnym".

Prokuratura Powiatowa w Bielsku-Białej prowadziła w tym czasie postępowanie przygotowawcze w sprawie śmierci Czesława Kukuczki. Nie chodziło bynajmniej o wykrycie sprawców, lecz o ustalenie, czy 38-latek miał pozwolenie na broń, czy starał się o wyjazd za granicę, jakie były jego stosunki rodzinne i stan zdrowia. Postępowanie szybko zostało umorzone i na długie lata zapadła w tej sprawie cisza.

Upadek muru berlińskiego (1989 r.), zjednoczenie Niemiec oraz stopniowe otwarcie archiwów dawnych państw bloku wschodniego stworzyły warunki do rozliczenia enerdowskiego reżimu. Na początku lat 90. ruszyły pierwsze procesy strażników granicznych, którzy strzelali do uciekinierów z NRD. Na ławę oskarżonych zostali też doprowadzeni

© SEBASTIAN GOLLNOW/DPA/PAP

niektórzy przedstawiciele komunistycznych władz wschodnioniemieckich.

Sprawa Kukuczki długo jednak nie trafiała na wokandę. Dopiero w 1999 r. niemieccy śledczy natrafili na protokół sekcji zwłok, w którym pojawia się jego nazwisko. Słusznie połączyli to ze sprawą postrzelonego mężczyzny, o którym w 1974 r. mówiły uczennice z RFN. Prokuratura w Berlinie doszła jednak do wniosku, że nie da się jednoznacznie zidentyfikować sprawcy, i w grudniu 2005 r. umorzyła śledztwo.

Pierwszy przełom zawdzięczamy niezwykłej akcji podjętej w Urzędzie ds. Akt Stasi – zrekonstruowano dokumenty bezpieki, których na przełomie 1989 i 1990 r. funkcjonariusze upadającego reżimu nie zdążyli w pełni zniszczyć, ale które – ręcznie porwane – czekały już na wywiezienie w 16 tys. worków. Kawałki papieru są do dziś składane niczym puzzle. Tak oto w roku 2013 udało się odtworzyć zawartość teczki z materiałami w sprawie Kukuczki: akt zgonu, raporty Stasi, a nawet przetłumaczone na niemiecki sprawozdanie wspomnianego płk. Karnowskiego.

Odkrycie upublicznił w 2016 r. prof. Stefan Appelius, politolog z uniwersytetu w Oldenburgu. Wraz z niemieckim historykiem i publicystą, dr. Hansem-Hermannem Hertlem, autorem wielu publikacji o historii muru berlińskiego, postanowiliśmy wtedy zgłębić temat. Odwiedziliśmy archiwa w Niemczech i Polsce – krok po kroku odkrywaliśmy kolejne okoliczności sprawy Kukuczki. Wciąż jednak brakowało kluczowego puzzla – odpowiedzi na pytanie, który z funkcjonariuszy Stasi pociągnął za spust na przejściu Friedrichstrasse.

Dziś wiemy, że rozwiązanie kryje się w aktach Martina Manfreda N., odznaczonego w 1974 r. za zapobieżenie rzekomemu atakowi terrorystycznemu. „Towarzysz porucznik N. wypełnił to zadanie rozważnie, odważnie i zdecydowanie i zdołał unieszkodliwić terrorystę, używając broni palnej" – zapisano w uzasadnieniu cytowanym niedawno przez „Berliner Zeitung".

Dokument ten odegrał fundamentalną rolę w śledztwie prokuratury IPN, wszczętym w 2018 r. w sprawie okoliczności śmierci Kukuczki. Prowadzący je prok. Artur Orłowski doprowadził do tego, że w lipcu 2021 r. Sąd Okręgowy w Poznaniu wydał europejski nakaz aresztowania Martina Manfreda N. Strona niemiecka odmówiła wydania go Polsce, ale prokuratura w Berlinie raz jeszcze dokładnie przyjrzała się sprawie. Tym razem doszła do wniosku, że można postawić N. zarzut morderstwa, ono zaś – inaczej niż zabójstwo – nie przedawnia się w Niemczech.

Aby można mówić o morderstwie, musi zostać spełniona co najmniej jedna z przesłanek wymienionych w Kodeksie karnym. W tym przypadku prokuratura stara się udowodnić, że Kukuczka został zastrzelony podstępnie – że po przejściu kontroli granicznej nie spodziewał się zagrożenia i nie mógł się bronić. Zeznania byłych uczennic z RFN sugerują, że tak właśnie było.

Przesłuchania naocznych świadków to dotychczas najbardziej emocjonujące momenty procesu. Martina S., dziś 65-letnia pedagog socjalna, mówi, że scena, którą jako nastolatka widziała 29 marca 1974 r., była „surrealistyczna", „jak w kiepskim filmie". Przeżycie okazało się tak silne, że S. jeszcze przez długi czas nie chciała oglądać kryminałów i czuła strach, gdy ktoś podchodził do niej od tyłu. Słowo „strach" odmieniają też przez wszystkie przypadki jej ówczesne koleżanki Hanna H. i Petra F. Wspomnienie o tym, co stało się pół wieku temu, jeszcze dziś budzi w nich silne emocje.

Wyprana z emocji wydaje się za to twarz oskarżonego. N. starannie ją zakrywa, gdy na salę sądową wkraczają kamerzyści i fotoreporterzy. Później jednak przysłuchuje się rozprawie z zadziwiającym spokojem i czasem tylko coś notuje. Do winy się nie przyznaje, ale nie chce składać wyjaśnień. Odpowiada z wolnej stopy i sprawia wrażenie, jakby mocno wierzył w uniewinnienie.

Bliskich Czesława Kukuczki nie ma w sądzie. Jego siostra i troje dzieci występują jednak w procesie w roli oskarżycieli posiłkowych i są reprezentowani przez prawników. W mediach od kilku lat nikt z rodziny nie zabiera głosu.

Tym ważniejsza dla pełnego wyjaśnienia tego, co stało się 29 marca 1974 r., będzie dokumentacja sprzed pół wieku. Sąd w Berlinie zlecił archiwistom sprawdzenie akt jedenastu innych funkcjonariuszy Stasi odznaczonych wraz z N. (na liście jest m.in. Erhard T.). Czasu jest niedużo. Ogłoszenie wyroku wstępnie zaplanowano na 23 maja.

FILIP GAŃCZAK

Autor jest doktorem nauk politycznych, pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej i autorem kilku książek o historii NRD. W latach 2016–17 opublikował z dr. Hansem-Hermannem Hertlem serię artykułów o okolicznościach śmierci Czesława Kukuczki.

Więcej o tych czasach przeczytasz w Pomocniku Historycznym POLITYKI „ZIMNA WOJNA".

KUP TERAZ

REKLAMA

O Kancie na okrągło

Mamy rok Immanuela Kanta – 300-lecie jego urodzin i 220-lecie śmierci. Czy filozof z Królewca może paść ofiarą cancel culture?

ADAM KRZEMIŃSKI

Ostatnie słowa królewieckiego filozofa „to dobre" są równie niejasne jak Goethego „więcej światła". Może umierającemu smakował ostatni łyk rozcieńczonego wina, a może miał już wszystkiego serdecznie dosyć. Przez dziesięciolecia zachodził w głowę: Co mogę wiedzieć? Jak powinienem postąpić? Na co mogę mieć nadzieję? Czym jest człowiek? Czym oświecenie? I nie znajdował jasnych, ostatecznych odpowiedzi.

Minął czas obowiązujących dogmatów i prawd objawionych. Władza poznawcza człowieka okazała się irytująco omylna, a poczucie szczęścia – ulotne. Człowiek jest z koślawego drewna, więc nie da się z niego wyciosać nic prostego. Ma wprawdzie wolną wolę, ale jest uwikłana w dziejowy chaos, bez celu i porządku, pełen szaleństw, przymusu i niszczycielskich energii. Kant nie był ani naiwnym oświeceniowcem, ani ślepym entuzjastą postępu. Choć w rewolucji francuskiej 1789 r. upatrywał urzeczywistnienia swoich przemyśleń. Na wieść o zdobyciu Bastylii rzucił się do Biblii, choć w swych pismach twierdził, że niepodobna dowieść istnienia Boga. Ale wykazywał też, że nie da się dowieść jego nieistnienia.

Pruska szkoła nade mną

Urodził się w Królewcu 22 kwietnia 1724 r., tam też zmarł 12 lutego 1804 r. Dzieciństwo miał spokojne, choć krótkie. Ojciec był rymarzem i wpoił synowi punktualność i pracowitość. Matka była pogodna i pobożna. Miał 13 lat, gdy zmarła przy piątym czy szóstym porodzie. Ojca stracił w wieku 22 lat. Zanotował: „Wyznaczyłem sobie ścieżkę, którą chcę podążać. Nic nie stanie mi na przeszkodzie". Jeden z biografów uznał to za prywatną deklarację niepodległości, dowód własnego ego, które uczyniło zeń mędrca.

Krążą dowcipy o starym kawalerze, który nie był zainteresowany seksem („ruchy niegodne filozofa"), choć filozofował o *commercium sexuale*, wzajemnym korzystaniu z narządów płciowych „dla przyjemności". Krzyk noworodka miał być przejawem niezadowolenia osoby ludzkiej z tego, że bez własnej zgody została powołana do życia. Zatem i biblijne wypędzenie Adama i Ewy z raju interpretował nie jako karę, lecz wyzwolenie „z łona natury" i przejście do królestwa wolności, jakkolwiek na razie bezwolne. Stąd prawny obowiązek rodziców. Muszą uporać się z konsekwencjami

Pomnik Immanuela Kanta w Królewcu.

© SHUTTERSTOCK, AKG/EAST NEWS

nnik Immanuela
nta w Królewcu.

swej chwilowej przyjemności i realizować prawo dziecka do opieki, za co otrzymują emocjonalną rekompensatę. Jednak z wychowywaniem łączy się sprzeczność: Jak przymusem rozwijać wolność? „Należy przyzwyczajać ucznia do tolerowania ograniczeń jego wolności, a jednocześnie zachęcać go do dobrego korzystania z wolności".

Miał szczęście, do końca życia ciepło wspominał proste rodzicielskie wychowanie, choć ponoć z siostrą również mieszkającą w Królewcu nie widywał się przez dziesięciolecia. Nie był niesforny. Wcześnie nauczył się trzymać w karbach wrodzoną pasję wolności. Matka – pietystka – zdążyła mu zaszczepić podziw dla bezkresu natury i wrażliwość na „niebo gwiaździste nade mną". A ojciec rymarz – wpoić wewnętrzną dyscyplinę, „prawo moralne we mnie".

Pruska szkoła sprasowałaby bystrego, ale wątłego chłopca, gdyby pedagogicznie utalentowany królewski kaznodzieja nie ściągnął ośmiolatka do Collegium Fridericianum. Chłopiec wprawdzie czuł się zniewolony, bo nauczyciele nie potrafili w nim rozpalić tych iskier filozofii i matematyki, jakie się w nim żarzyły. Przez osiem lat od siódmej rano do czwartej po południu, sześć dni w tygodniu i bez wakacji uczono tam katechizmu jako podstawy zbawienia, każąc wkuwać biblijne sentencje. Nie było fizyki i chemii. Historia i geografia – śladowo. Solidnie natomiast uczono łaciny i tekstów klasycznych, greki i hebrajskiego. Ponadto szkoła miała na dachu własne obserwatorium.

Emil Doerstling, „Kant przy stole z przyjaciółmi", obraz z 1892 r.
Nie był nudnym profesorem, lecz duszą towarzystwa.

Miał 16 lat, gdy uwolnił się od tego kieratu, wstąpił na miejscowy uniwersytet i wyprowadził się od ojca. Nie starał się o stypendium. Mieszkał kątem u znajomego, utrzymywał się z korepetycji i gry w bilard. Nie bardzo wiadomo, na co się immatrykulował. Nie było go na listach wydziałów teologii, medycyny, prawa. A wstęp na nieprzydatną dla państwa filozofię był ograniczony królewskim dekretem. Być może studiował teologię, ale nie chciał zostać kaznodzieją. Interesowały go matematyka, filozofia, łacina, a także fizyka, i miał szczęście, że poznał zaledwie 11 lat starszego od siebie profesora logiki i metafizyki. To Martin Knutzen umożliwił mu głębsze wejrzenie „w niebo gwiaździste".

Jak oświecić Lampego

Podobno geniusz w Kancie obudził się za sprawą komety, którą w styczniu 1745 r. oglądał przez teleskop, i sporu Newtona z Leibnizem z 1715 r. wokół matematycznej filozofii przyrody (kwestią tą zainteresował go Knutzen). Matematyka pozwalała zrozumieć sztywne reguły czystego rozumu, nasuwając pytanie: a co z istnieniem Boga i duszy, jeśli cały kosmos można wyjaśniać według ścisłych zasad nauk matematycznych? W 1746 r. Kant przedłożył uniwersyteckiej cenzurze omówienie tego sporu, uzupełniając je o własną podróż przez „labirynt" metafizycznej filozofii przyrody. Te pierwociny nie znalazły uznania. ▶

REKLAMA

Nagrody Historyczne POLITYKI 65 lat

Nominacje do Nagród Historycznych POLITYKI 2024 za 2023:

24 kwietnia
źródła,
debiuty

8 maja
prace naukowe,
popularnonaukowe,
pamiętniki

Mecenasi Nagród Historycznych POLITYKI

Dantex

zaks
sprzyjamy wyobraźni

ABUR
Systemy automatyki

▶Po studiach przez kilka lat utrzymywał się jako prowincjonalny nauczyciel domowy, m.in. w Morągu, bywał także w Braniewie – po polskiej stronie pruskiej granicy. Przy czym polski charakter zrobił na nim nieszczególne wrażenie: „Polacy i Rosjanie wydają się odporni na jakąkolwiek prawdziwą cywilizację. Oba ludy mają słowiańskie korzenie. Polska pragnie wolności bez silnej władzy, które to pragnienie jest przecież niedorzeczne. Polska jest krajem samochwałów, a Rosja krajem nikczemności" – pisał po latach. Dziś w Niemczech toczy się ciekawy spór, na ile Kant przy całej swej uniwersalnej etyce „obywatelstwa świata" był rasistą w swych czerwono- i czarnoskórych stereotypach…

Profesorem Albertyny został w 1755 r. – gdy trzęsienie ziemi w Lizbonie zachwiało w Europie wiarą w metafizyczną harmonię natury. Przedtem złożył po łacinie dwa doktoraty i z coraz większą pewnością siebie publikował najpierw w „Królewieckich tygodniowych wiadomościach z pytaniami i ogłoszeniami", a potem także w prasie berlińskiej. Wówczas był jeszcze dość dowcipnym stylistą. Zajmował się „teorią nieba" z pogranicza matematyki i metafizyki, także – choć sceptycznie – wędrówką dusz, marzeniami sennymi, życiem na innych planetach. Dziś wskazuje się na te prace w związku z Freudem, UFO, a nawet antropocenem. Jednak przez ćwierć wieku Kant był raczej lokalną wielkością, profesorem – według jego biografów – drugiego rzutu.

Jego supernowa wybuchła tuż przed rewolucją francuską. W 1781 r. wyszła w Rydze „Krytyka czystego rozumu". Słabo się sprzedawała. Przyjaciele narzekali, że niezrozumiałe. Nawet Moses Mendelssohn i Johann Hamann kręcili głowami na mroczny styl. Jednak bardziej przejrzyste recenzje zelektryzowały kluczowymi kwestiami. Czym jest jaźń w swej duchowej tożsamości? Czym jest świat w swej absolutnej całości? Czym jest Bóg w swej najwyższej idealności? I w 1787 r. ukazało się zmienione wydanie jako rzeczywisty początek trylogii. W 1788 r. ukazuje się „Krytyka rozumu praktycznego", a w 1790 r. „Krytyka władzy sądzenia".

Bez mała pół wieku później Heinrich Heine – świetny poeta i zadziorny publicysta, rówieśnik i paryski współemigrant Mickiewicza – porówna Kanta z… Robespierre'em, bo niby jeden zdekapitował króla, a drugi Boga. Nie bardzo to prawda, bo jeśli już ktoś, to Nietzsche, a Kant bronił wiary na potrzeby Martina Lampego, swojego służącego… I to Heine stworzył też błyskotliwy, do dziś utrwalony stereotyp filozofa-mieszczucha, który gdzieś tam na prowincji wiódł „mechanicznie uporządkowane, niemal abstrakcyjne życie starego kawalera": wstawanie, picie kawy, pisanie, czytanie, jedzenie, wyjście na spacer dokładnie o wpół do czwartej, tak że można było według niego regulować zegarki.

Ciężki styl „Krytyki czystego rozumu" – jak „szelest brązowego pakowego papieru" – mógł zdaniem Heinego wynikać z nieporadności filozofa. Ale raczej był zamierzony, aby go odróżnić od ulotnego tonu tych popularnych filozofów, nadając jego rozważaniom ciężką wagę nauki. Tym swoim stylem Kant „wyrządził wiele szkód niemieckiemu myśleniu", ponieważ stworzył „przesąd, że dobrze pisząc, nie jest się filozofem".

I tak oto dziś w rocznicowej książce o Kancie „Niebo gwiaździste nade mną…" (2023) niemiecki pisarz Daniel Kehlmann, autor znanej i u nas „Rachuby świata", oraz izraelski kantysta Omri Boehm – przyznając to i owo Heinemu – prześcigają się w dowodach na aktualność myśli Kanta w najbardziej palących sprawach fizyki i metafizyki nas, naszego globu i wszechświata.

Gadżety z podobizną filozofa. Czy sprzedadzą się lepiej od jego książek?

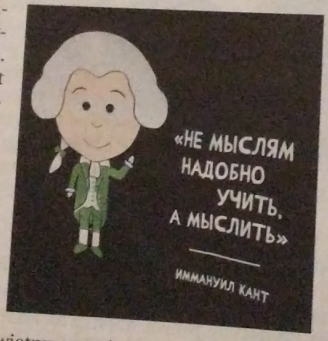

Putin: „Kant jest nasz"

Niemniej „rok Kanta" zaczął się w Niemczech od pocieszej wpadki. Na okładce eleganckiego miesięcznika „Cicero", a w Austrii – kwartalnika dla uczniów „Abenteuer Philosophie" – z podpisem „Immanuel Kant" ukazała się podobizna jednego z jego współczesnych. Ponadto Austriacy, aby przyciągnąć młodego czytelnika, pokusili się nawet o wywiad z filozofem na żywo. Wyjechali nad Pregołę. Drzwi w nieistniejącym już domu przy Princesplatz 87 otworzył im stary Lampe z przyganą, że profesor przyjmuje przecież dopiero w czasie obiadu. Więc przez cztery godziny wałęsali się po „zimnych ulicach Kaliningradu". Ale czego się nie robi dla rozmowy z Kantem, nawet jeśli wypadnie zdawkowo. Czym jest filozofia? Czym oświecenie? Jak łączyć wiarę z nauką, a metafizykę z matematyką? Jak docierać do „rzeczy samej w sobie"? Jak rozumieć „imperatyw kategoryczny"? – czyli starą zasadę: nie rób drugiemu, co tobie niemiłe? Nie zapytali natomiast ani o aktualność jego rozważań z 1795 r. nad „pokojem wieczystym", ani nad „obywatelstwem świata", ani o pozagrobowe życie Kanta w naszpikowanej rakietami rosyjskiej enklawie…

Wyraźnych odpowiedzi na te pytania poszukał natomiast w dzisiejszym Królewcu Michael Thumann, wieloletni korespondent hamburskiego tygodnika „Die Zeit", autor wnikliwej książki „Odwet. Jak Putin stworzył najgroźniejszy reżim na świecie" (2023). Nie rozmawiał z duchem Kanta, lecz z profesorami kaliningradzkiego uniwersytetu i oglądał kantowski kicz na ulicach rosyjskiego miasta.

W miejscu domu Kanta jest torowisko. Ale niedaleko katedry, w której jest pochowany, można kupić czekoladki Kanta, kiełbaski Kanta i grzaniec Kanta. W sklepie breloczki, notesy i kufle, a także talary z wybitym profilem Kanta. Profesor Siergiej Ługowoj opowiada Thumannowi, że nie zawsze tak było. Po wojnie zniszczono rzeźbę filozofa, zastępując ją wizerunkiem Ernsta Thälmanna, zamordowanego przez nazistów przywódcy Komunistycznej Partii Niemiec. Pomnik był z lichego materiału i rozsypał się jeszcze za czasów radzieckich. W latach 90. Kant – z inicjatywy pochodzącej z okolic Królewca wydawczyni „Die Zeit" Marion Dönhoff – wrócił jako kopia do parku przed dzisiejszym uniwersytetem. Nie wszystkim się to podobało. Rzeźbę oblewano farbą. A i propozycja zmiany nazwy miasta na Kantograd nie znalazła poparcia.

Jednak od czasu, gdy Putin „zakochał się w Kancie", panuje przekonanie, że „Kant jest nasz". Nie tylko całe życie spędził

w rosyjskim dziś mieście, ale ponoć w 1758 r. wręcz „chciał być Rosjaninem", bo w czasie czteroletniej okupacji Królewca przez wojska rosyjskie, prosząc carycę o powołanie na miejscowy uniwersytet, podpisał się jako sługa pełen „głębokiej czci dla Jej Carskiego Majestatu". Dziś może uchodziłby za kolaboranta, ale wtedy wazeliniarstwo było codzienną formułą porozumiewania się z chwilowym hegemonem. Elżbieta zresztą odmówiła. A katedrę przyznał Kantowi w 1770 r. król pruski Fryderyk II.

W latach 1755–56 był w Gołdapi. I ma tu jedyny w Polsce swój pomnik.

W Muzeum Kanta Thumann odnotowuje komputerową „rozmowę z filozofem". Na ekranie głowa w podfryzowanej peruce rezonuje o tym, „kim jest kobieta": „Pierwszym aspektem nierówności jest ta między mężczyzną i kobietą. Ponieważ on jest silny, a ona słaba, więc mężczyzna czuje się w pewnym sensie winny, jeśli się dla niej nie poświęci". Nie bardzo wiadomo, czy to cytat z Kanta, czy odwołanie do tradycyjnych wartości, jak je pojmuje putinizm…

Profesor Leonard Kalinnikow, miejscowy ekspert od Kanta, ma za złe Niemcom, że pożegnali się z zasadami Kanta. Przecież wykluczał tylko wojny niesprawiedliwe, jak np. napaść na Związek Radziecki w 1941 r., ale nie sprawiedliwe, jak rosyjska wojna w Ukrainie, którą sprowokował Berlin wraz z NATO. Na uwagę przybysza z Hamburga, że esej o „pokoju wieczystym" był inspiracją dla Karty Narodów Zjednoczonych, kaliningradzki profesor się oburza: ONZ pod wpływem USA odwróciła się od moralnych zasad Kanta i norm prawa międzynarodowego. Na szczęście jest BRICS! Związek takich państw, jak Rosja, Chiny, Brazylia, Indie i RPA. One „zmuszą także USA do uznania prawa międzynarodowego, a nie wydumanych przez siebie zasad".

Wieczysty (nie)pokój

Jednak Rosjanom z Kantem nadal jest nie po drodze. Gubernator obwodu – Anton Alichanow – 9 lutego na kongresie politologów obwinił Kanta o spowodowanie „obecnego chaosu" w świecie, bo jego etyka jest sprzeczna z rosyjskimi wartościami „etyki Północy". Na taką wykładnię może pomóc tylko wysokoprocentowe „wino Kanta"…

W końcu Kant w piątym artykule „Wieczystego pokoju" krytycznie odnosi się do rozbioru i likwidacji Rzeczpospolitej w 1795 r. w trakcie podejmowanych przez nią reform. Jako pruski poddany swą krytykę formułuje ogólnie. Ale na tyle konkretnie, że jest aktualna także wobec zaboru części Ukrainy, a następnie jawnego na nią najazdu: „Żadne państwo nie powinno mieszać się przemocą do ustroju i rządów innego państwa. Bo cóż może je do tego uprawniać? (…) takie mieszanie się zewnętrznych sił byłoby okaleczaniem praw zmagającego się ze swą wewnętrzną chorobą, niezależnego narodu, a tym samym skandalem, i czyniłoby niepewną autonomię wszystkich innych państw".

Sapere aude! Kant o „wieczystym pokoju" rozmyślał w burzliwym okresie rewolucji i likwidacji Rzeczpospolitej. Na jego ideę powszechnego pokojowego ładu powoływał się w 1918 r. prezydent USA Woodrow Wilson, ogłaszając swój 14-punktowy program pokojowy z restytucją polskiej państwowości i stworzeniem Ligi Narodów. Była też podstawą uchwalonej w 1948 r. w Paryżu Powszechnej deklaracji praw człowieka. Potem odwoływał się do niej Jürgen Habermas w rozważaniach nad patriotyzmem konstytucyjnym i – wbrew sceptycyzmowi i nacjonalizmowi – konstytucją dla Europy. Omri Boehm ją przytacza, projektując państwo wspólne dla Żydów i Palestyńczyków. A hinduski historyk Dipesh Chakrabarty odwołuje się do gwieździstego nieba i prawa moralnego, jeśli ludzkość w antropocenie ma zapobiec planetarnej katastrofie.

Czy nie powinniśmy w sierpniu wraz z Unią Europejską urządzić w Gdańsku debaty o „wieczystym pokoju"? W końcu „rok Kanta" nakłada się na 85. rocznicę diabelskiego paktu Hitler–Stalin i kolejnego rozbioru Polski, który Putin nadal uważa za wzór rosyjskiej polityki.

ADAM KRZEMIŃSKI

REKLAMA

24 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

Przez 23 lata wsparliśmy 377 naukowców kwotą ponad 7 000 000 zł

Jesteś młodym ambitnym naukowcem?
Prowadzisz niebanalne, ważne społecznie projekty badawcze?
Wystartuj w konkursie o nasze stypendia naukowe!

Wypełnij formularz zgłoszeniowy: polityka.pl/stypendia
Czekamy do 12 czerwca!

Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2024

FUNDACJA ONKOLOGII DOŚWIADCZALNEJ I KLINICZNEJ

Dr Irena Eris

Patron medialny TOK FM

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

na ekranie

Smutna baśń 3/6

Back to Black. Historia Amy Winehouse (Back to Black), reż. Sam Taylor-Johnson, prod. Wielka Brytania, USA, Francja, 122 min

Na fali wzmożonego zainteresowania biografiami popularnych postaci popkultury kino mierzy się z legendą zmarłej w wieku 27 lat Amy Winehouse. Podobnie jak w przypadku filmowych portretów Elvisa Presleya, Freddiego Mercury'ego czy Dalidy jest to widowisko wychodzące naprzeciw oczekiwaniom spadkobierców, rodziny oraz fanów, co oznacza, że nie należy się spodziewać, by znalazły się w nim jakieś szczególnie drażliwe kwestie. Obrazoburstwa i drążenia kontrowersyjnych, ciemnych stron, których akurat w życiu Amy nie brakowało, w „Back to Black" nie ma – część udało się uchwycić w głośnym „Amy" (2015 r.) Asifa Kapadii, dokumencie zmontowanym z domowego archiwum wokalistki zmarłej na skutek zatrucia alkoholowego.

W filmie fabularnym wyreżyserowanym przez Sam Taylor-Johnson, autorkę m.in. „Pięćdziesięciu twarzy Greya", toksyczna relacja piosenkarki z jej byłym mężem Blakiem Fielderem-Civilem, asystentem producenta wideo i narkomanem, staje się przyczyną jej upadku, jednak została potraktowana naskórkowo i nazbyt łagodnie. Dysfunkcyjna historia miłosna zbudowana na najgorszych instynktach, mimo pozorów ekranowej szczerości i ekspresyjnego dramatyzmu, wygląda jak smutna baśń nieprzybliżająca zanadto do zrozumienia głębszych motywacji obojga. Dość naiwnie – by nie powiedzieć: karykaturalnie – jawi się też związek wykonawczyni z jej ojcem. W dokumencie nie jest on żadnym troskliwym aniołem, bez skrupułów czerpie korzyści z sukcesu córki, pozostając raczej osobą niedostrzegającą jej potrzeb. Spektakl ratuje **Marisa Abela**, doskonale obsadzona w roli Amy Winehouse. Jak się okazuje, ma niemałe, chociaż różnie oceniane, umiejętności wokalne. Aktorsko też budzi podziw, łącząc kruchość, inteligencję, autodestruktywny pęd Amy z dziką seksualnością i buntem. Jej gra, jak podkreślają recenzenci, zachęca do zastanowienia się nad nowym rodzajem kobiecej asertywności, polegającej na wyrażaniu siebie poprzez hedonistyczną skrajność. A filmowi dodaje to brakującego pieprzu.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

na ekranie

Irena w cieniu Ireny 4/6

Przysięga Ireny (Irena's Vow), reż. Louise Archambault, prod. Kanada, Polska, 120 min

To podnosząca na duchu, oparta na faktach historia jednej z najodważniejszych i najbardziej niedocenianych – jak uważają Amerykanie – bohaterek drugiej wojny światowej. Również u nas Irena Gut-Opdyke, polska pielęgniarka we wrześniu 1939 r. mająca zaledwie 19 lat, pozostaje w cieniu dokonań Ireny Sendlerowej. Pobita i zgwałcona przez żołnierzy sowieckich, pracowała przymusowo w fabryce amunicji. Gdy naziści zajęli się ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej, została przydzielona jako służąca, by opiekować się przejętym przez niemieckiego majora dworkiem w Tarnopolu. Ukrywała w nim dwanaścioro Żydów, stając się panią ich losu. Scenariusz, na podstawie granej z wielkim powodzeniem na off-Broadwayu sztuki, napisał Dan Gordon, który znakomicie uchwycił polską specyfikę: podszytą ironią i poczuciem humoru chęć dochowania wierności katolickim wartościom w obliczu katastrofy. Film zręcznie, choć dość pobieżnie rysuje tło historyczne. Tworzy trzymającą w napięciu narrację, opartą w znacznej mierze na mało patetycznych dialogach. Uhonorowaną medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata Irenę gra z dużym wyczuciem Kanadyjka Sophie Nélisse, a partnerują jej m.in. Andrzej Seweryn, Tomasz Tyndyk, Eliza Rycembel i Agata Turkot. J.W.

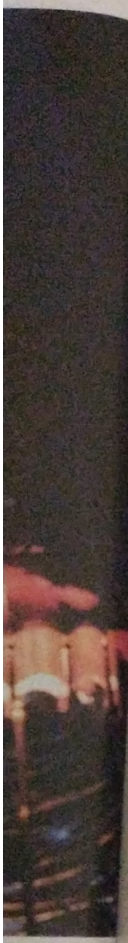

w telewizji

Niewielkie kłamstewka 3/6

Niedaleko pada jabłko (Apples Never Fall), twórczyni serii: Melanie Marnich, SkyShowtime, 7 odc.

Olbrzymi sukces „Wielkich kłamstewek" i nieco mniejszy – lecz wciąż godny odnotowania – „Dziewięciorga nieznajomych" musiały przynieść wzrost zainteresowania prozą Liane Moriarty. Australijską pisarką filmowcy interesowali się już wcześniej, jednak dziś w produkcji są przynajmniej cztery kolejne serie, wliczając nowe sezony już znanych tytułów. W „Niedaleko pada jabłko" Moriarty (a jej śladem twórcy adaptacji) sięga po bezpieczne i sprawdzone rozwiązania. Akcja znów toczy się na zamożnych przedmieściach, wśród ludzi, którzy nawet przed najbliższymi skrywają największe, często mroczne sekrety. Fabuła koncentruje się wokół poszukiwań Joy Delaney (**Annette Bening**), kobiety, która znika niemal bez śladu, a policja domyśla się, że stała się ofiarą przestępstwa. Podejrzenia padają na jej męża Stana (Sam Neill) i na tajemniczą młodą kobietę, która przez kilka miesięcy mieszkała w domu Delaneyów. Prywatne dochodzenie prowadzi czwórka dorosłych dzieci Joy i Stana, a każdy dzień odsłania kolejne warstwy familijnych tajemnic i kłamstw (i tak, jest tu także dalekie echo „Sukcesji": rodzeństwo nieustannie walczące o uwagę dominujących rodziców). Kryminalny wątek bywa intrygujący. Co z tego, skoro całość przypomina bardziej skondensowaną telenowelę pełną przerysowanych postaci, często źle zagranych, oraz niewiarygodnych dialogów i drugorzędnych fabularnych twistów. „Wielkie kłamstewka" pozostają w swoim gatunku wzorem niedoścignionym.

JAKUB DEMIAŃCZUK

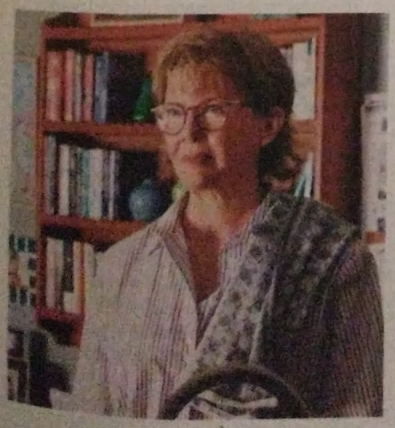

w telewizji

Nowszy wspaniały świat 4/6

Sympatyk (The Sympathizer), twórcy serii: Park Chan-wook i Don McKellar, HBO Max, 7 odc.

Podstawą „Sympatyka" jest nagrodzona Pulitzerem powieść Vieta Thanha Nguyena z 2015 r. Łącząc elementy czarnej komedii, przejmującego dramatu, thrillera szpiegowskiego i satyry politycznej, autor opisał życie wietnamskich emigrantów w Los Angeles w latach 70. i 80. XX w. – gdy po wojnie amerykańsko-wietnamskiej ich ojczyznę przejęli komuniści. Głównym tematem jest szaleństwo historii oraz próby zaspokojenia pragnienia poczucia przynależności i wspólnoty w tym szaleństwie. W centrum opowieści stoi Kapitan (**Hoa Xuande**), syn Wietnamki i Francuza, absolwent amerykańskiego uniwersytetu oraz podwójny agent szpiegujący swojego szefa, popadającego w paranoję Generała (Toan Le), dla CIA i dla komunistów. Wierzy, że w nowym wspaniałym świecie komunistycznej równości wreszcie będzie pełnoprawnym członkiem społeczeństwa, a nie, jak dotąd, pogardzanym półkrwi bękartem czy traktowanym z góry Azjatą. Partneruje mu **Robert Downey Jr.** portretujący amerykańskich „patronów" bohatera (najlepsza z tych ról to megalomański reżyser filmu w stylu „Czas apokalipsy"). Park Chan-wook, południowokoreańska gwiazda światowego kina, autor m.in. „Oldboya" czy „Pani Zemsty", podkręcił tempo opowieści i dorzucił rozmach inscenizacyjny. Zaś historia dodała znów aktualny, zimnowojenny kontekst. A sceny z lotniska w Hanoi w 1975 r., z tłumem próbującym uciec przed nadciągającym Wietkongiem, przypominają niedawną ewakuację USA z przejmowanego przez talibów Afganistanu.

ANETA KYZIOŁ

w telewizji

Przyjaciel proletariatu 3/6

Dżentelmen w Moskwie (A Gentleman in Moscow), twórca serii: Ben Vanstone, SkyShowtime, 8 odc.

Tytułowy dżentelmen w Moskwie to hrabia Aleksander Rostow (**Ewan McGregor** z wąsami), który wraca do porewolucyjnej Rosji i zamiast zostać stracony – jak inni arystokraci, którzy nie wyemigrowali – trafia do aresztu domowego, czyli na poddasze luksusowego hotelu Metropol, naprzeciw Kremla (zdjęcia powstawały w Wielkiej Brytanii). Z tej perspektywy będzie oglądał radziecką historię, od lat 20. po powojnie, wykorzystując darowany czas (oraz ukryte rodowe złoto) na urządzenie się w nowej rzeczywistości, spotkania z ludźmi, leczenie rodzinnej traumy i rozwój duchowy. Z dobrotliwego, acz przekonanego o wyższości błękitnej krwi erudyty, dowcipnego gawędziarza i znawcy win stanie się kelnerem, pszczelarzem i przyjacielem hotelowego proletariatu, z kawalera – oddanym kochankiem (Mary Elizabeth Winstead w roli aktorki Anny Urbanowej) i przybranym ojcem osieroconych dzieci. Po obejrzeniu pięciu z ośmiu odcinków serialu będącego adaptacją powieści Amora Towlesa z 2016 r. wciąż trudno dociec, dlaczego w ogóle powstało to jałowe połączenie „Czarodziejskiej góry" Manna w wersji superlight, przestylizowanych filmów Wesa Andersona i opery mydlanej. I co nam ma powiedzieć teraz, gdy Rosja morduje Ukrainę, twarzą światowej arystokracji jest skompromitowany angielski książę Andrzej, a kino i telewizja produkują kolejne satyry na bogatych i uprzywilejowanych? AK

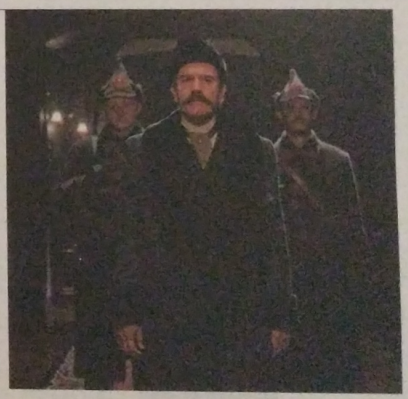

© KINO ŚWIAT, DARIUS FILMS/FILMOTEKA NARODOWA, SKY SHOWTIME, HBO MAX, PARAMOUNT

Z Quentinem w kinie 5/6

Quentin Tarantino, **Spekulacje o kinie**, przeł. Jan Dzierzgowski, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024, s. 392

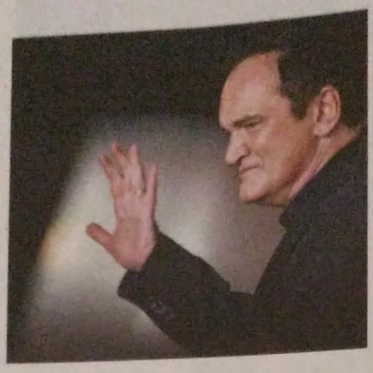

Kilka lat temu Quentin Tarantino w debiutanckiej powieści „Pewnego razu w Hollywood" brawurowo mieszał fikcję z faktami, podlewając fabułę ciekawostkami i ploteczkami z filmowego zaplecza. Jego kolejna książka to już non-fiction poświęcone amerykańskiemu kinu lat 70. i takim filmom, jak „Brudny Harry", „Uwolnienie" czy „Taksówkarz". Oczywiście nie jest to przypadkowy wybór: twórca „Pulp Fiction" skupia się na tytułach, które go ukształtowały i które – jeszcze jako dzieciak – oglądał razem z matką i jej kolejnymi partnerami. „Spekulacje o kinie" to zarówno filmoznawcza atrakcja (Tarantino jest wybitnym reżyserem, więc tym ciekawsze są jego spostrzeżenia na temat klasycznego kina), jak i dowcipny, i chyba szczery, autoportret człowieka, który filmem żył zawsze – nawet wtedy, gdy jeszcze nie śmiał myśleć, że kiedyś sam stanie za kamerą. I trzeba mieć na uwadze, że Tarantino za nic ma artystyczne kanony ustalane przez krytyków (choć z ich zdaniem często się liczy, nawet jeśli się z nim nie zgadza). To jego świat i jego reguły gry, żadnych umizgów w stronę czytelników i filmowej branży. Pisze przy tym tak, jakby tworzył dialogi do swojego nowego filmu: dosadnie, z nerwem, nie unikając kontrowersyjnych opinii i wulgaryzmów. Woli napisać, że ktoś zagrał ch…jowo, niż bawić się w gładkie półsłówka. Sypie przy tym faktami, datami, szczegółami. Sam to zauważa: „Jeśli czytasz tę książkę, bo chcesz dowiedzieć się czegoś o kinie, ale czujesz mętlik w głowie od tych wszystkich nieznanych nazwisk – nie przejmuj się. I tak paru rzeczy się nauczysz". Sprawdziłem. To działa.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Umarli siedzą w szafie 5/6

Marta Hermanowicz, **Koniec**, ArtRage, Warszawa 2024, s. 335

Powieściowy debiut Marty Hermanowicz jest częściowo oparty na historii rodzinnej: wywózki na Sybir, tułaczki i powrotu do Polski, ale jest to historia opowiedziana w sposób niezwykły. Narracja jest gorączkowa, jak przy 40 stopniach w malignie, i początkowo możemy mieć kłopot z wejściem w tę opowieść. Gdzie jesteśmy? Kto do nas mówi? Lotka, babka czy jej wnuczka Malwina? Do tego kryształowa trumna z Piłsudskim jedzie przez całą Polskę, a za nią krucjata dziecięca. Po kilku stronach stan gorączki udziela się czytelnikom, widzimy Malwinę, dziewczynę z lat 90., której śnią się sny jej babki. Te dwie historie są splecione. Lotka żyje z tymi, którzy zginęli na zesłaniu, Malwina bawi się swoimi umarłymi, których ukrywa w szafie. Dom stoi przy ul. Koniec 10 w miejscowości Nowa Sól, wszystko jest tu poniemieckie i poradzieckie jednocześnie. Nie ma czasu – zabrała go wojna: „wszystko dzieje się w tym samym momencie, jestem dzieckiem, jestem stara, jestem żywa, jestem umarła". Malwina nosi w sobie nie swoją historię, bydlęce wagony, jezioro zmarłych, ruskie słowa. Nazywają ją „dzidzia piernik", próbuje uciec snom babki w śmierć. W tej rodzinie, która przetrwała, ale nie ocalała, milczy się o wielu sprawach, zostawia się je w nadziei, że znikną. Tymczasem przeszłość zalewa kolejne osoby. Autorce udało się znaleźć język, żeby opowiedzieć nasze wspólne obcowanie z duchami przeszłości.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

Bardzo miły bałaganik 4/6

Marcin Wicha, **Gościnne występy. Kawałki o projektowaniu**, Wyd. Karakter, Kraków 2024, s. 235

Nie mam wielkiego zaufania do książek, które stanowią zlepek powstałych wcześniej na różne potrzeby i okazje tekstów. Za bardzo pachnie to sprytnym zabiegiem na powtórne zmonetyzowanie tego, co już było raz sprzedane. I nawet prawdziwe literackie perełki nie błyszczą jak należy, rozsypane lub nanizane na jakiś przypadkowy, mający je spajać sznureczek. A w tym przypadku otrzymujemy akademickie i konferencyjne wykłady przemieszane z prasowymi artykułami, a nawet tekstami katalogowymi. Zdarza się, że zamysł zgrzyta, gdy autor pisze na przykład o kolejnych zdjęciach (w oryginale zapewne pokazywał je na slajdach), ale my musimy się jedynie domyślać ich treści. Teoretycznie lejtmotywem tomu ma być to, w czym autor czuje się najpewniej: projektowanie. Ale w praktyce mamy opowieści o szkole i zwierzętach, pandemii, a nawet o poezji. Poznajemy sylwetki Józefa Sigalina i Franciszka Starowieyskiego, Andrzeja Dudzińskiego i Qi Baishi. Wszystko tu się radośnie miesza i plecie, a każdy kolejny rozdział to murowana niespodzianka. Jednak Wicha to Wicha i nawet tym chaosikiem dostarcza czytelnikowi wiele radości. Bezbłędnie bowiem potrafi przejść od szczegółu do ogółu, od anegdoty do złotej myśli, od refleksji projektanta ku celnym uwagom na temat współczesnego świata w ogóle. U niego rozważania o czcionce przeradzają się w myśli o czasach i obyczajach. Swobodnie skacze z kwiatka na kwiatek, a my karnie podążamy za nim. Tym chętniej, że niektóre z tekstów, jak ten o wykrzykniku, to prawdziwe arcydzieła felietonistyki.

PIOTR SARZYŃSKI

w galerii

Ludowy salon 5/6

Tygrys w ogrodzie. Sztuka Marii Prymaczenko, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, do 30 czerwca

Swoją działalność w pawilonie nad Wisłą Muzeum Sztuki Nowoczesnej rozpoczęło – przed siedmiu laty – wystawą o kobiecie z ogonem („Syrena herbem twym zwodnicza"). Żegna się z tym miejscem ekspozycją, na której też spotkać można wiele dziwnych stworów. W uniwersum, które stworzyła Maria Prymaczenko, jest bowiem wprawdzie trochę miejsca dla ludzi, ale dominują zwierzęta – zarówno te fantastyczne, jak i te realne, które jednak na fantastyczne wyglądają. Zorganizowanie w tego typu placówce wystawy artystki w gruncie rzeczy ludowej, oprócz tego zmarłej blisko trzy dekady temu, może uchodzić za fanaberię lub za kolejny gest solidarności z narodem ukraińskim toczącym heroiczną wojnę z Rosją. Ale MSN lubi zaskakiwać nieoczywistymi projektami. Tym razem przesłanie wydaje się oczywiste: pokazać, że sztuce naiwnej należą się takie same uwaga i uznanie, jak tej mającej pieczątkę akademicką. Że odnaleźć w niej można, i to we właściwych proporcjach, wszystko, co w artystycznej kreacji ważne: emocje, treści, symbolikę, walory estetyczne, przemyślaną formę, świadectwo czasu itd. Kurator Szymon Maliborski skonstruował ekspozycję tak, by zza kolorowych, fantazyjnych scenek wyzierały kwestie poważniejsze: niepokoju o pokój, szacunku wobec natury, zmagania się z wielkimi tragediami jak katastrofa w Czarnobylu (Prymaczenko mieszkała 40 km od elektrowni). I wskazówka dla widzów niezwykle ważna: prace nabierają sensu dopiero w połączeniu z – niekiedy tasiemcowymi – ich tytułami. A więc patrzcie, czytajcie i dajcie się uwieść ukraińskiej kołchoźnicy.

PIOTR SARZYŃSKI

Maria Prymaczenko „Wszedł tygrys do sadu i zachwyca się, że jabłonie obrodziły, jabłek zatrzęsienie", 1994 r.

na płycie

Ta sama rzeka 4/6

Mark Knopfler, **One Deep River**, EMI

Lider Dire Straits kojarzy się u nas dość powszechnie z „Brothers in Arms" i trójkowym „Topem Wszech Czasów". Wydaje się to jedną z największych krzywd, jakie można było wyrządzić wizerunkowi Marka Knopflera. Na polu gitary jest wprawdzie ciekawym innowatorem, który przeniósł autorskie techniki gry z akustycznego instrumentu na elektryczny, przy okazji łącząc bluesowy feeling i folkową, bardziej brytyjską melodykę, ale nie ma w nim dużo z herosa i postaci pierwszoplanowej. Weźmy najnowszy album „One Deep River" – od tytułu i okładkowego zdjęcia Knopfler odnosi się tu do własnej małej ojczyzny, Newcastle upon Tyne. A stylistycznie podąża w stronę country, muzyki prowincji, w dodatku w wydaniu demonstracyjnie drugoplanowym, interesują go tu knajpiani wyrobnicy grający co wieczór w podrzędnych lokalach. Narrację prowadzi bez pośpiechu, za to z dużą wrażliwością na przestrzeń i szczegół. Wprawdzie co rusz natykamy się na jakąś znajomą melodyczną frazę, która mogła się pojawić w poprzednich nagraniach solowych Knopflera lub repertuarze Dire Straits, ale warto też przyznać, że nawet stare rzemiosło w wykonaniu Knopflera staje się po raz kolejny zaskakująco lekkie.

BARTEK CHACIŃSKI

Sesja z przeszłością 5/6

Fabiana Palladino, **Fabiana Palladino**, Paul Institute

Muzyka 36-letniej Fabiany Palladino mogłaby być ścieżką dźwiękową do wirtualnego świata San Junipero z odcinka „Czarnego lustra", opisywanego w świątecznej POLITYCE fikcyjnego miejsca wiecznego życia, w którym można przeżywać wciąż i wciąż lata 80. Muzyka brytyjskiej wokalistki i kompozytorki jest nie tylko stylowa, ale też momentami („I Care" czy „Stay with Me Through the Night") przebojowa niczym hity z tamtej dekady. Stanowi też charakterystyczne dla tamtych czasów połączenie popu i soulu – tu pojawiają się porównania m.in. z Janet Jackson – wykonywanych w perfekcyjny sposób, ale przez żywych muzyków w prawdziwym studiu nagraniowym. Palladino sama gra na kilku instrumentach, ale pomogli jej ojciec i brat – świetni basiści. Ten pierwszy, Pino Palladino, to zresztą prawdziwa legenda lat 80. – grał m.in. z Paulem Youngiem, Eltonem Johnem i Garym Numanem, a dziś jest stałym członkiem The Who. Pomogli zgromadzić wokół debiutu Fabiany skład równie zdolnych muzyków sesyjnych, ale większość kompozycji i produkcja całości pozostały po stronie autorki. Kiedy chciała dać materiał do obróbki ojcu, miał powiedzieć, że nie ma co kombinować, bo to już skończone. Dobry początek solowej kariery. BCH

© ROCCO SPRZANI/ARCHIVIO SPRZANI/MONDADORI PORTFOLIO/GETTY IMAGES. MUZEUM SZTUKI NOWOCZESNEJ W WARSZAWIE. MF (5)

Oryginał od kopii

Według utrwalonej tradycji pop-art miał jednego króla. To Andy Warhol. Wystawa Roya Lichtensteina w wiedeńskiej Albertinie kusi jednak, by postawić zgoła heretyckie pytanie: a może to jemu należał się tron?

PIOTR SARZYŃSKI

Podstawa do stawiania pytań kwestionujących mocarstwowe status quo jest poważna, bo na ekspozycji w Wiedniu zgromadzono ponad 90 prac Roya Lichtensteina, dobrze odzwierciedlających to, co w życiu osiągnął. Co ciekawe, ta opowieść o jego dokonaniach zaczyna się dopiero, gdy amerykański artysta ukończył 37 lat i wykonał pierwszą pracę, którą można nie tylko zaliczyć do pop-artu, ale też uznać za ikoniczną, jedną z prekursorskich itd. To „Look Mickey" z 1961 r. Jeśli wierzyć artystycznej legendzie, obraz powstał, gdy jeden z synów Lichtensteina, wskazując na komiks z Myszką Miki, rzucił mu wyzwanie: „Założę się, tato, że nie potrafisz tak dobrze malować". No i Lichtenstein przekonał syna, a przy okazji jednym susem przeskoczył z artystycznego niebytu do awangardy sztuki.

Ową cezurę wprowadzono w sumie z pożytkiem dla łaskawej pamięci o twórcy i dla cierpliwości widzów, wcześniej bowiem artysta miotał się niemiłosiernie: od kubizmu, przez ekspresjonizm i abstrakcję, po malarstwo etniczne, w każdym z tych nurtów osiągając raczej żałosne, epigońskie efekty. Po latach powracał zresztą do tych rozlicznych stylów, ale na szczęście tylko po to, by je parodiować, a w najlepszym razie szukać w nich natchnienia.

Już jako uznany artysta pop-artu Lichtenstein też się zmieniał, poszukiwał nowych środków wyrazu. Swoje kompozycje niekiedy komplikował, tworząc z nich złożone, wielowątkowe narracje. Kiedy indziej zaś upraszczał, zbliżając się do minimalistycznych, wręcz abstrakcyjnych przedstawień. A przy okazji tworzył rzeźby, grafiki, dywany. Całe to bogactwo pokazano w Wiedniu, co publiczności daje jasno do zrozumienia, że jest to spuścizna, którą należy traktować poważniej, niż to się zazwyczaj robi. Bo powszechnie Lichtensteinowi przyprawiono jedną tylko gębę: bezrefleksyjnego kopisty komiksów.

Ta utrwalona opinia z jednej strony budziła do niego sympatię za szczere bratanie się z tzw. kulturą popularną, z drugiej jednak nieufność, bo przecież mocno zakorzeniony jest w kulturze pogląd, że twórca ma sam wymyślać, a nie podbierać pomysły innym. Tymczasem osąd to uproszczony, a więc mocno niesprawiedliwy. Pomijam fakt, że „obrazy komiksowe" stanowią ledwie część jego dorobku. Ale i one odsłaniają znacznie bardziej finezyjną strategię artystyczną, niż się zwykło dostrzegać, polegającą na zacieraniu granic między tym, co twórcze, a tym, co odtwórcze, między kopią a oryginałem, między kreacją a powielaniem, czyli ostatecznie między tym, co zwykło się nazywać kulturą wysoką, a – jakże deprecjonująco – kulturą niską. Robił to wbrew pozorom w dość wyrafinowany sposób.

W pierwszym etapie wybierał z komiksu konkretny, interesujący go rysunek. Następnie z tego rysunku przerysowywał określony kadr. Zazwyczaj zmieniał szczegóły, tło, a nawet perspektywę, upraszczał, dodawał nowe kolory. Ten nowy, własny już rysunek za pomocą epidiaskopu rzutował na płótno i odrysowywał. Tak powstały szablon zapełniał kropkami i kolorami, a figury obrysowywał czarnym grubym konturem. W tym procesie przechodził więc parokrotnie od pracy mechanicznej do kreatywnej i odwrotnie, demonstracyjnie burząc podziały na tzw. sztukę wysoką i niską, własną i cudzą. W fachowej literaturze można znaleźć kilka przykładów szczegółowych analiz porównawczych pierwowzorów z końcowym efektem w postaci obrazów. Już we wspomnianej pracy „Look Mickey" doskonale widać ową ewolucję od komiksowego rysunku Boba Granta i Boba Tottena ku ostatecznemu efektowi.

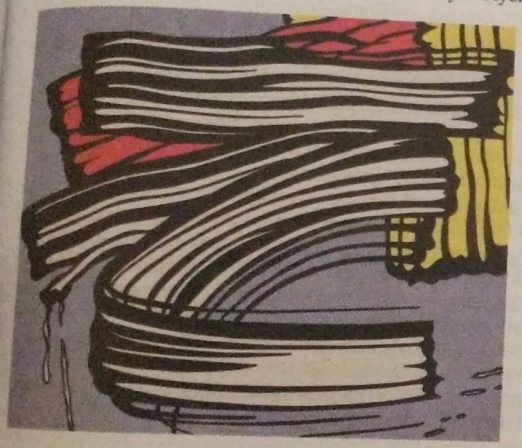

Od lewej: **„Little big painting", 1965 r., „Figures in landscape", 1977 r.** Na sąsiedniej stronie: **„Thinking of him", 1963 r.**

Centralnym konceptem jego strategii i niejako znakiem firmowym stylu pozostają oczywiście owe słynne kropki. U podstaw ich stosowania leżały typowo pop-artowskie przekora i prowokacja. Z takich kropek składa się raster dość prymitywnej techniki drukarskiej, wynalezionej przez Benjamina Daya jr. w 1879 r., stosowanej w masowych publikacjach. Tu ów produkt maszynowy nabiera szczególnej jakości przez żmudną pracę malarską nanoszenia ich na płótno.

Zazwyczaj staramy się, by coś, co proste i łatwo zrobione, wyglądało na skomplikowane i pracochłonne. Lichtenstein ▶

© ESTATE OF ROY LICHTENSTEIN/BILDRECHT, VIENNA 2024/LUISIANA MUSEUM OF MODERNART, HUMBLEBÆK

© ESTATE OF ROY LICHTENSTEIN/BILDRECHT, VIENNA 2024/YALE UNIVERSITY ART GALLERY, NEW HAVEN CT

▶ odwrócił tę zasadę dokładnie o 180 stopni. Doprawdy trudno tu mówić o prymitywnym grzechu kopiowania komiksów.

O ile w sferze formy udało się Lichtensteinowi stworzyć własny, ludyczno-elitarny patent na obrazowanie świata, o tyle w sferze treści pozostał nieodrodnym dzieckiem pop-artu. A właściwie jego ojcem, bo to on współtworzył standardy tego kierunku. Zatem jego spojrzenie skupiało się na wszystkim, co codzienne, a im bardziej banalne, tym lepiej. Były to oczywiście te raz łzawe, raz śmieszne, ale nieodmiennie kiczowate scenki wypreparowane z komiksów. Z przewagą historii miłosnych i scen batalistycznych, z samolotami w roli głównej. Ale inspirował się też ulotkami reklamowymi, fotografiami prasowymi itd. Warhol malował puszkę zupy czy pudełko proszku do prania, Johns – flagi i tarcze strzelnicze, a Lichenstein w tym czasie – kłębek wełny, szkło powiększające czy szpulę nici. Różnica polegała na tym, że Andy przenosił je wiernie, kopiując banderole i nazwy, Roy zaś odrealniał (powiada się, że „lichtensteinizował"), pozbawiając etykiet, używając tylko czerni i bieli, co jakoś tam uniwersalizowało te konsumpcyjne obrazki.

„Look Mickey", 1961 r.

Choć zabrzmi to paradoksalnie, udało się Lichtensteinowi zbudować wizerunek artysty uprawiającego sztukę tyleż oryginalną, co i bezosobową. Kompletnie bezkonfliktową w treści. Na pozór jednorodną, ale w gruncie rzeczy zawierającą (i wiedeńska wystawa doskonale to ujawnia) duże bogactwo kulturowych odniesień i wręcz postmodernistycznej żonglerki stylami, konwencjami, symbolami. Nawet średnio uważny obserwator odnajdzie w jego obrazach nawiązania do surrealizmu, kubizmu, art déco, fowizmu, a nawet abstrakcji. Cykl prac „Brushstrokes" (1965–68), uwypuklających spontaniczny malarski gest, to nawet nie cytat z ekspresjonizmu abstrakcyjnego, ale rodzaj prześmiewczej imitacji. Po wystawie można wręcz wędrować pod hasłem: znajdź cytaty. I odszukiwać zapożyczenia (niekiedy sprytnie ukryte, kiedy indziej demonstracyjnie wyeksponowane) z prac Picassa, Magritte'a, Matisse'a, Mondriana, a nawet Velazqueza, van Gogha czy Moneta.

Artysta często sięgał po ironię (także autoironię), humor, żart. Na obrazie przedstawiającym szkło powiększające umieścił pod nim… swoje słynne kropki. Z kolei w pracy „Masterpiece" z 1962 r. (rekord cenowy za dzieło Lichtensteina – sprzedane w 2017 r. za 165 mln dol.) kobieta mówi do mężczyzny: „No cóż, Brad, kochanie, ten obraz to arcydzieło! Och, wkrótce cały Nowy Jork będzie domagał się twoich prac". Ciekawe, że akcja komiksowego oryginału dzieje się nie w galerii, tylko w samochodzie, a tekst brzmi: „Ale pewnego dnia gorycz minie". A warto dodać, że „Masterpiece" powstał, gdy artysta dopiero się przebijał do artystycznej elity. Z kolei w cyklu prac „Study for Bull" na przykładzie poczciwego byka z nutą kpiny pokazuje, jak współczesna sztuka krok po kroku dekomponowała rzeczywistość.

Dlaczego w takim razie to Lichtenstein miałby pozostawać co najwyżej wicekrólem pop-artu? Wydaje się, że z powodów pozaartystycznych. Choć doskonale czuł materię popkulturowej papki, to nie dopełnił swej sztuki odpowiednim wobec oczekiwań lifestylowym otoczeniem. Miał wprawdzie dwie żony, ale były to związki pozbawione aury skandalu. Doczekał się dwóch synów i dopiero pod koniec życia (co już mu nie mogło ani pomóc, ani zaszkodzić) wdał się w romans z dużo młodszą od siebie piosenkarką Ericą Wexler. Nie mógł poszczycić się pracownią w stylu „Factory" Andy'ego Warhola ani podobnie bujnym życiem towarzyskim. Daremnie szukać u niego (tak licznych w przypadku Warhola, a ważnych w budowaniu legendy) bon motów i prowokacyjnych wypowiedzi.

Drugą okolicznością pozostaje ciągnąca się za artystą (także po jego śmierci) opinia złodzieja cudzych dzieł. Ekspert od komiksów David Barsalou powiązał ponad 300 dzieł Lichtensteina z innymi artystami. „Może cztery, pięć obrazów, które namalował, przypominają oryginały" – konkludował efektownie, ale mocno niesprawiedliwie. Nieformalny sojusz rysowników, którzy uważali się za pokrzywdzonych, liczył sobie w pewnym momencie 30 osób. Duże wrażenie robił zawsze argument, że oni za swe rysunki dostawali po kilka dolarów honorarium, a Lichtenstein za ich kopie – wiele tysięcy. Sprawa trafiała do sądu, ale rysownicy zawsze przegrywali. Byli na przegranej pozycji – jako ci, którzy w oczach opinii publicznej i ekspertów nie są pełnoprawnymi artystami.

Sam malarz bronił się: „Mojej twórczości zarzuca się, że przypomina rzeczy, które kopiuję, i z pewnością tak to wygląda. Ale na tym polega sztuka, że coś przekształca w coś innego". Bronili go i inni. Bradford Collins, autor książki o pop-arcie, przekonywał: „To nie jest plagiat. To przywłaszczenie". Tłumaczył, że plagiat to wykorzystanie w tym samym celu i gdyby Lichtenstein malował komiksy, byłby złodziejem. Ale on malował obrazy. Z kolei słynny rysownik Art Spiegelman wręcz odwrócił logikę, twierdząc, że „Lichtenstein zrobił dla komiksów mniej więcej tyle, ile Andy Warhol dla zupy". Czyli i sporo, i dobrze.

Dziś po doświadczeniach postmodernizmu praktycznie panuje powszechna zgoda na zjawisko różnie nazywane: samplowaniem, remiksem, apropriacją kulturową, anektowaniem. Zaś nieliczne wytaczane współcześnie procesy z reguły wygrywają pozwani, umiejętnie broniąc się prawem sztuki do korzystania z dorobku innych. A jednak legendę Lichtensteina jakoś trudno oczyścić z oskarżeń, które przylgnęły do tego nazwiska wyjątkowo trwale.

W 1964 r. wpływowy magazyn „Life" pół żartem – ale też pół serio – pytał: „Czy Lichtenstein jest najgorszym artystą w Ameryce?". I nie ma się co dziwić, bo przeskok od dominującego wcześniej ekspresjonizmu abstrakcyjnego był mniej więcej taki, jak od Jamesa Joyce'a do Harlequina. Dziś piewcy banału sami spowszednieli, ale też umościli sobie miejsce w panteonie sztuki XX w. Przynajmniej w przypadku bohatera wiedeńskiej wystawy jest to miejsce zasłużone. Okazuje się, że nawet po półwieczu jego obrazy wcale się nie zestarzały i przesłanie wielu z nich pozostaje zaskakująco aktualne, a walory estetyczne – ciągle żywe. Tak oto niewinny bunt przeradza się w klasykę.

PIOTR SARZYŃSKI

Roy Lichtenstein, Albertina Museum, Wiedeń, wystawa czynna do 14 czerwca

© BOARD OF TRUSTEES, NATIONAL GALLERY OF ART, WASHINGTON

Co trzy dni znika w Polsce jedna księgarnia. Rynek wydawniczy to materiał na poczytny thriller.

JUSTYNA SOBOLEWSKA, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Stała cena na półce

Ostatnie miesiące są dla rynku książki słodko-gorzkie. Z jednej strony Biblioteka Narodowa donosi w dorocznym raporcie – pierwszy raz od dziesięciu lat – że czytelnictwo nad Wisłą podniosło się o 9 pkt proc. Ale na fetowanie za wcześnie. Choćby dlatego, że w Polsce cały czas zamykają się małe księgarnie – rynek dopieszcza molochy, skazując mniejszych graczy na powolną agonię. Z wydawcami jest podobnie – mali oglądają złotówkę z każdej strony, zanim zdecydują się coś opublikować. Kombinują, oferują promocje, e-booki, prenumeraty. Jeden z polskich wydawców kiedyś dorzucał do książek mały regał na przynętę.

Z cenami dzieje się coś dziwnego. Ile kosztuje książka? I kto tu tak naprawdę zarabia? Trochę jak w dyskontach: ten sam produkt można dostać taniej albo drożej, trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać, żeby zaoszczędzić. Na przykład w popularnym sklepie internetowym pod relatywnie niską ceną dowolnej książki widnieje jeszcze „cena sugerowana przez wydawcę", oczywiście sporo wyższa. Powieść 300-stronicowa w miękkiej oprawie może kosztować 60 zł bez 10 gr. W dużej sieci – już niespełna 40 zł, i to w dniu premiery. Różnicę widać i czuć.

Dyskusje o projekcie ustawy o jednolitej cenie książki (dalej: JCK), traktowanej czasem jak remedium na te rozmaite rynkowe wypaczenia, wracają jak bumerang. I teraz znowu jesteśmy w oku cyklonu – kolejne branże zabierają głos, list o konieczności ustawy regulującej rynek książki wystosowali księgarze, osobny apel napisało Porozumienie Wydawców. Jeszcze inny punkt widzenia mają bibliotekarze. Środowisko jest podzielone i wszyscy zgadzają się chyba tylko co do jednego: rynek jest rozregulowany i trzeba wreszcie coś zrobić.

Od Nobla do bankruta

Najpierw ustalmy fakty: dlaczego jest tak drogo? W pandemii przeciętna cena egzemplarza książki wzrosła o ok. 10 zł z powodu drożejącego papieru. Dawne 38,90 zł to nowe 48,90. Teraz rynek literacki – jak każdy segment rozrywki – odczuwa głównie skutki inflacji. Podrożały bilety na koncerty, do kina, teatru. A jednak rynek książki rządzi się nieco inną matematyką. Ceny ustalają wydawcy od razu z uwzględnieniem rabatów, które w chwili sprzedaży niechybnie nałożą duże sieci – Empik, Świat Książki czy inne potężne internetowe sklepy.

Skuszony promocją czytelnik zwykle nie wie, że nawet 50 proc. okładkowej ceny to koszty dystrybucji, transportu, magazynowania „towaru", marża dla hurtowni i księgarni, słowem: obrotu książką, zanim trafi na półkę. A dochodzą jeszcze „opłaty marketingowe" i bonusy za lepszą ekspozycję. Reszta zostaje w kieszeni wydawcy. Ale trzeba od tego odjąć koszty własne, w tym zakup praw, przekład w przypadku literatury obcej, zlecenie druku, zaliczki i honoraria dla autorów. To się długo zwraca. A czasem nie zwraca się wcale.

W przypadku własnej sprzedaży ogniwo z dystrybucją zwykle znika, więc w kasie zostaje więcej. Pod warunkiem że czytelnik w ogóle do sklepu wydawcy dotrze i nie da się wcześniej skusić sklepowym rabatom. Dużo w tej części rynku zależy od ideowości i poczucia lojalności. Ale czy wydawanie książek w Polsce powinno być zajęciem dla hobbystów?

– *W dwa lata osiągnęliśmy właściwie szczyt na swoim poletku* – mówi Michał Michalski, dyrektor młodego wydawnictwa Art Rage. – *Tytuł Wydawcy Roku, trafiony Nobel i co? To już?* – zastanawia się. Redaktorzy z Art Rage wydali książkę Norwega Jona Fossego, zanim dostał Nobla jesienią 2023 r. – mieli przeczucie. Generalnie mają nosa, publikują ambitne tytuły, ściągają najlepszych tłumaczy. – *Wydawało się, że to powinno „wystarczyć" w sensie finansowym. A nie wystarcza. Za cholerę nie chce* – dodaje Michalski. Razem z Krzysztofem Cieślikiem, redaktorem naczelnym wydawnictwa, już ▶

▶ nawet żartują, że są wiecznie na skraju bankructwa.

Między innymi właśnie wydawnictwo Art Rage – z ogólnego poczucia bezradności – wywołało nową dyskusję o jednolitej cenie. Głośno na ten temat było też dawniej, gdy upadał Matras (przegrał wojnę cenową z Empikiem). W latach 2017 i 2021 Polska Izba Książki (PIK) przedstawiła projekt ustawy, zgodnie z którym cena książki byłaby zamrożona na rok, a rabaty w księgarniach mogłyby wynosić w tym czasie maksymalnie 5 proc. W 2017 r. projekt trafił do sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu, gdzie przeleżał do 2019 r. Kolejny projekt już nawet do Sejmu nie dotarł. W PIK tymczasem zmienił się prezes, a zdania o ustawie – jak słyszymy – są i tutaj podzielone. – *Ja akurat jestem w grupie, która ją popiera* – mówi Sonia Draga, prezes PIK. – *Przy pracach nad projektem ustawy wzorowaliśmy się na państwach, gdzie taka regulacja funkcjonuje, i to z powodzeniem – Francji, Włoszech czy Niemczech.*

Ale choć cena jednolita, to ustawa ustawie nierówna i można sporo przy okazji napsuć. Co więc robić? Ministerstwo Kultury zapowiada szerokie konsultacje i obiecuje, że nie odpuści tematu.

Sklepy z książkami

Ustawa o stałej cenie książki działa w większości krajów Europy Zachodniej. I sięga tradycjami XIX w. – *Można powiedzieć, że ustalenie jednolitej ceny książki na jakiś czas po jej premierze jest wyrazem przekonania, iż książka nie jest zwykłym obiektem handlu podlegającym wolnorynkowym wojnom rabatowym, lecz dobrem kultury, które należy chronić. I to przekonanie jest mi bliskie* – mówi Ewa Wieleżyńska, szefowa wydawnictwa Filtry. Michał Michalski z Art Rage przytacza przykład włoskiej ustawy, w której jest zapis, że książka przez rok nie może być przeceniona o więcej niż 5 proc., ale przewiduje liczne wyjątki. Na przykład promocję w dniu premiery albo zniżki dla członków klubu książki.

Głośno biją na alarm zwłaszcza księgarze. Księgarnie stacjonarne są miejscem, gdzie ludzie coraz częściej tylko fotografują sobie okładki, żeby kupić książki taniej w sieci. Nic więc dziwnego, że znikają – nawet jedna co trzy dni. Wiele z nich jest zadłużonych, bo samorządy podnoszą czynsze. W trudnej sytuacji znalazła się m.in. legendarna księgarnio-kawiarnia Kornel i Przyjaciele w Cieszynie: – *Po pandemii, która przeniosła sprzedaż do internetu, przyszła podwyżka cen książek i sprzedaż stacjonarna znacząco spadła. Ustawa o jednolitej cenie przede wszystkim wyrównałaby szanse dotarcia z nowościami do czytelników bez zbędnego tłumaczenia, skąd kilkunastozłotowa różnica w cenie* – mówi Mariola Sznapka, która Kornela prowadzi. – *Teraz nie mamy szans konkurować z dużymi sieciami, które w dniu premiery oferują 30–40-proc. rabat. Momentami czujemy się wręcz niezręcznie, sprzedając książkę po cenie okładkowej.*

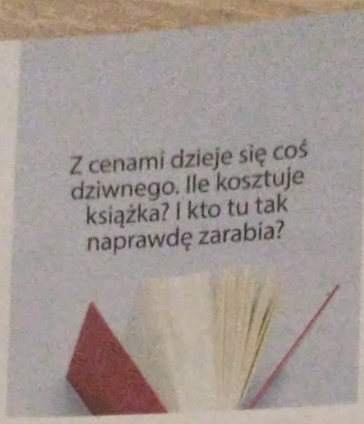

Jednolita cena to w tej sytuacji nie wszystko – potrzebna jest, jak zwraca uwagę Mariola Sznapka, rozmowa o roli księgarni w mieście, szczególnie małym. Na początku roku Cieszyn podniósł czynsz najemcom Księgarni Piastowskiej, która działa w śródmieściu od 1972 r., czyli ponad 50 lat, zamiast wesprzeć ważne miejsce kultury – wbił gwóźdź do trumny.

Zdaniem Sznapki księgarnie są wartością samą w sobie, dlatego ich utrzymanie powinno być zawarte w budżecie i ujęte w projektach rozwoju i budowania wizerunku miasta. A zatem potrzebna jest nie tylko ustawa o ujednoliceniu ceny książki, ale i wsparcie instytucjonalne. „Wprowadzona w wielu krajach ustawa spowodowała wzrost sprzedaży książek, przyczyniła się do powstania nowych księgarni i małych wydawnictw oraz zaowocowała zwiększeniem się czytelnictwa" – pisze Stowarzyszenie Niezależnych Księgarzy. Paweł Goźliński, szef wydawnictwa Agora, zwraca uwagę, że ustawa ukróciłaby też patologię rynku, która sprawia, że po trzech miesiącach książka znika z półek: – *Wydawcy musieliby inaczej gospodarować tym, co mają. Do tego potrzebne są księgarnie, a nie sklepy z książkami. Wówczas książki starsze, klasyka byłyby ciągle dostępne.*

Ewa Wieleżyńska zwraca z kolei uwagę, że na rozwiniętych rynkach książki – takich jak francuski, niemiecki czy skandynawski (gdzie akurat JCK nie obowiązuje) – czytelnictwo i różnorodność rynku księgarskiego są wspierane i promowane w sposób kompleksowy. – *I o tym wiele osób zdaje się zapominać, od paru tygodni prowadząc ożywioną debatę na temat wdrożenia jednolitej ceny książki w Polsce, jakby ta jedna zmiana miała być lekarstwem na wszystkie choroby naszego rynku* – mówi Wieleżyńska.

Rabini i rabaty

Poza tym skąd wziąć pewność, że owa jednolita cena nie będzie od razu zawyżona? Skąd czerpać gwarancję, że czytelnik z dnia na dzień zmieni nawyki i uda się do księgarni, zamiast zamówić książkę online i odebrać z paczkomatu pod domem? Wieleżyńska uważa, że projekt przyniesie wręcz szkody, jeśli przy okazji nie ustali się stałych marż dla dystrybutorów. Bo na książkach nadal najwięcej zarabiać będą duże sieci. – *Taki właśnie szkodliwy kształt miała ustawa o jednolitej cenie książki z 2017 r.*

Szefowa wydawnictwa Filtry nie zgadza się z tezą, że po wprowadzeniu nowych przepisów książki staniejąWręcz przeciwnie. A wzrost cen na tak nierozwiniętym rynku jak nasz – szczególnie w dobie inflacji i ogólnej dziejowej niepewności – może spowodować, że czytelnicy będą kupować jeszcze mniej. – *Zwłaszcza że „kultura rabatów" w jakimś sensie płynie w polskiej krwi i dotyczy nie tylko książek.*

Zgadza się z tym Anita Musioł z wydawnictwa Pauza, które prowadzi od kilku lat jednoosobowo: – *Uważam, że stała cena jako jedyne rozwiązanie zniszczy rynek, dojedzie małych wydawców i tylko wzbogaci duże sieci. Dzisiaj np. Empik kupuje książki z rabatem 55–60 proc., ale oddaje część swojej marży końcowemu klientowi – przy stałej cenie nie będzie mógł tego zrobić, więc zarobi więcej. Klient końcowy, czytelnik, straci, bo będzie musiał zapłacić więcej za książkę, wydawca straci, bo nadal będzie musiał oddać 55–60 proc. dystrybutorowi, a sprzeda ilościowo mniej nowości.*

Michalski dodaje: – *Wydawcy są podzieleni: czy chcą JCK, czy jej nie chcą w ramach ustawy o książce.* To kolejny wątek w tej dyskusji: PIK proponował osobną ustawę. – *A można rzecz potraktować jako jeden z punktów, może nawet kluczowy, w ramach szerokiej ustawy o książce, która wprowadzi jakąkolwiek równowagę sił na tym rynku* – proponuje Michalski.

– *Moim zdaniem ustawa o stałej cenie powinna być tylko jednym z elementów wsparcia rynku książki* – uważa Goźliński. – *Sama ustawa nie rozwiąże problemów. Staje się coraz bardziej anachroniczna, gdy rynek jest uzależniony od rabatów i coraz większe znaczenie mają usługi abonamentowe. Być może rozwiązaniem nie byłaby ustawa, ale obniżenie marż dystrybucyjnych.* Dlatego Stowarzyszenie Wydawców

w swoim piśmie postuluje nie tyle ustawę, ile właśnie „zmianę mechanizmów w dystrybucji książki".

To nie AGD

– *Jeśli już musi być jakaś ustawa, to trzeba się skupić na tym, żeby naprawić to, co spowodowało problemy na rynku* – uważa Tomasz Zaród, szef wydawnictwa książkowe Klimaty. – *Czyli zakupy książek przez biblioteki, a zwłaszcza kwestie ich wyboru, stworzenie programów wsparcia budżetów publicznych dla kameralnych wydawców i kameralnych księgarń.* Zaród napisał nawet szkic takiej ustawy. – *Ale nie sądzę, żeby on się gdzieś przebił* – dodaje.

– *W wielu krajach skandynawskich państwo ma obowiązek wykupienia nakładu minimalnego w liczbie 2 tys. egzemplarzy od każdego wydawcy. To średni nakład, od którego zaczyna się zarabiać* – dodaje Wieleżyńska. – *Na takim rynku wydawcy mogą ryzykować i stąd chociażby w Norwegii wydaje się tyle debiutów. W Polsce również należałoby wprowadzić ustawę, na mocy której publiczne biblioteki miałyby obowiązek kupować pewne książki, na przykład te nagradzane największymi nagrodami literackimi. Miasta powinny wprowadzić preferencyjne czynsze dla księgarń.*

Także zdaniem Goźlińskiego fetyszyzowanie JCK nie jest najlepszym pomysłem: – *Najważniejszy powód: nie da się wokół tego hasła zbudować szerokiej i skutecznej koalicji działającej na rzecz przemiany bazaru z książkami, gdzie rządzą ludzie, którzy mogliby równie dobrze sprzedawać średnie AGD, w cywilizowany rynek.* Czy da się to pogodzić z JCK? – *Być może, ale warto pomyśleć nad innymi rozwiązaniami, skoro istnieje ogromna szansa, że wokół JCK konsensusu nie będzie. Tym bardziej że ostatnie kraje, które ją wprowadziły, zrobiły to przed pandemią, przed rozwojem serwisów abonamentowych, przed falą literatury young adult.*

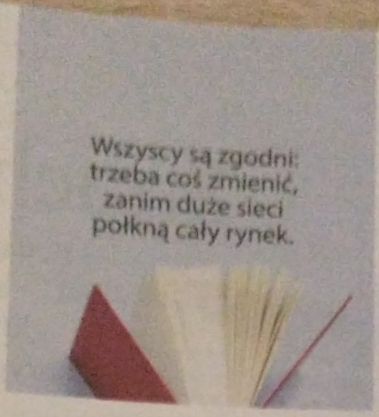

Ważne jest poszerzenie rynku dystrybucyjnego – może poprzez obniżenie marż dystrybucyjnych. No i nie obędzie się bez pieniędzy, dodaje Goźliński. – *Inspirujący jest przykład PISF, który w parę lat zmienił dość gruntownie obraz polskiego kina. Oczywiście nie obyło się bez wpompowania kasy do systemu.* Ale skąd tę kasę wziąć? Może częściowo z wypożyczeń bibliotecznych, które dałoby się lepiej spożytkować? Trzeba też wzmocnić wydawców, zwłaszcza polskiej literatury, a przede wszystkim księgarzy. Jak im pomóc? Grantami na rozwój, na opłacenie rachunków, tanimi pożyczkami na zakup nowości.

Już ta korespondencyjna dyskusja wydawców na naszych łamach zasadniczo dowodzi, że wszyscy są zgodni: trzeba coś zmienić, zanim duże sieci połkną cały rynek. Ba, nawet były minister Piotr Gliński ma nieco racji, gdy w wywiadzie dla „Sieci" stwierdza, że regulowana cena książki to „ślepa uliczka", bo trzeba raczej wspierać kameralne księgarnie. Ślepa może nie całkiem – tu po prostu trzeba całej autostrady. Systemowego wsparcia dla wydawców, bibliotek i księgarń. Należy też przenieść dyskusję do XXI w., doby czytania w abonamencie, i dostosować się nieco do czytelnika, który ceni wygodę. W 2022 r. „Rzeczpospolita" podała, że Polacy wolą kupić książkę w sieci albo... w dyskoncie. Sama Biedronka sprzedała wówczas 13,5 mln egz.

– *Z uwagą przyglądamy się dyskusji na temat rynku książki* – zapewnia POLITYKĘ Michał Tomaniak, dyrektor działu książkowego w Empiku, który ma rocznie nawet 90 mln klientów. „Zaakceptujemy każdy scenariusz" – mówi „Gazecie Wyborczej" Krzysztof Olesiejuk, współwłaściciel jednej z największych hurtowni w kraju. Na razie nic zmieniać nie muszą. „Do Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów wpłynął wniosek spółki Dressler Dublin w sprawie przejęcia spółki Tami SI z siedzibą w Poznaniu" – doniósł właśnie rynek-ksiazki.pl. Dressler Dublin to spółka Krzysztofa i Jacka Olesiejuków (są braćmi), do której należy m.in. Świat Książki, Wydawnictwo Bellona, Wydawnictwo Bukowy Las czy Fabryka Słów. Tami SI to przede wszystkim znany sklep internetowy czytam.pl. Paradoksem jest to, że ustawa niczego nie zmieni w działalności największych graczy rynku, którzy łączą działalność wydawniczą, dystrybucyjną i księgarską. A gdzieś naprzeciw działają mali wydawcy i kameralne księgarnie. Jeszcze.

JUSTYNA SOBOLEWSKA
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

REKLAMA

Strach się śmiać

Pod makabryczną dosłownością „Fallout" – serial o atomowej zagładzie – kryje czarny humor. Zupełnie jak oryginalna gra. Tylko poważnej satyry jest tu nieco mniej.

BARTEK CHACIŃSKI

Walton Goggins jako Ghul w serialu „Fallout".

Zimnowojenny strach przed zagładą nuklearną gra „Fallout" przechowała przez lata, gdy wydawał się najmniej potrzebny. Pierwszy odcinek tej popularnej serii (sprzedano w sumie ponad 50 mln sztuk) ukazał się w 1997 r., gdy przyszłość wydawała się nieco bardziej różowa niż dziś. Tezy Francisa Fukuyamy o „końcu historii" ciągle były świeże. W fotelu prezydenta Federacji Rosyjskiej siedział Borys Jelcyn. Polska dostała zaproszenie, by wstąpić do struktur NATO, a państwa członkowskie ONZ ratyfikowały świeżo podpisany traktat o całkowitym zakazie prób z bronią jądrową. Kto by się wtedy przejmował wojną nuklearną?

Tymczasem „Fallout" („Opad" – w domyśle promieniotwórczy) okazał się hitem. Akcja dzieje się w alternatywnej wersji amerykańskiej historii: nie wynaleziono tranzystorów – a więc także mikroprocesorów – za to praca z lampami elektronowymi i energetyką jądrową przyniosła z czasem bajeczne efekty. Nie zmieniły się tylko zagrażające życiu na planecie ambicje wielkich mocarstw. W końcu więc w XXI w. Chiny zrzuciły na USA serię atomówek, zamieniając kraj w znane z gry radioaktywne Pustkowia. Wcześniej jednak prywatna firma Vault-Tec wybudowała dla państwa ponad sto supernowoczesnych schronów zwanych kryptami. Ludzie mieli z nich wyjść dopiero, gdy poziom promieniowania opadnie. Trochę jak w „Doktorze Strangelove", czarnej komedii Stanleya Kubricka, w której tytułowy naukowiec postulował ewakuację części populacji do kopalń, a tam – normalne życie z akcentem na szybkie rozmnażanie się. „Przy odpowiednim stosunku mężczyzn do kobiet – na przykład jeden do dziesięciu – odnowienie całego narodu zajęłoby nie więcej niż 20 lat" – przekonywał szalony Strangelove.

Twórcy serialu „Fallout", w tym Jonathan Nolan (brat Christophera), mieli więc do dyspozycji bardzo precyzyjną wizję świata. Emil Pagliarulo, jeden z projektantów „Fallouta 3" i kolejnych odsłon gry, opisywał tę rzeczywistość jako wariację na temat nigdy niezrealizowanego disneyowskiego projektu World of Tomorrow: połączenie futurystycznej wizji rozwoju technologicznego ze staroświecką obyczajowością i stylem z lat 50. Dziś dochodzi do tego zagrożenie atomową apokalipsą, jak na zamówienie odświeżone przez Rosję.

Młodszy z braci Nolanów zaczyna tam, gdzie skończył starszy, niedawny laureat Oscara za „Oppenheimera". Bomby powstały, wybuchły, teraz należałoby się z tego jakoś podnieść. Zagładę obserwujemy od razu, w scenach otwierających pierwszy odcinek, zatytułowany zresztą „The End". Kończy się sielanka, zaczyna życie na oparach cywilizacji. Nie ma dobrych i złych – każdy walczy o przeżycie i część kurczących się zasobów: rolę monet grają kapsle po Nuka-Coli, ulubionym napoju ery przedatomowej, a rolę broni – to, co się uda zmontować w warsztacie. Z reguły jednak coś bardziej finezyjnego niż kije i kamienie, które Einstein typował na arsenał postapokalipsy.

Intryga pierwszego sezonu „Fallouta" każe się mijać trójce bohaterów. Lucy (Ella Purnell) opuściła schron, by szukać ojca. Ghul (Walton Goggins) szuka awantury i sposobu na przetrwanie – przypomina rewolwerowca z filmów Sergia Leone, a reprezentuje grupę mieszkańców Pustkowi oszpeconych fizycznie przez promieniowanie, za to zaskakująco długowiecznych. Maximus (Aaron Moten) należy do Bractwa Stali – jednej z kast próbujących przywrócić cywilizację metodami znanymi ze średniowiecza, czyli siłą oręża rycerzy zakutych w ciężkie zbroje.

Nietrudno się zorientować – a fani gry to wiedzą – że Vault-Tec prowadził

© AMAZON

w kryptach eksperymenty społeczne. Wiemy też, że z odradzającą się amerykańską państwowością – znaną tu jako Enklawa – trudno wiązać jakieś nadzieje. „Fallout" to raczej historia o tym, jak tu wybrać jakieś mniejsze zło. Trochę jak w „The Last of Us" – serialowym przeboju HBO, też przecież będącym ekranizacją postapokaliptycznej gry.

Oba te seriale będą ze sobą nieustannie porównywane, co ma sens dość ograniczony. Owszem, jeden i drugi pokazuje krajobraz po końcu świata. „The Last of Us" akcentowało jednak emocje i relację między dwójką głównych bohaterów. A „Fallout" już jako gra był czymś innym – otwartym światem z mnóstwem drobnych epizodów i dość plastycznym bohaterem lub bohaterką do samodzielnego wykreowania oraz swobodną trasą wędrówki. Przede wszystkim jednak, o ile historia z tej pierwszej gry była dramatem, o tyle „Fallout" jest czarną komedią.

Projektantom oryginalnej gry przyświecały najwyraźniej słowa piosenki grupy Monty Pythona: „Zawsze patrz z humorem na śmierć". Były tu zresztą bezpośrednie nawiązania do działań brytyjskich komików. W drugiej części „Fallouta" gracz trafiał na Most Śmierci. Most miał swojego strażnika – mnicha przypominającego postać z filmu „Monty Python i Święty Graal". I podobnie jak w filmie strażnik zadawał pytania. Pierwsze dwa banalne, identyczne jak w komedii: „Jak się nazywasz?" i „Jaki jest twój cel?". Trzecie miało absurdalnie wysoki poziom trudności, też trochę jak to z Monty Pythona („Jaka jest prędkość jaskółki bez obciążenia?"). Kto nie odpowiedział, spadał do wąwozu. Chyba że odparował pytaniem na pytanie (pamiętamy: „Jakiej jaskółki: afrykańskiej czy europejskiej?") – wówczas w wąwozie lądował strażnik. Swoją drogą w „Falloucie" można było nawet trafić na grupę opancerzonych wędrowców tytułujących się „rycerzami króla Artura". Zaskakujące spotkania z epizodycznymi bohaterami, dziwakami i odmieńcami to bodaj największa atrakcja gry. I katalizator humorystycznych dialogów.

Przede wszystkim „Fallout" był bowiem – i serial próbuje to oddać – ekspresją czarnego humoru ery zimnej wojny. Nam skojarzy się z anegdotami z zajęć z przysposobienia obronnego, na których uczono, jak się uchronić przed wybuchem. Amerykanie mieli swój edukacyjny filmik „Duck and Cover", wyprodukowany przez tamtejszą obronę cywilną. Ale i całą kategorię dowcipów odreagowujących zagrożenie – ciągle niezrealizowane, ale wiszące w powietrzu. Jak w drukowanym kiedyś w Polsce mikroopowiadaniu Tuliego Kupferberga o wielkiej bombie atomowej, która marzyła o tym, żeby być małą kulą karabinową, bo cierpiała na „brak osobistego kontaktu z ludźmi".

W dialogach z gry „Fallout" dowcip bywał cięższy: „Pewnego wieczoru jadłem kolację w kasynie. Mówię: kelner, mój stek śmiesznie smakuje. A on na to, że to klaun". Kanibalizm to zresztą żywy temat w świecie ograniczonych zasobów. Podejmuje go też serial.

„W całej mojej karierze nigdy nie byłem bliżej komedii" – mówił Jonathan Nolan w wywiadzie dla „The Hollywood Reporter". Nie chciał przyznać, ile godzin spędził, grając w oryginalnego „Fallouta", ale twierdzi, że służył mu jako rozrywkowy reset w przerwie od pracy nad filmami kręconymi wspólnie z bratem. Sam ma sporo doświadczeń z historiami o przyszłości: współtworzył serial „Westworld" (dla HBO), produkował „Peryferal" (Prime Video). „Nigdy jednak nie trafiłem na opowieść utrzymaną w tym tonie: mroczną, brutalną, a zarazem polityczną, satyryczną, a momentami wariacką" – oceniał. Jednocześnie przyznał, że jej humor bliski jest temu z serialu „The Boys". Innymi słowy: na granicy dobrego smaku i makabry. Odstrzelą ci nogę? Nic nie szkodzi – z pewnością w zagubionej na Pustkowiach osadzie znajdzie się metalowa proteza, którą właścicielka sklepiku zamontuje szybko, w niehigienicznych warunkach i bez znieczulenia.

Klimat serialu – tak jak wcześniej gry – budowany jest na nieustającym kontraście między słodkimi hitami z przeszłości a totalną przemocą. Do wtóru melodyjnej, swingowej muzyki z lat 40. i 50. (bo to ostatnia, jaka ludzkości została) rozgrywają się sytuacje inspirowane pulpową literaturą, przypominające najbrutalniejsze kino akcji – między Peckinpahem a Tarantino. Przemoc w „Falloucie" była od początku na tyle jaskrawa, że Steve Jackson, współtwórca oryginalnego „Dungeons & Dragons", zaproszony do współpracy przy pierwszej części postapokaliptycznej serii – która jako gra fabularna była mocno wzorowana na „D&D" – wycofał się, gdy tylko zobaczył, co się wyrabia w scenariuszu. Był przerażony, że znów pojawią się oskarżenia gier o deprawację młodzieży – w latach 90. ciągle nie bardzo wierzono, że ten typ rozrywki można tworzyć z myślą o dorosłych.

W tym szaleństwie świata i nastawianiu się na dorosłą widownię jest metoda. Bo w swojej istocie cała seria jest opowieścią o próbach odtwarzania reguł współżycia społecznego po czasach bezhołowia i wzajemnego zabijania. Na Pustkowiach powstawały, niczym w „Mad Maxie", karykatury ludzkich wspólnot – z maniakalnymi mutantami czy totalitarnymi organizacjami na wzór rzymskich legionów – a w przeciwatomowych schronach wszelki postęp został na kilka generacji zatrzymany. Kiedy więc jedni czy drudzy odnajdywali strzępki wiedzy sprzed wielkiej wojny, drobne wynalazki wydawały się magicznymi artefaktami.

To z kolei wizja wyraźnie inspirowana powieścią Waltera M. Millera „Kantyczka dla Leibowitza". Ukazała się w 1959 r. i opisywała alternatywną wizję rozwoju świata, który ulega nie tylko masowej zagładzie (oczywiście nuklearnej), ale i masowemu ogłupieniu – książki i wszelka wiedza naukowa zostają odrzucone, więc dawnych naukowców, którzy chcieliby przechować cywilizacyjne dziedzictwo, żarliwość pcha w stronę założenia religijnego zakonu z rozpisaną na setki lat misją postawienia ludzkości na nogi. Cała historia była zresztą inspirowana wojennymi przejściami Millera, który brał udział w walce o klasztor Monte Cassino – ba, jako wyszkolony strzelec pokładowy dokonywał bombardowania benedyktyńskiego opactwa, samemu starając się przy tym ograniczać cywilizacyjne straty.

Dziś „Fallout" kojarzy się z internetowymi memami, a charakterystyczne uniformy noszone w schronach idealnie nadawały się do cosplayu – czyli fanowskich zabaw w przebieranki – ale gdzieś pod warstwą efekciarstwa i brutalności kryje się zjadliwa społeczna satyra. W serialu, który musi prowadzić wątki głównych bohaterów, zostało na to mniej miejsca. Jego twórcy próbują za to – co godne pochwały – odtworzyć obecne w grze wrażenie całkowitej bezradności. Wobec niebezpieczeństw Pustkowia świeżo upieczony uciekinier ze schronu musi czuć się słaby, staje się karmą dla zmutowanych karaluchów („Żartowano, że przetrwają atak nuklearny, ale nikt nie przewidział, że się udoskonalą" – zauważa trzeźwo naukowiec z serialu). Dalej to uczucie bezradności nie zniknie. Zmienią się tylko jego źródła. Bo już świat ery przedatomowej, widziany przez pryzmat śmieci, które po nim zostały, wydaje się naiwny, przesiąknięty propagandą i konsumeryzmem, pełen dyskryminacji i kamuflowanej społecznej przemocy. A jeśli na ruinach tej nieciekawej cywilizacji cokolwiek wyrośnie, może to być coś jeszcze gorszego. ■

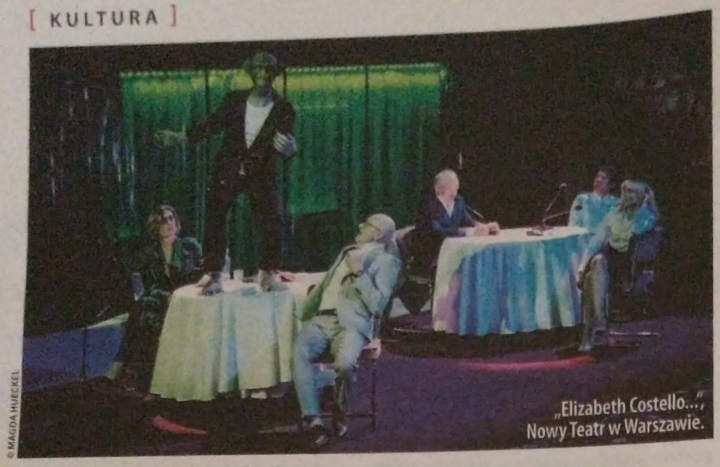

© MAGDA HUECKEL

„Elizabeth Costello...", Nowy Teatr w Warszawie.

Stara kobieta się nie poddaje

W spektaklu Krzysztofa Warlikowskiego stara pisarka Elizabeth Costello jest głosem serca i sumienia w kończącym się świecie.

ANETA KYZIOŁ

Bohaterka spektaklu „Elizabeth Costello. Siedem wykładów i pięć bajek z morałem" w reż. Krzysztofa Warlikowskiego pojawiła się w 1999 r.: emerytowana australijska pisarka, autorka dziewięciu książek, z których największy rozgłos przyniosła jej napisana trzy dekady wcześniej powieść „Dom przy Eccles Street" – feministyczne spojrzenie na postać Molly Bloom, żonę głównego bohatera „Ulissesa" Jamesa Joyce'a. Obecnie odcina kupony od kariery pisarskiej, przyjmując – jak wielu intelektualistów i twórców w jej sytuacji – propozycje wygłoszenia gościnnych wykładów na uniwersytetach czy konferencjach.

Postać Costello powstała w głowie Johna Maxwella Coetzee'ego – pisarza dziś 84-letniego, który wtedy do emerytury miał jeszcze kilka lat (pochodzi z RPA, ale od dawna mieszka w Australii i od 2006 r. jest jej obywatelem) – gdy został poproszony o wygłoszenie gościnnych odczytów na amerykańskich uniwersytetach. Zamiast wykładów przeczytał opowiadania, których bohaterką jest Costello wygłaszająca wykłady. W 2003 r. – tym, w którym otrzymał literackiego Nobla – uczynił ją tytułową postacią książki. Dwa lata później pojawiła się w opowiadaniu „Powolny człowiek". W 2018 r. premierę miał zaś tom „Siedem bajek z morałem" z jej udziałem.

Po co Coetzee'emu była ta maskarada? Jako swoiste alter ego, pozwalające zdjąć ciężar odpowiedzialności za wypowiadane słowa? Książkowa Costello tak tłumaczy bezkompromisowość głoszonych sądów: „Mówię, co myślę. Jestem starą kobietą. Nie mam już czasu mówić rzeczy, których nie myślę" – może to jest wskazówka? Ale może był to żart z oczekiwań uniwersyteckich gremiów, które noblista jako wieloletni wykładowca licznych uczelni i zarazem zapraszany prelegent znał aż za dobrze? Albo próba oddania sprawiedliwości? Przez długi czas pisarki musiały się ukrywać pod męskimi pseudonimami, by móc publikować albo być traktowane poważnie.

Co to oznacza, gdy na przełomie XX i XXI w. kobiece alter ego tworzy pisarz? Czy to hołd złożony koleżankom po piórze? A może przeciwnie – ironiczny komentarz do zwrotu feministycznego w kulturze i politycznej poprawności?

Albo jeszcze inaczej: to próba przekroczenia ograniczeń: płci, ale też twardego podziału na fikcję i rzeczywistość. To ostatnie na pewno zainteresowało Krzysztofa Warlikowskiego, który w swoich spektaklach śmiało wykorzystuje prawdziwe historie i rzeczywiste postaci, włączając je w świat fikcji.

Elizabeth Costello jest atrakcyjną postacią także dzięki targającym nią wątpliwościom i niespójności. Łatwo się w niej przejrzeć zarówno artystom pokroju Warlikowskiego, jak i widzom jego teatru. Zwłaszcza tym, którzy razem z nim się starzeją i odkrywają, że z wiekiem rozterek nie ubywa, tylko przybywa, a człowiek robi się nie tylko bardziej nostalgiczny, ale też jakby bardziej wyrozumiały dla szaleństw świata. W końcu – jak samoświadomie zauważa Costello w dyskusji po wykładzie, w którym brawurowo porównała przemysł produkcji mięsa do Holokaustu – sama nie je mięsa, ale nosi skórzane buty i torebkę.

Podczas czterogodzinnego spektaklu w Elizabeth Costello wciela się pięć aktorek i aktor, odgrywają różne etapy z jej życia, zmienne emocje, ambicje, oczekiwania wobec świata i samej siebie, reakcje na świat i ludzi. W jednym z wykładów bohaterka oskarża Paula Westa (Andrzej Chyra), pisarza, autora książki „Godziny hrabiego von Stauffenberga", w której z detalami opisał egzekucję członków spisku przeciw Hitlerowi w 1944 r., o pornografię przemocy. Uważa, że pisarz został natchniony przez Diabła, zaraził się złem, a teraz zarażają się nim czytelnicy. Mimo to, gdy poznaje Westa osobiście, daje się uwieść, działa czar zła albo czar mężczyzny.

Warlikowski inscenizuje tę scenę jako lustro piknikowego spotkania byłych kochanków – Hannah Arendt i Martina Heideggera (Chyra) – w lesie w Schwarzwaldzie ze swojego poprzedniego spektaklu, „Odysei. Historii dla Hollywoodu" sprzed trzech lat. Jest po wojnie, Heidegger nie przeprasza za akces do nazizmu, a mimo to Arendt wciąż jest pod jego urokiem. Główne pytanie „Odysei" brzmiało: jak opowiadać o złu, by nie upiększając go i nie replikując, sugestywnie przestrzec przed powtórką w przyszłości? Wtedy kontekstem było znów przybierające na mocy szczucie na innych: imigrantów, kobiety, osoby LGBT+.

Wątpliwości i błądzenie nie oznaczają jednak konformizmu. Rozgrywany w scenerii łączącej cechy hotelu

feministycznego
poprawności?
: to próba prze-
łci, ale też twar-
i rzeczywistość.
zainteresowało
go, który w swo-
wykorzystuje
zywiste postaci,

t atrakcyjną
rgającym nią
jności. Łatwo
wno artystom
jak i widzom
, którzy razem
ają, że z wie-
lko przybywa,
bardziej no-
dziej wyrozu-
W końcu – jak
stello w dys-
brawurowo
ukcji mięsa
e mięsa, ale

o spektaklu
się pięć ak-
e etapy z jej
cje, oczeki-
iebie, reak-
z wykładów
a (Andrzej
i „Godzin-
", w której
członków
4 r., o por-
pisarz zo-
zaraził się
zytelnicy.
sobiście,
albo czar

enę jako
a byłych
Martina
chwarz-
go spek-
woodu"
Heideg-
azizmu,
ego uro-
zmiało:
zając go
estrzec
dy kon-
a mocy
obiety.

ozna-
ozgry-
hotelu

i uniwersyteckiej auli spektakl rozpoczyna projekcja awatara – animacji pozbawionej biografii, służącej do sprzedawania rozmaitych narracji i produktów. Stara, siwa Castello, z bagażem doświadczeń, czasem bardzo złych – jak próba gwałtu i pobicie, gdy miała 19 lat – może i jest komiwojażerką słowa, jak nazywa się intelektualistów krążących po świecie z odczytami, ale wciąż stać ją na bycie nieprzyjemną, na wytrącanie słuchaczy ze strefy komfortu i obronę własnych przekonań.

Najmocniejsze to walka z przemysłowym ubojem – piekłem, które ludzie gotują innym czującym istotom. W „(A)pollonii", spektaklu, którym 15 lat temu Warlikowski z aktorami inaugurowali działalność Nowego Teatru, Maja Ostaszewska wygłaszała wykład z książki „Elizabeth Costello" o Holokauście zwierząt. Coetzee pisze w niej (tłum. Zbigniew Batko): „Rozszczepianie włosa na czworo, twierdzenie, że tu nie ma porównania, że Treblinka była, że się tak wyrażę, metafizycznym przedsiębiorstwem oddanym wyłącznie zabijaniu i unicestwianiu, podczas gdy przemysł mięsny służy w ostatecznym rozrachunku życiu (…), taka argumentacja jest słabą pociechą dla ofiar, bo to tak, jakby – z góry przepraszam za szokujące porównanie – jakby żądać od zabitych w Treblince, żeby wybaczyli swym oprawcom, bo ich tłuszcz był potrzebny do produkcji mydła, a ich włosy do wypychania materaców".

W nowym spektaklu Warlikowski wykład pomija, ale inscenizuje dyskusję po nim, przy uroczystej kolacji, podczas której odwoływanie się do chłodnych, naukowych argumentów ma przykryć ludzkie okrucieństwo. Costello zaś apeluje o „otwarcie serca", o empatię. Ważnymi bohaterami spektaklu są przywoływane przez nią zwierzęta, pojawiają się jednak już tylko w wersji odegranej, wypchanej albo wygenerowanej przez AI. W finałowej scenie grana przez Maję Komorowską pisarka w rozmowie z synem (Jacek Poniedziałek), jednej z ostatnich w życiu, opowiada o filmie dokumentalnym, który obejrzała, o przemiale (żywych) kurczaków. I pyta o szacunkowy koszt budowy oszklonej ubojni w centrum miasta, żeby ludzie tym razem nie mogli odwrócić wzroku od zła.

Kolejny motyw to kobiece starzenie się, przezroczystość, wypadnięcie z erotycznej gry. „Czy ma pani kogoś, kto wprawia panią w drżenie?" – pyta Elizabeth rosyjska piosenkarka (Magdalena Cielecka) na wycieczkowcu mknącym na koniec świata (w obu znaczeniach tej frazy). Ze starzeniem wiąże się też utrata sił i niezależności.

W pamięci pozostają sceny między matką i synem, zawsze bardzo ważne w teatrze Warlikowskiego, zawsze zawieszone między miłością, rozczarowaniem i pretensją. Do niedawna emblematyczną matką w tym teatrze była rodzicielka z „Kruma", grana przez Stanisławę Celińską, a wzorem syna marnotrawnego byli bohaterowie Jacka Poniedziałka. Tutaj konfiguracji jest kilka (w młodszej wersji syna gra Bartosz Gelner, w starszej Poniedziałek), a emocje zelżały, przeważa miłość i akceptacja. Najbardziej porusza finałowa, pełna zrozumienia rozmowa w wykonaniu Mai Komorowskiej i Jacka Poniedziałka, nagle, w zbliżeniach na ekranie, podobnych do siebie jak matka i syn.

Nowa premiera Krzysztofa Warlikowskiego, choć wyciszona i stonowana (a momentami też trudno uchwytna), jest – jak zwykle w przypadku tego twórcy – europejską megaprodukcją. Zachodnioeuropejskiej widowni oferuje nostalgiczny klimat zbliżającego się końca świata, ale też bohaterkę, która ma serce, sumienie i nadzieję – do końca. ■

REKLAMA

Konkurs na stanowisko dyrektora/ki
Centrum Sztuki Współczesnej ŁAŹNIA
GDAŃSK
szczegóły:
https://bip.gdansk.pl

Konkurs na stanowisko dyrektora/ki
Klubu Żak
GDAŃSK
szczegóły:
https://bip.gdansk.pl

Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Jeden z największych polskich dziennikarzy Piotr Semka pożegnał się z kolejną rozgłośnią, w której występował. Tym razem to Radio dla Ciebie. To wielki przywilej być jednym z tych, których nazwa rozgłośni nie dotyczy.

Małgorzata Szumowska zapytana w Onecie, czy Rafał Trzaskowski to materiał na film, odpowiedziała brutalnie: „Nie nadaje się". Jako lepszego kandydata wymieniła Andrzeja Leppera. Jak widać, między światem sztuki i filmu trudno zbudować most. Czy nawet kładkę.

Stylistka Maja Sablewska mocno skrytykowała gust Polaków: „Nie mają stylu". Co ważne, jej wypowiedź nie dotyczyła wyłącznie ubioru. Można by się spierać, gdyby nie wynik wyborczy na Lubelszczyźnie.

„Mówię o sobie jako o ikonie medycyny estetycznej w Polsce, która zrewolucjonizowała ten rynek" – to jak zwykle skromny Krzysztof Gojdź w Plejadzie. Następnie swawolny doktor wymienia swoje sukcesy w USA. To się nazywa efekt Natalii Janoszek. Minus Bombaj.

W talk-show Marzeny Rogalskiej była żona Krzysztofa Ibisza, Anna Nowak-Ibisz, została zapytana wprost: „Czy Krzysztof dobry jest w te klocki?". Odpowiedź była natychmiastowa: „Jest". To bardzo dobre podsumowanie jego 30-letniej kariery w telewizji: jest.

Pięściarz i zawodnik MMA Artur Szpilka podzielił się z widzami programu „Dzień Dobry TVN" informacjami o swych uzależnieniach: narkotykach, alkoholu i hazardzie, o myślach samobójczych oraz pobycie w więzieniu. Wreszcie w tym programie pojawiło się życie.

Justyna Majkowska, była wokalistka zespołu Ich Troje, została radną powiatu zduńskowolskiego. Artystka dostała 674 głosy. W przeciwieństwie do Michała Wiśniewskiego ona śmiało może śpiewać: „Wstań, powiedz nie jestem sam".

Serwis Plotek chwali się ekskluzywną wiadomością: „Danuta Martyniuk na weselu syna inspirowała się Jennifer Lopez". Obejrzałem zdjęcia. Nie dziwię się, że ta informacja jest tylko u nich.

Znany influencer motoryzacyjny Kamil Budda Labudda wypuścił na rynek własny napój energetyczny o nazwie Doze. Podobno kombinował nad składem 18 miesięcy. Krótko. Budda, zanim doszedł do oświecenia pod drzewem Bodhi medytował sześć lat.

Liroy nie został radnym sejmiku województwa pomorskiego. Jego ugrupowanie Samorządne Pomorze otrzymało poparcie 3,83 proc. i nie przekroczyło progu wyborczego. To wielki cios dla polskiej kultury. Pewnie znowu zacznie nagrywać płyty.

Monika Goździalska miażdży Katarzynę Cichopek – ogłaszają media: „Nie byłam w stanie jej oglądać. Takie lelum polelum, takie jestem słodkopierdząca". Przypomina mi się taka dyskusja: „Soplica, Pan Tadeusz, Sobieski. Tych znam. Ale kim do diabła był Jarzębiak?".

25-letni raper Bedoes 2115, czyli na co dzień Borys Piotr Przybylski, został ambasadorem marki Porsche. Z tej okazji w Bydgoszczy powstał okazjonalny mural z artystą. Gratulacje. Porsche wreszcie wróci pod polskie strzechy, skąd zniknęło po okresie 1939–45.

TV Republika odpaliła swój program poranny. I trzeba uczciwie przyznać, że jest bardzo dobrze. W pierwszym odcinku Anna Popek i Rafał Patyra lewitowali w studiu. Co jest poniekąd zgodne z duchem stacji.

Jest nowe nazwisko na liście dziennikarzy niezłomnych. To Zuzanna Szeloch z Plotka. Ta bezkompromisowa postać odkryła i ujawniła, ile wzrostu ma Marcin Prokop. Przy takim poziomie trudno zachować pion.

Syn Magdy Gessler, Tadeusz Müller, został radnym na warszawskim Żoliborzu. Müller rządzący na Żoliborzu. Jak mawia Prezes: „Niemcy metodami pokojowymi realizują plany, które kiedyś chciano realizować metodami militarnymi".

Do porannego programu Radia Zet dołączyła – cytuję – „gwiazda programu »Szymon Majewski Show« Bilguun Ariunbaatar". Program Szymona zakończył żywot w 2011 r. Ale ewidentnie bywają żarty, które potrzebują czasu.

© FOTON/PAP

Dominika, nowa partnerka Marcina Hakiela, polubiła życie na pokaz. Para często informuje, co robi w windzie, oraz prowadzi publiczne konwersacje. Ostatnio Dominika pojawiła się w „Tańcu z gwiazdami" bez brwi. To dużo lepsze niż pojawianie się bez sensu.

[FELIETON]

Sulej

popatrz

Kiedy poznałam Ulę, nie mogłam się napatrzeć na gracje jej ruchów, rodzaj wcielonej elegancji i godności, z którą się nosiła. Zupełnie nie zauważałam tego, czego ona się wstydziła – włosów, z których zeszła farba, zmęczonej twarzy, zniszczonych zębów. Od razu natomiast zauważyłam, jak buro się ubrała – jakby chciała wtopić się w jeszcze wówczas dość ponurą aurę przedwiośnia.

O osobach w kryzysie bezdomności najczęściej myślimy jako o figurach społecznego dyskursu albo o nieożywionych elementach miejskiego pejzażu. Przez pryzmat liczb czy przykładów w raportach albo wręcz jako jakichś „przeszkód" w drodze do domu czy sklepu. Wykonujesz slalom mentalny i realny – i po problemie. Raczej nie pojawia się przestrzeń na spostrzeżenie, że każda taka mijana postać to osoba, która ma swoją biografię i szczególność. Jeśli nawet nasza percepcja wykona pewien wysiłek i dostrzeże na przystanku albo w zacisznym miejscu na skwerku osobę, która usiłuje się ułożyć do snu – umysł spieszy z podpowiedzią równie szybką, co zamykającą – „a, to jeden z tych". Nie wiadomo do końca, o co chodzi, ale to jacyś „oni", mieszkańcy miasta równoległego, którzy nigdy nie będą stanowić części naszej codzienności. Przynajmniej tak nam się wydaje. Nie mieszczą się w horyzoncie naszej empatii.

Jeśli skrócą do nas dystans, spotykają się z naszym wstrętem i lękiem. Jest to znany mechanizm psychologiczny, że jeśli jakaś osoba budzi tak intensywne emocje, to mówią one przede wszystkim o nas – o naszych obawach. Boimy się zauważyć, że funkcjonujemy w tej samej rzeczywistości, w której my także możemy kiedyś stać się bezdomni. Nie chcemy zakładać takiej możliwości, bo nie jest komfortowa. A jednak domność nie jest dana „na zawsze" – możemy nagle stracić nasz dom, może przyjść wojna, możemy zachorować albo zostać oszukani – nie mamy pewności, że my zawsze będziemy tu, a jacyś oni – tam. Zachowujemy się, jakby kontakt z osobami w kryzysie „zarażał" nas prawdopodobieństwem naszej własnej bezdomności.

Życie w bezdomności to nieustanna walka o przetrwanie – o zachowanie sił psychicznych, o to, aby nie zostać okradzionym, wyrzuconym, przepędzonym, zelżonym czy pobitym. Kobiety dodatkowo muszą chronić się przed przemocą seksualną – maskują swoją kobiecość, rezygnują z jej pielęgnowania, aby siebie chronić. Życie w bezdomności to walka o coś ciepłego, coś czystego, o kilka chwil wytchnienia, odpuszczenia nieustannego stanu czujności. Dla osób w kryzysie każdy dzień to wędrówka – na „wydawkę", po pracę, po miejsce w noclegowni. A kiedy dzień jest gorszy i trudno się zebrać? My wtedy zostajemy w domu, osoba w kryzysie zostaje na ławce w parku i stara się tak owinąć w ciuchy, żeby zniknąć. Kiedy po wielu godzinach w końcu zbierze się w sobie i wsiądzie do tramwaju, komentujemy – ale śmierdzi. Nie myślimy, że być może ma depresję i że może codziennie, coraz skuteczniej, się zabija. Mówimy – alkoholicy, degeneraci, leniuchy, niech idą do pracy. Nie zastanawiamy się, jak można pomóc.

Domność – w czasach szalejących cen mieszkań, inflacji, zagrożenia konfliktami zbrojnymi – to nie jest społeczne ustawienie fabryczne. Jedyny sposób, żeby oswoić jedno z niebezpieczeństw czasów, w których żyjemy – że nie będzie nas stać na dach nad głową – to zapewnienie sobie wspólnotowego poczucia bezpieczeństwa. Nie wiadomo, czy nie spotka nas coś złego, ale możemy przygotować sobie grupę wsparcia, która nas nie odrzuci, niezależnie od tego, w jakiej sytuacji życiowej się znajdziemy.

Osoby w kryzysie – heroicznym wysiłkiem – zachowały gust, zainteresowania i marzenia, i hobby. Kiedy w fundacji pomagającej osobom w kryzysie, Serce Miasta czy Daj Herbatę, ktoś w magazynie ciuchów wyszpera ubranie, które mężowi pani Uli się podoba, od razu twarz mu się zmienia, jakby z powrotem wstępowało w niego życie. Takie fanaberie jak dopasowanie stroju do osobowości to luksus, na który rzadko można sobie pozwolić, kiedy to ubranie jest twoim jedynym domem – ma cię chronić przed urazami, ma cię ogrzewać, ma pomieścić dobytek i jeszcze kamuflować na ulicy na tyle skutecznie, żebyś nie musiał czuć na sobie spojrzeń, jeśli tego nie chcesz.

Oczywiście nikt nikogo przed sobą samym nie uratuje, ale jednak ratuje się, kto tylko może – tak długo, jak ktoś za nimi stoi i uprze się, żeby pomagać. W przypadku osób w kryzysie zwykle wszyscy się odsuwają, często także rodzina. Albo osoby bezdomne same usuwają się z pola widzenia, bo czują wstyd i nie chcą, żeby rodzina dowiedziała się, co się stało.

Dlaczego zakładamy, że komuś nie należy się współczucie? 14 kwietnia obchodziliśmy Międzynarodowy Dzień Osób w Kryzysie Bezdomności – może to dobry pretekst, żeby zapoznać się z tym, co robią pomagające im organizacje. A jeśli ktoś też chciałby je wspierać – przygotować jedzenie na „wydawkę", ale przede wszystkim porozmawiać, może przyjść 17 kwietnia o godzinie 18.00 do Krainy, przy ulicy Puławskiej 67 w Warszawie. Adriana Porowska, pracownica socjalna wspierająca osoby w kryzysie bezdomności i prezeska Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej, opowie o tym, jak można wspierać osoby w kryzysach, w tym w kryzysie bezdomności. Można będzie też obejrzeć film Matyldy Jabłonki „Kobiecość bywa bezdomna" (ten dokument będzie też dostępny dla wszystkich na YouTube). Albo po prostu rozejrzeć się wokoło, po swojej okolicy. Czasem nawet przelotne uważne spojrzenie, które rezerwujecie dla osób uczestniczących w waszym życiu, kogoś, kto jest w rozpaczy, bardzo ucieszy i uczłowieczy. Równoległe miasta nałożą się na siebie i osoba, na którą patrzycie, być może poczuje, że jeszcze nie wszystko stracone.

KAROLINA SULEJ

[FELIETON]

Lis

Słońce władzy

Najgorętszym tematem w amerykańskich mediach było na początku kwietnia całkowite zaćmienie słońca. Co prawda samo zjawisko dało się zobaczyć jedynie z terytorium Meksyku, USA i Kanady, jednak z Polski można było zaobserwować wysyp materiałów objaśniających to rzadkie wydarzenie. Towarzyszyła im karuzela prognoz dotyczących zachmurzenia nieba w dniu kosmicznej atrakcji oraz nieprzebrane ilości praktycznych porad. Doradztwo adresowane do łowców zaćmienia obfitowało w smakowite kąski, jak choćby mrożące krew w żyłach *true stories*, które przytaczano w charakterze przestrogi. Jedną z nich znalazłam w „New York Timesie" – to historia młodej kobiety, która kilka lat temu, krótko po częściowym zaćmieniu z sierpnia 2017 r., zgłosiła się do okulisty z nietypowym problemem: na cokolwiek spojrzała, widziała czarny półksiężyc. Lekarz ustalił, że w czasie zaćmienia kobieta patrzyła na słońce nieuzbrojonym okiem i w rezultacie obraz odsłoniętego brzegu słonecznej tarczy wypalił się jej na siatkówce. Zmiana przypominała piętno, które na skórze pozostawia rozpalone żelazo. Kobieta patrzyła na słońce zbyt długo albo miała pecha, w każdym razie uszkodzenie okazało się w jej przypadku nieodwracalne, mimo że zazwyczaj zaburzenia wzroku spowodowane patrzeniem na słońce ustępują po kilku lub kilkunastu tygodniach, maksymalnie po roku.

Słońce władzy stwarza podobne niebezpieczeństwo: ono też pozostawia po sobie piętno na siatkówce, skutkujące zaburzeniami postrzegania. Zwłaszcza jeśli wsłuchać się w zakulisowe erupcje słowne liderów Trzeciej Drogi pod adresem liderów Lewicy, skojarzenia z zaćmieniem nasuwają się same.

„Ważny polityk Lewicy" ujawnił dziennikarzom, że zaraz po wyborach samorządowych Trzecia Droga zażądała od Lewicy, by w uznaniu swojej klęski zrzekła się jednego z ministerstw. Kręgi zbliżone do Władysława Kosiniaka-Kamysza i Szymona Hołowni miały zasugerować ponadto, że tylko pod tym warunkiem „w grze" pozostanie zagwarantowany w umowie koalicyjnej „fotel marszałka" dla Włodzimierza Czarzastego. Ta osobliwa propozycja nie do odrzucenia miała być „rachunkiem", który liderzy Trzeciej Drogi, ale „głównie Szymon Hołownia", wystawili Czarzastemu za przedwyborczą „awanturę z aborcją". Bo jak wieść niesie, poczuli się – głównie Szymon Hołownia? – „upokorzeni".

Gadanie o wielkiej odnowie demokracji, które przed jesiennymi wyborami wylewało się z ust Hołowni rzeką tak szeroką, że od słuchania robiło się mokro w kapciach, straciło wszelką wiarygodność w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Nie jest to może najlepszy wynik w historii III RP, ale mimo to niezły.

Zasłużona krytyka, jaka spadła na Hołownię po autorytarnej decyzji o zamrożeniu sejmowej debaty nad prawem do aborcji, zraniła jego wypieszczone ego tak dotkliwie, że pociągnęło to za sobą niekontrolowaną zmianę języka. Spod wartości, od których na jesieni miał obrzękłe struny głosowe, wiosną jak psie kupy spod śniegu powyłaziły znane i nielubiane: gra o fotele, ambicja i porachunki. Świeża uraza obudziła resentyment i pragnienie zemsty, stąd dziecinne żądanie zwrotu ministerstwa, podparte deklaracją, że „umowa koalicyjna to nie Pismo Święte".

Ta ostatnia wypowiedź Hołowni – oficjalna, nie kuluarowa – niepokoi najbardziej, bo pokazuje, że najważniejszym punktem odniesienia dla marszałka Sejmu w jego politycznych działaniach pozostaje „święta księga" Kościoła, którego jest członkiem. A skoro tak, to mógłby przecież powiedzieć również, że Pismem Świętym nie jest dla niego Konstytucja RP. Zresztą czy nie to właśnie pośrednio mówi, kiedy wystawia koalicjantom „rachunek" za „awanturę o aborcję"? Najwyraźniej zapomniał – albo nigdy tak naprawdę nie przyjął tego do wiadomości – że nie pracuje w diecezji, tylko w demokracji, gdzie świętą księgą jest ustawa zasadnicza, a nie Pismo Święte. Gdyby o tym pamiętał, gdyby miał tę wiedzę w swojej politycznej krwi, powiedziałby raczej, że umowa koalicyjna to nie Konstytucja.

A Konstytucja to taka niezbyt gruba i niezbyt stara książka, która wiąże akt wyłonienia rządu z wynikiem wyborów parlamentarnych i nic nie mówi o korektach na podstawie wyniku wyborów samorządowych. Zakłada też, co najważniejsze, szacunek sprawujących władzę ustawodawczą, pochodzących z wyboru reprezentantów wobec wyborców i ich potrzeb.

Jako wyborczyni o lewicowych poglądach zgodnie z Konstytucją RP mam prawo oczekiwać, że żaden marszałek czczący prawdy objawione nie będzie próbował unieważnić mojej decyzji wyborczej z powodu osobistej urazy do kolegów z koalicji. Oczekuję też, że domaganie się prawa do aborcji przestanie być nazywane „awanturą" i używane jako karta przetargowa w grze o fotele. Bo nie o męskie ambicje tu chodzi, tylko o podmiotowość i bezpieczeństwo tej przeważającej części społeczeństwa, która posiada macicę.

Oślepiające słońce władzy wydaje się metaforą co-kolwiek zużytą, jednak w Polsce, na gruncie naszej psychologii politycznej, nabiera ona nowego blasku. Bo okazuje się, że tym, co u nas oślepia polityka, nie jest własne zwycięstwo, tylko cudza przegrana. Hołownia, który nosi na siatkówce wypalony obraz Czarzastego, nie widzi słabego wyniku wyborczego Trzeciej Drogi, za który odpowiada głównie Polska 2050. Nie widzi też wyborców i wyborczyń. Na cokolwiek spojrzy, widzi ubranego w kolorowy sweterek starszego faceta, który go „upokorzył".

[FELIETON]

Hartman

Krótki traktat o miłości

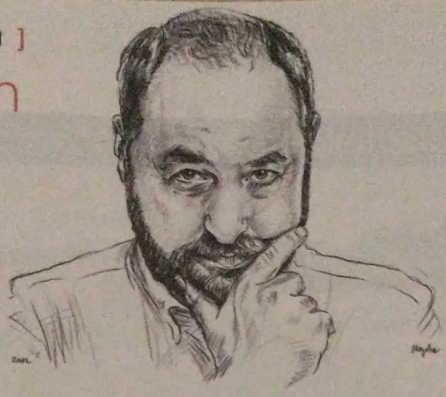

W młodości mamy nadzieję, że kiedyś znajdziemy miłość życia. Osobę, z którą będziemy do siebie pasować, której bezpiecznie i z ufnością będziemy mogli oddać serce, a następnie połączyć z jej życiem nasze życie. A potem się okazuje, że ta cała miłość i te związki działają inaczej, niż nam to młodzieńcza wrażliwość i suflująca jej współczesna kultura podpowiadają. Bo jej ideał, liberalny, lecz zakorzeniony w romantyzmie, jest nieco na wyrost i nie do końca spójny. Oto mamy swych partnerów „wybierać", wiązać się wprawdzie z miłości, lecz jednocześnie w odpowiedzialnym procesie budowania związku na zasadach partnerskich, z równymi prawami obu stron i dojrzałą akceptacją potrzeb, ograniczeń oraz indywidualności partnera/partnerki. I w dodatku akceptując ewentualność, że związek się po jakimś czasie, mimo najlepszych starań, zakończy. Kto potrafi w taki sposób podchodzić do związków, ten uniknie wielkich cierpień i rozczarowań, a po kulturalnym rozstaniu z byłym partnerem czy partnerką będzie mógł żyć w przyjaźni. Taka jest „związkowa" ideologia. Po wierzchu realistyczna, a w środku romantyczna.

Bo to nieprawda, że wyzwoliliśmy się z naiwnego romantyzmu, który zdominował nasze pojmowanie miłości w XIX i XX w. Niby rozumiemy, o co chodzi w uczciwej, partnerskiej relacji, a jednak wciąż cierpimy i zadajemy cierpienia, bo chcemy „czegoś więcej", choć sami nie wiemy czego. W ostatecznym rozrachunku w sztuce kochania idzie nam nie najlepiej, pomimo tylu psychologicznych instruktaży i terapii. Niby to umówiliśmy się na zmianę systemu „mąż zarabia i rządzi, żona rodzi i służy" na „lojalni i równi partnerzy angażują się w budowanie relacji", niby wszystko gra, a jednak płacz i zgrzytanie zębami jak były, tak są. Miłość i cierpienie wciąż nie mogą się rozwieść.

Dlaczego? Część odpowiedzi na to pytanie bez trudu wyczytamy u tych samych psychologów, którzy namawiają nas do przejścia z modelu patriarchalnego na partnerski. Tłumaczą nam, że każda zależność wiąże się z konfliktami i cierpieniem, a każda bliskość niesie ze sobą ryzyko naruszenia psychicznych i cielesnych granic, w których człowiek czuje się bezpiecznie. Nie mówią nam jednakże czegoś równie ważnego, a będącego tabu współczesnej psychologii, która należąc do demokratycznego rynku idei i usług, musi stronić od krytykowania swoich klientów, nauczonych żyć w poczuciu wysokiej wartości własnej. Nie mówią, że przede wszystkim trzeba być uczciwym i dobrym człowiekiem. Klienci nie płacą za moralizowanie, lecz za porady, jak żyć szczęśliwie. Na szczęście (nomen omen) przyzwoitość zwykle zmniejsza ryzyko stresujących konfliktów i sprzyja dobremu samopoczuciu oraz udanym relacjom. Jednakże to właśnie dlatego, że w większości przypadków osoby dobrze poinformowane psychologicznie jednocześnie (i po części właśnie z tego powodu) zachowują się etycznie, po raz pierwszy w dziejach Zachodu zrezygnowaliśmy z moralistyki, zastępując ją napompowaną wartościami i wrażliwością psychologią. Po prostu wierzymy, że etyka jest w niej zaszyta.

Niestety, przywieszka etyki w pompowanym przez psychologów balonie nie jest w stanie zapewnić mu wysokich lotów. Psychologizowanie bez moralizatorstwa ma krótki oddech i szybko napotyka granice tabu, których przekroczenie byłoby dla psychologicznych kaznodziejów samobójcze. Nie dotyczy to jednakże filozofów, którzy mają więcej wolności i więcej odwagi, gdyż nie posiadają żadnych zbiorowych interesów, a ich osobista renoma nawet zyskuje, a nie traci na mówieniu niewygodnych prawd. A niewygodna prawda o miłości jest taka, że nie każdy jest godny kochania i nie każdy jest na tyle szlachetny, aby być do kochania zdolny.

Miłość nie jest dla byle kogo, choć „każdemu wolno kochać". „Wolno" w tym sensie, że może, a nawet powinien stawać się kimś do miłości zdolnym i miłości godnym.

Owszem wiadomo, że poważne miłosne zaangażowanie przechodzi przez fazę fascynacji i idealizacji, po czym następuje akceptacja ukochanej osoby wraz z jej wadami i ograniczeniami. Prawdziwej miłości nawet specjalnie nie wybieramy. Podsuwają nam ją okoliczności, a także pewna komplementarność cech i biografii wybranka czy wybranki serca z naszymi wspomnieniami i uwikłaniami z czasów dzieciństwa. Do tego wiadomo, feromony, „fiksacja na obiekcie", oksytocyna, czyli po prostu rodząca się i umacniająca z czasem więź seksualna. Po osiągnięciu pewnego punktu krytycznego przyjemna i ekscytująca relacja nabiera cech zależności, pojawiają się też zobowiązania, a różne fragmenty życia dwóch nowo „pokochawszych się" zaczynają do siebie przylegać i łączyć się ze sobą.

I wszystko to działa, sprzyjając obopólnemu szczęściu, jeśli tylko na przeszkodzie nie staną złośliwości losu i wewnętrzne skazy. Te drugie są najgroźniejsze. Bo biedę i choroby miłość potrafi przetrwać, jeśli tylko nie opiera się na iluzji. Gdy jednak okaże się, że pokochaliśmy osobę małą, nieuczciwą, nieszczerą, samolubną, interesowną, niedojrzałą i niestabilną, miłosny eter szybko zaczyna się ulatniać. Szpetny charakter i moralna mizeria, choćby wcielone w piękne ciało, w końcu obrzydzają i odstręczają nawet ślepo zakochanych. Na dłuższą metę nikt nie jest tak zaślepiony, żeby nie dostrzec w drugim człowieku podłości, zdrady, a przede wszystkim braku miłości wzajemnej. I odwrotnie: również na piękny charakter, szczere obejście i głęboką uczciwość drugiego człowieka nikt nie pozostaje obojętny. Wniosek zaś płynie z tego tylko jeden, za to bardzo optymistyczny: bądź dobrym człowiekiem, to i miłość się znajdzie.

JAN HARTMAN

Zbigniew Mikołejko 1951–2024

Wierzący wśród niewierzących, niewierzący wśród wierzących.

W wieku 72 lat odszedł prof. Zbigniew Mikołejko, filozof i historyk religii, związany z Polską Akademią Nauk, pedagog, eseista, poeta. Centrum jego zainteresowań była religia. Poświęcił jej kilkanaście książek (m.in. „Żywoty świętych poprawione", „Emaus oraz inne spojrzenia do wnętrza Pisma", „We władzy wisielca") i setki artykułów. Nazywany „nadwornym polskim religioznawcą", o religii najczęściej mówił w wywiadach. O sobie zaś – że jest wierzącym wśród niewierzących i niewierzącym wśród wierzących. Gdy spytałam, kim jest, kiedy jest sam, odpowiedział w charakterystycznym dla siebie stylu: „Wtedy jestem najbardziej zabłąkany między młotami wiary i niewiary". I choć przyznawał, że do niewiary mu bliżej, potrafił rozumieć racje obu stron. Jednak nie tylko dlatego stał się postacią medialną.

Warto było z nim poruszać każdy temat, bo był erudytą absolutnym. Na łamach POLITYKI rozmawialiśmy o świętych i o filozofach, ale też o kotach, które kochał miłością absolutną („jestem kociarzem zawołanym i bezkrytycznym" – mawiał), czy o papierosach. A palił z upodobaniem i uporem, bo jak deklarował – w czasach drakońskich zakazów – nie da sobie odebrać wolności wyboru. Nie unikał tematów politycznych, a potrafił patrzeć na naszą rzeczywistość w sposób przenikliwy. Jest autorem sformułowania „religia smoleńska"; jako pierwszy w obrzędach odprawianych po katastrofie dostrzegł karykaturę kultu.

Miał w sobie pasję uczenia, bezinteresownego dzielenia się wiedzą. Nie ograniczał się do sal wykładowych. Dla swoich uczniów organizował wyjazdy naukowe, udzielał się na Uniwersytetach Trzeciego Wieku. Do końca pisał. Niedawno ukazał się jego erudycyjny esej – wstęp do libretta opery „ahat ili. Siostra bogów", na motywach powieści Olgi Tokarczuk. Planował kolejne książki.

W ostatnim wywiadzie dla POLITYKI rozmawialiśmy o oswajaniu śmierci. To był czas pandemii. „Jak wszyscy, boję się ostatecznego rozsypania. Ale też mam świadomość, że stojąc nad otchłanią, jestem do czegoś zobowiązany" – deklarował. – „Do pracy, do prób myślenia, pisania, tworzenia, uczenia. Musimy bowiem zadzierzgnąć sens, żeby nie popaść w absolutną niewolę śmierci. Ona przecież i tak nastąpi. Ale ważne jest to, co dzieje się między naszym wrzuceniem w świat, bez naszego zachcenia przecież, i wykopaniem ze świata, też bez naszej woli. Stoi więc przed nami zadanie nadania sensu, budowania pewnej rzeczywistości, symbolicznej i zarazem realnej, wspólnej z innymi, bo samotnie nie da się tego zrobić".

Będzie Cię nam brakowało, Profesorze.

JOANNA PODGÓRSKA

REKLAMA

1,5%
dla Fundacji Tygodnika POLITYKA

KRS: 0000104137

Zachęcamy do przekazania **1,5%** podatku dochodowego za rok 2023 na cele statutowe naszej Fundacji, przede wszystkim na stypendia dla młodych naukowców.

W tym celu wystarczy w deklaracji podatkowej podać numer KRS naszej Fundacji: **0000104137** oraz przekazywaną kwotę, która nie może przekroczyć 1,5% rocznego podatku.

Stypendia jako **Nagrody Naukowe POLITYKI** przyznamy w 2024 roku już po raz 24. Jest to możliwe w dużym stopniu dzięki wpłatom naszych Czytelników, za które bardzo dziękujemy!

Więcej na stronie:
polityka.pl/stypendia

FUNDACJA TYGODNIKA POLITYKA

Gdzie po POLITYKĘ

Drodzy Czytelnicy, uprzejmie informujemy, że w związku ze zmianami organizacyjnymi w Ruch S.A. od 24 kwietnia do 7 maja w sieci sprzedaży Ruch S.A. oraz na stacjach benzynowych Orlenu mogą wystąpić utrudnienia w nabyciu POLITYKI oraz naszych dwóch miesięczników popularnonaukowych, tj. „Wiedzy i Życia" oraz „Świata Nauki". Wszystkie nasze tytuły w tym czasie na pewno znajdą Państwo w licznych punktach sprzedaży Kolportera S.A., salonikach prasowych Inmedio

i Relay, punktach sprzedaży Garmond Press S.A., salonach Empiku, sklepach zorganizowanych sieci handlowych oraz na innych stacjach benzynowych.

Zapraszamy również do Sklepu POLITYKI. Na stronie **sklep.polityka.pl** bez wychodzenia z domu można w łatwy sposób nabyć prenumeratę papierową naszego tygodnika w połączeniu z dostępem cyfrowym do serwisu polityka.pl. Dzięki prenumeracie pakietowej Druk + Cyfra mają Państwo możliwość lektury POLITYKI w wersji zarówno papierowej, jak i cyfrowej.

© Christoph Soeder

Wizje mediów

Nowe formy dziennikarstwa, współczesne relacje z wojen i miejsc zapalnych, sieci zależności tworzone przez nowe reżimy autorytarne w naszej części Europy, a wreszcie rola – i zagrożenia – sztucznej inteligencji. Tematów do rozmowy na Mixerze, czterodniowym festiwalu organizowanym przez grupę Outriders (laureaci Paszportu POLITYKI z ubiegłego roku), było dużo. Formuła spotkań – nowatorska. Na multimedialnym pokazie można było obejrzeć prace Rona Haviva z agencji VII, czołowego fotoreportera dokumentującego najgorętsze konflikty współczesnego świata. Christo Buschek, laureat Pulitzera, przyjechał do Warszawy opowiedzieć o prowadzonym wspólnie z „Der Spiegel" i Paper Trade Media śledztwie dziennikarskim dotyczącym danych, którymi „karmiono" algorytmy AI. Rozmowę z korespondentem „The Atlantic" Graeme'em Woodem – komentującym m.in. sytuację na Bliskim Wschodzie – poprowadził współpracujący z POLITYKĄ Mateusz Mazzini. A panel poświęcony kulturze cyfrowej – temu, jak się o niej pisze, a jak pisać powinno – z udziałem **Agnieszki Słodownik** i **Pawła Schreibera** poprowadził **Bartek Chaciński**, wicenaczelny POLITYKI.

REDAKCJA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

wydawca POLITYKA Spółka z o.o. SKA
adres ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Joanna Solska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władyka

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pisiewski, Bartek Chaciński,
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
Katarzyna Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA
Olga Jeszczyszczak tel. 22 451-60-22
Igor Kwiatkowski tel. 22 451-61-84

Wydania specjalne:
Urszula Bętkowska tel. 22 451-60-15
Joanna Zaremba tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTATORZY
Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemiński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władyka, Jacek Żakowski

DZIAŁ KRAJOWY
Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Ćwieluch, Edyta Gietka,
Katarzyna Kaczorowska,
Marcin Kołodziejczyk,
Violetta Krasnowska,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY
Joanna Solska (red. działu),
Adam Grzeszak,
Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY
Łukasz Wójcik (kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domosławski,
Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY
Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.), Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarcman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKTPULSAR.PL
Karol Jałochowski (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORYCZNY
Marian Turski (kier.), Tomasz Targański

STALI FELIETONIŚCI
Sylwia Chutnik, Jan Hartman, Ryszard Koziołek,
Renata Lis, Sławomir Mizerski, Agata Passent,
Grażyna Plebanek, Stanisław Tym, Marcin Wicha

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Zofia Leśniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI
Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44

PION CYFROWY
Joanna Chmielecka (dyr.)

POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Żelazińska (z-ca, media społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.)
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE
RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.)
Halina Cibor (gł. księgowa)

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA
Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajtowska,
tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY
RECEPCJA tel. 22 451-61-36,
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.
Przedruki: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad/Graf
www.izbaprasy.pl
PBC
Leipa
PRINTED IN POLAND

RELACJE

ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

Mury zamiast mostów

Kąśliwe komentarze, ciche dni, foch – bierna agresja jest jak wbijanie szpilek w najbardziej wrażliwe miejsca osoby, w którą jest kierowana.

Zjawisko jest opisywane co najmniej od czasu drugiej wojny światowej. W 1945 r. pułkownik amerykańskiego wojska William Menninger raportował o coraz częściej obserwowanej wśród żołnierzy swoistej niesubordynacji. „Pasywne środki, takie jak dąsanie się, upór, zwlekanie, nieskuteczność i opóźnianie" były interpretowane przez wojskowego psychiatrę jako odpowiedź na stres i frustrację.

Termin „pasywna agresja" trafił do pierwszej edycji klasyfikacji zaburzeń psychicznych (DSM-I) jako jedno z zaburzeń osobowości. Choć w najnowszej edycji podręcznika terminu się pozbyto, samo zjawisko wydaje się w ostatnich latach wręcz nasilać, przy czym nie musi to być wskaźnik do diagnozy psychiatrycznej.

Jak każdy rodzaj agresji, także ta pasywna wiąże się ze złością, frustracją czy zawiścią. To normalne reakcje organizmu i nośniki ważnych informacji, bo podłożem złości często jest zranienie, lęk przed odrzuceniem lub smutek. Uczucia te informują o przekraczaniu granic, o poczuciu zagrożenia albo braku szacunku – są zatem reakcją adaptacyjną. Problemem może być za to zachowanie, które wynika z tych emocji.

Anna Cyklińska – psycholożka, certyfikowana psychoterapeutka poznawczo-behawioralna. Autorka książki „Przewodnik po emocjach. Jak lepiej rozumieć własne uczucia". Członkini Fundacji Można Zwariować. Popularyzuje wiedzę o emocjach i zdrowiu psychicznym na swoim Instagramie @aniacyklinska.

Agresywne następstwa złości, również takie jak obrażanie się, sarkazm i komunikaty typu „domyśl się", są często usprawiedliwiane jako reakcja na prowokację, na zasadzie: „Bo ty mnie pierwszy wkurzyłeś". Współczesna psychologia empiryczna podważa tę logikę. Lisa Feldman Barrett, badaczka i prekursorka teorii konstruowanej emocji, pisze: „Emocje nie są reakcją na świat". Nie jesteśmy ich biernymi odbiorcami, czynnie je konstruujemy. Co więcej, reakcje emocjonalne tworzymy na podstawie naszych interpretacji, które są obarczone doświadczeniami z przeszłości. Często powielamy wyuczone lub zaobserwowane reakcje emocjonalne.

Co zatem prowadzi do konstruowania bierno-agresywnego zachowania? Tak jak w przykładzie amerykańskich żołnierzy walczących na odległych kontynentach – frustracja i jednoczesny przymus posłuszeństwa. Analogiczne sytuacje możemy obserwować dziś w miejscach pracy. Łatwiej odwlekać wykonanie zadania, na które ktoś czeka, niż powiedzieć o swoim niezadowoleniu ze współpracy.

Ale możemy też błędnie interpretować czyjeś zachowanie jako bierno-agresywne. Na przykład jeśli twój poprzedni partner lub partnerka miał w zwyczaju trzaskać drzwiami w trakcie kłótni, to w następnej relacji znajomy odgłos będzie impulsem do powstawania podobnych interpretacji i podążających za nimi uczuć. Nawet jeśli tym razem to był tylko przeciąg. Sprawy nie ułatwia też komunikacja online, w większym stopniu pozbawiona emocji i zostawiająca szersze pole do interpretacji. To, co brzmi żartobliwie w bezpośrednim kontakcie, w mailu może zostać odebrane jako sarkastyczne. Porada lub troska, z którymi wiąże się charakterystyczna modulacja głosu, na ekranie łatwo zmieni się w wytykający błędy bierno-agresywny komentarz. Spirala emocji nakręca się, reakcji w typie biernej agresji lawinowo przybywa.

Z jednej strony wyścig szczurów, stres i trudności w regulacji emocji mogą sprawiać, że coraz więcej osób usprawiedliwia swoje zachowania odpowiedzią na odbieraną pasywną agresję, zamiast wyrażać emocje w dojrzały sposób. Wpływa na to także budowanie społeczeństwa, w którym aż zanadto stawiamy granice. Tworzymy mury zamiast mostów. Mówimy: „nie mam na to przestrzeni", zasłaniając się asertywnością, zamiast przyznać: „nie chce mi się".

Z drugiej strony przesycenie poppsychologicznymi treściami może prowadzić do nadmiernego wyczulenia – swoistego „radaru biernej agresji" i wyciągania fałszywych wniosków. Spolaryzowane internetowe bańki zachęcają nas do oburzania się na kolejne afery, a też poza nimi doszukujemy się złośliwości i manipulacji.

Jak nie dać się zwieść biernej agresji, zarówno jako nadawca, jak i odbiorca wypowiedzi? Z pomocą przychodzi czas. Mając na uwadze ludzką tendencję do tworzenia automatycznych interpretacji tego, czego doświadczamy, warto poświęcić kilka sekund więcej na skonstruowanie swojej świadomej reakcji emocjonalnej. ■

© BASIA DZIEDZIC; ARCHIWUM PRYWATNE, AR-KARROT KOMMANDO

WIRAL

Metoda na Mentzena

Tak jak seniorów złodzieje próbują oszukać metodą „na wnuczka", tak internetowi oszuści sięgają po prawicowych idoli. Kiedy Zbigniew Ziobro umieścił w portalu X swoje zdjęcie w szpitalnym łóżku, część nieprzychylnych komentatorów uznała, że jedynie symuluje chorobę (raka przełyku), żeby uniknąć odpowiedzialności za poczynania z Funduszem Sprawiedliwości. To przykład skrajnej nieufności wobec polityka; na jego drugim biegunie jest skrajne zaufanie, z którego korzystają oszuści.

Od kilku tygodni bohaterem reklam w mediach społecznościowych jest Sławomir Mentzen, poseł Konfederacji i biznesmen. Najpierw użytkownikom ukazywały się informacje o jego aresztowaniu, potem zdjęcia ze szpitala, wreszcie – informacje o śmierci. Żadna z tych wieści oczywiście nie była prawdziwa, chociaż wszystkie naśladowały wygląd newsów z głównych portali. Kto kliknął w link, dostawał spreparowany artykuł o tym, że polityk zdradził sekret wielkich pieniędzy, przez co musiał zostać uciszony – i dalszy odnośnik do oszustwa opartego na „inwestycjach w kryptowaluty".

To wiral, któremu bliżej do komputerowego wirusa, ale jego forma jest bezpośrednio związana z kulturą internetu. Oszuści wykorzystują postać Mentzena dokładnie w taki sam sposób, w jaki swoją internetową (i polityczną) personę zbudował sam Mentzen. Polityk stał się popularny na TikToku dzięki prostym receptom i obietnicom dostatniego życia. Podobnie działał jego poprzednik Janusz Korwin-Mikke. W serwisie YouTube popularne były filmiki o tym, jak „Korwin masakruje lewaka" – wyjęte z kontekstu fragmenty telewizyjnych debat, w których polityk rzuca ciętą ripostę. Tak jak prawicowy populizm przyciąga naiwnych młodych ludzi, tak oszuści specjalnie wyszukują łatwowierne ofiary. Obsceniczna nieudolność spamerów (to, że zdjęcia Mentzena są spreparowane, widać na pierwszy rzut oka) jest elementem ich taktyki wyszukiwania najbardziej podatnego celu.

Nie powinno dziwić, że wybór prawicowego idola jest pierwszym krokiem zarzucenia takiej sieci. Popularnym awatarem oszustów na Zachodzie jest Elon Musk, przedsiębiorca, który sławę przyszłego zbawcy ludzkości (dzięki elektrycznym autom i planowi kolonizacji Marsa) wymienił na internetowy trolling. Jego proste prawdy o życiu trafiają do ludzi omamionych jego sukcesami, którzy potem dają się nabrać, gdy ktoś w imieniu Muska rozdaje pieniądze „z okazji całkowitego zaćmienia słońca" – i kradnie portfel kryptowalut.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Questy w realu

Kto zagłosował w wyborach, może sobie zapisać kolejne wykonane zadanie. Czyli quest, mówiąc językiem gier RPG, wcale niemłodym – pierwsza taka gra, „Dungeons & Dragons", ma pół wieku – ale coraz popularniejszym. Po wyborach 15 października popularny na platformie X był komentarz: „Quest wyborczy zrobiony" z animowanym kadrem z „Grand Theft Auto", tym razem gry wideo. Bo stareńkie „D&D" ukształtowało to, jak się mówi w całej dzisiejszej popkulturze. Quest jest tu przygodą, misją, zleceniem. Da się to przenosić do zwykłego życia, zwłaszcza gdy to ostatnie traktuje się jako przygodę. W tym sensie hasła używała w swojej piosence głośna Ekipa (ta od lodów i YouTube'a): „W realnym świecie my robimy questy/ Idziemy tam, gdzie nas niosą podeszwy, wierz mi". W tę deklarację uwierzyć łatwo – działań Ekipy nie poprzedza jakaś wyjątkowo głęboka refleksja. Jej członkowie nie lubią też ciężkich zadań, „questów z Sumeru", jak je określa pokolenie, w którym znajomość mitologii („Syzyfowe prace") bywa słabsza niż znajomość gry „Genshin Impact", a tu region Sumeru stał się symbolem zadań nudnych i mozolnych.

Questy – zarówno w grze, jak i w życiu – mogą być główne i poboczne. O tych drugich rapuje w utworze „Dopamina" Aleshen: „Side quest, baby, to jest oneshotować oppów". Jego poboczne zadanie to każdego przeciwnika (opp – od ang. *opponent*) szybko neutralizować (*one shot* to jeden strzał). Ale uwaga, bo w popularnej podczas pandemii grze „Among Us"

zadania przydzielane poszczególnym postaciom to po prostu *tasks*. Czyli taski. Jak w najnowszej piosence **Pablopavo „Maski"**, która odnosi się właśnie do okresu pandemii: „Maski na paszczach, na paszczach maski/ Requesty, taski, dropsy i flaszki" (dropsy to narkotyki w tabletkach). Pablopavo opisuje rzeczywistość poprzez tytuły gier wideo: „Śmierci jak w »Doomie«, pogrzeby w »Simsach«". Chodzi zapewne o to, że śmierci było tak dużo, a pochówki śledziliśmy tylko na ekranie. Na szczęście ten quest, jak się wydaje, dobiegł końca. Za to kandydaci na prezydentów miast, którym nie udało się *oneshotować oppów*, mają przed sobą drugą turę. Czyli kolejny quest.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Kampania reklamowa śmierci
W esemach memy aż w mózgu wierci
Pablopavo i Ludziki, Maski, 2024 r.
esemy = SM = social media, media społecznościowe

© BASIA DZIEDZIC, ARCHIWUM PRYWATNE, AN, KARROT KOMMANDO

Błyskotliwi panowie

Większość słów na określenie biżuterii jest rodzaju męskiego: wisiorek, pierścionek, sygnet, kolczyk. Ale nie tylko z tego powodu w modzie dla panów obserwujemy jubilerskie wzmożenie.

MODA

Nadchodzi ten cudowny moment w roku, gdy odrzucamy styl warzywny (czyli ubieranie się na cebulkę) i możemy łysnąć łydką, ramieniem, albo i kawałkiem dekoltu. W tym sezonie najchętniej ozdobionym kosztownościami – i dotyczy to każdej zadeklarowanej płci oraz osób niebinarnych, bo tu nie ma podziałów ani nierówności. Chociaż przez dłuższy czas były. Kultura usilnie próbowała nam wmawiać, że biżuteria to rzecz kobieca, a kto jest osobą niekobiecą i nosi coś więcej niż zegarek, powinien być za to sekowany. Dziś dzięki takim modnisiom i arbitrom współczesnej elegancji jak **Timothée Chalamet**, Paul Mescal czy Harry Styles (z takim nazwiskiem jest wręcz na swoją rolę skazany) kończy się czas segregacji.

Pierwszy wymieniony ma nawet specjalny kontrakt ze słynną jubilerską potęgą, czyli z Cartierem – drugim „najlepszym przyjacielem dziewczyny", wymienionym przez Marilyn Monroe w słynnej piosence. Do współpracy, czy jak woli mówić młodzież „kolaboracji", doszło przy okazji premiery filmu „Wonka" – złotnicy Cartiera zaprojektowali i wykonywali przez 450 godzin naszyjnik zrobiony z 964 kamieni szlachetnych, w tym szmaragdów i niebieskich opali, który następnie monsieur Chalamet nosił na londyńskiej premierze filmu. Cacko było porównywane do cukierków, oczywiście tych zapakowanych w bardzo, bardzo błyszczące sreberka. Kolejna kosztowność powstała przy okazji premiery drugiej części „Diuny", w której aktor gra główną rolę, dziedzica domu Atrydów – poza ekranem należała mu się więc też królewska oprawa. Z daleka oba naszyjniki może wyglądają trochę podobnie, ale ten drugi też został stworzony w przemyślany sposób. Wisior kolorem i fakturą ma nawiązywać do pustyni Arrakis, niezwykle istotnej dla fabuły filmu. „Obserwuję zwiększające się zainteresowanie tym, jak biżuteria została zaprojektowana i co reprezentuje sobą marka. Wcześniej panowie podchodzili do sprawy pragmatycznie – jaki styl na jaką okazję" – opisuje w „Guardianie" zmiany w podejściu do błyskotek modny jubiler Bleue Burnham. A jak donosi BBC ustami przedstawiciela firmy biżuteryjnej Eternate z Nowego Jorku, sprzedaż kosztowności dla panów wzrosła dwukrotnie w ciągu ostatnich trzech lat.

Nie trzeba jednak iść w taki eksces jak Timothée Chalamet. Można nosić na szyi perły jak Harry Styles pozujący dla Davida Hockneya. Naszyjnik może być po babci albo z targu staroci, co kto lubi. Pomysły można zgapić od znanych i lubianych albo z wybiegów mody – Gucci w tym sezonie proponuje ciężki łańcuch przypominający ten używany do kotwiczenia statków, Dolce & Gabbana zachowawczo doradza broszki wpięte w klapy marynarek, a Louis Vuitton sufluje noszenie ozdobnych bolo, jak kowboje, kunsztownych obroży albo kolczyków.

Projektant tego ostatniego domu mody, a przy tym znany raper Pharrell Williams sam zalicza się do wielbicieli biżuterii, tylko że w wydaniu XXL. Zresztą to właśnie raperzy należeli do cennej męskiej mniejszości, która nie wstydziła się noszenia błyskotek, a nawet rywalizowali na nie między sobą. Co więcej, wprowadzając do mody gigantyczne naszyjniki czy pierścienie, rozpropagowali także, 20 lat temu, określenie służące do ich opisu – „bling-bling".

Ola Salwa – absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Pisze o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Przepych w męskiej biżuterii ma zresztą głębokie korzenie historyczne – tak naprawdę błyskotki były neutralne płciowo, chociaż nie klasowo – wystarczy pomyśleć o egipskich faraonach, a z czasów nowożytnych choćby o brytyjskim monarsze Henryku VIII, który kolekcjonował nie tylko żony. Dopiero pooświeceniowy ruch Great Male Renunciation, czyli odrzucenia w końcówce XVIII w. przez bogatych mężczyzn z Zachodu ozdobnej, wyrazistej garderoby, zdjął panom z ciał błyskotki. Męska moda postawiła wtedy na stonowanie, jakość materiałów i elegancję kroju. Dziś nazwalibyśmy to „quiet luxury" – dyskretnym luksusem (POLITYKA 18–19/23).

Tymczasem modne nowości sięgają i po męski serdeczny palec: na rynku pojawiły się pierścionki zaręczynowe dla panów, które kupują również panie. Inkluzywność i równouprawnienie dogoniły także rynek złotniczy. ■

© NEIL MOCKFORD/FILMMAGIC/GETTY IMAGES; ARCHIWUM PRYWATNE; MICHAEL DUNNING/GETTY IMAGES; LESZEK ZYCH

ZDROWIE

Zetki lubią pospać

Młodzi ludzie coraz częściej kładą się spać wcześnie i śpią nawet dziesięć godzin na dobę. Warto brać z nich przykład?

Zachodnie media donoszą, że coraz więcej młodych ludzi kładzie się spać bardzo wcześnie – nawet ok. 21.00. „21.00 to nowa gorąca pora dnia", ogłasza „The Washington Post". Niektóre zetki (urodzeni po 1995 r.), i to akurat niewesoła konstatacja, są tak rozgoryczone rzeczywistością, niepewnością i brakiem kontroli nad kluczowymi aspektami swojego życia, że nie wykazują zainteresowania nocnymi zajęciami ani atrakcjami.

Tim Dowling z „Guardiana", który też przyjrzał się sprawie, zauważa, że z wiekiem owa 21.00 też coraz częściej jest godziną powrotu do domu i wytchnienia niż szukania atrakcji gdzieś w mieście. Internet jest pełen memów o milenialsach (trzydziestoparo–czterdziestolatkach) postrzegających propozycję imprezowania o 23.00 jako zamach na ich życie. Jednak domowy relaks w tym przypadku nie musi oznaczać koniecznie spania. Tymczasem przebadani młodzi Amerykanie twierdzili, że wieczorami nic dobrego już i tak ich nie spotka.

O ile zupełna rezygnacja z życia towarzyskiego (albo czasu dla siebie) zdrowiu nie służy, o tyle choćby powiązane z tym ograniczanie alkoholu i innych używek – już jak najbardziej. Zerwanie z kulturą imprezowania – choćby na rzecz snu – ma więc mocne strony i przynosi oczywiste korzyści dla zdrowia. Pytanie, czy im dłużej śpimy, tym jesteśmy zdrowsi – i czy ze spaniem też można przesadzić.

Zdrowi dorośli najczęściej potrzebują siedmiu–ośmiu godzin snu na dobę. To jednak na tyle indywidualna sprawa, że z łatwością znajdziemy ludzi, którzy śpią po sześć czy dziewięć godzin i nadal mają się świetnie. Nauka zna zresztą śmiałków eksperymentujących z tzw. snem polifazowym, polegającym na tym, że zamiast jednej długiej sesji snu zapada się w kilka drzemek we w miarę stałych porach, co składa się w sumie na dwie do trzech godzin snu na dobę. I niektórym osobom to wystarcza. Ale może nie próbujcie tego w domu. Taki reżim dla większości ludzi jest nie do utrzymania.

Górna granica spania z kolei zdaje się leżeć właśnie powyżej dziesięciu godzin snu na dobę. Jeśli zdarza się to co noc przez dłuższy czas, może świadczyć o jakiejś dokuczliwości czy chorobie i warto się temu przyjrzeć. Są wyjątki i strażacy, żołnierze, sportowcy – osoby pracujące w systemie 24- czy 48-godzinnym – mogą doraźnie potrzebować wydłużonego snu. Spłacają nim „dług senny" zaciągnięty u samych siebie, gdy musieli dotrwać do końca obowiązków.

Od sztywnych wytycznych ważniejsze jest znalezienie własnego rytmu, bo mózg kocha regularność. Jeśli codziennie robilibyśmy te same rzeczy o stałych porach, byłby wniebowzięty. Zawdzięczamy to m.in. podwzgórzu, cząstce mózgu ważącej zaledwie cztery gramy. Ma ono kluczowy wpływ na nasze działania, instynktowne reakcje (typu walka, ucieczka), lecz przede wszystkim reguluje nam rytm dobowy. Leczenie klinicznej bezsenności też zaczyna się właśnie od wrzucenia snu w pewne powtarzalne ramy (czasem zaskakujące dla pacjenta, bo terapeuta może zarządzić, żeby spędzać w łóżku mniej czasu niż dotychczas).

Julian Sobiech – fizjoterapeuta, dietetyk, absolwent Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Twórca „Jak dożyć setki", portalu (i profilu na Instagramie) o długim życiu w zdrowiu i autor książki o tym samym tytule.

Gdy już wyczujemy, ile powinniśmy spać, pracujemy nad tym, kiedy spać. Każdy człowiek ma własny tzw. chronotyp. Przy czym pora wstawania nie ma tu znaczenia. W powszechnej opinii skowronek to ktoś, kto wstaje wcześnie, a sowa dużo później. Ale równie dobrze można spotkać skowronka wstającego o dziewiątej i sowę budzącą się o szóstej. O przypisaniu do konkretnej szufladki decyduje bowiem to, po jakim czasie od przebudzenia osiąga się szczyt zdolności fizycznych i intelektualnych. Skowronki doświadczają go tuż po otwarciu oczu, a sowy – kilka, a czasem nawet kilkanaście godzin później. A jest jeszcze chronotyp mieszany, pośredni, z osiąganiem szczytu aktywności gdzieś pomiędzy.

Nie ma pewnie nic złego w tym, że zetki kładą się spać wyjątkowo wcześnie, pod warunkiem że nie kryją się pod tym inne problemy, związane np. ze zdrowiem psychicznym. A czy warto brać z nich przykład? Autor „Guardiana" testował ten tryb życia na sobie przez tydzień i głównie gapił się w sufit. Doszedł do wniosku, podpierając się opiniami lekarzy, że najlepiej się śpi, kiedy się o tym nie myśli. W swoim rytmie. ■

© NEIL MOCKFORD/FILMMAGIC/GETTY IMAGES, ARCHIWUM PRYWATNE, MICHAEL DUNNING/GETTY IMAGES, LESZEK ZYCH

Paintball może być świetną zabawą, ale też sportem. Wiosną ruszają międzynarodowe rozgrywki, w których Polacy mają duże apetyty i duże szanse na sukces.

Trening na farbie

RUCH

Kolorowy nabój może lecieć z maksymalną prędkością 90 metrów na sekundę. Pistolet, który go wystrzeliwuje, to marker, przez zawodników nazywany też klamką. Został wymyślony w Stanach Zjednoczonych w latach 50. XX w. i pierwotnie służył do znakowania drzew oraz bydła. Podobno właśnie taki model do zadań gospodarskich stał się inspiracją dla grupy znajomych, którzy w 1981 r. zorganizowali pierwszą grę. Legenda głosi, że w szranki stanęli wówczas zawodnicy z miasta i ze wsi, by sprawdzić, kto lepiej poradzi sobie w survivalowych warunkach.

Naboje bywają żółte, zielone, niebieskie lub różowe, a niepisana zasada mówi, że mogą mieć dowolny kolor z wyjątkiem czerwonego. Bo choć paintball budzi militarne skojarzenia, krwawe ślady nie są pożądane. Niektórzy uważają, że wojskową otoczkę paintball zawdzięcza przede wszystkim wersji rekreacyjnej, która zyskała popularność w latach 90. – *Ludziom wydaje się, że to bieganie po lesie i strzelanie do szefa* – usłyszałam od jednej z zawodniczek. Swoje zrobiły też stroje, bo uczestnicy takich zabaw często w ramach ubioru ochronnego noszą mundury. Może dlatego, żeby mogli się poczuć jak komandosi podczas ważnej misji, a może chodzi po prostu o względy praktyczne i finansowe: ciuchy z demobilu są znacznie tańsze niż specjalistyczne stroje do paintballa.

Ksawery Wietrzykowski, zawodnik Virst Factory Łódź, najlepszej drużyny paintballa w kraju, oraz reprezentacji Polski najpierw U16 (czyli do lat 16), a teraz U19, zna dobrze obie wersje gry, sportową i rekreacyjną i uważa, że zapewniają zupełnie inne emocje: – *Gdy gra się w lesie lub na polu rekreacyjnym, to jest większa przestrzeń i w związku z tym wolniejsze tempo. Używa się też markerów, które strzelają o wiele wolniej* – tłumaczy. W wersji sportowej oprócz prędkości liczą się jeszcze zgranie drużynowe i strategia. Ksawery porównuje rozgrywkę do dynamicznej gry w szachy: – *Pierwszy etap to spotkanie z trenerem i całym teamem przed wejściem na boisko. Trener musi rozstawić swoje pionki tak, by razem były w stanie pokonać przeciwnika.* Drugim etapem nazywa 10 sekund przed rozpoczęciem gry: wyrzut adrenaliny i endorfin. Potem pada sygnał do startu i pięć osób rusza przed siebie. Ich celem jest zdobycie bazy przeciwnika.

– *Istnieją rozgrywki jedno-, trzy-, pięcio-, siedmio- i dziesięcioosobowe. Ale najważniejsza europejska liga to ta dla pięciu zawodników* – tłumaczy tata Ksawerego, Maciej Wietrzykowski, który razem ze swoim ojcem zakładał jedną z pierwszych drużyn **sportowego paintballa** w Polsce, a dziś wspiera syna i jego pasję, także finansowo. Bo paintball to sport napędzany zaangażowaniem zawodników i ich rodzin, pozbawiony większego wsparcia sponsorów. Nawet najlepsi grą zajmują się raczej po pracy. A tych najlepszych jest w Polsce coraz więcej, o czym świadczą wyniki drużyn. – *W zeszłym sezonie z reprezentacją Polski U16 na mistrzostwach świata byliśmy o włos od złota. Ostatecznie zajęliśmy drugie miejsce* – Ksawery jest naprawdę dumny. Reprezentacja Polski U19 wywalczyła wówczas brąz, a seniorska uplasowała się tuż za podium. W rozgrywkach klubowych Polska też odnosi sukcesy. Virst Factory Łódź plasuje się na trzecim miejscu w Europie, co w zeszłym roku zapewniło jej udział w drużynowych mistrzostwach świata w Stanach Zjednoczonych – kolebce paintballa i mekce tego sportu.

Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od dwóch lat jako wolontariuszka wyprowadza psy w warszawskim schronisku Na Paluchu.

Wiosną w Polsce rozpoczynają się treningi „na farbie", czyli na boiskach pod gołym niebem, gdzie można używać nabojów z pigmentem. W halach stosuje się raczej wielorazowe gumowe kulki. W połowie kwietnia rusza polska liga PXL, a w maju rozpoczynają się europejskie rozgrywki ligowe. Ich kulminacją jest turniej w Dreux pod Paryżem, połączony z mistrzostwami świata reprezentacji krajowych. Ksawery wystartuje w nich w drużynie U19. – *Będziemy walczyć o złoto* – deklaruje. W rozgrywkach klubowych też planuje podbój Europy. – *Polski paintball jest naprawdę mocny* – podkreśla. I liczy, że to zaowocuje wzrostem popularności tego sportu w kraju. ■

© NXL LTD. ARCHIWUM PRYWATNE (2), ALF JA BORUCKA

Seler

Seler ze wzg
smak i niety
onieśmiela
z pomysłem

To d
zim
śni
się
wc
której na stoł
w tym seler.
Seler to n
z włoszczyzn
się zbyt wiel
lub prawie
Nieczęsto s

jest po pro
dwukrotni
dłem mine
W kuchn
selera. Prz
skie śledz
w panier
smak i nie
przygotow
Warzyw
dlatego w
ści i najle
jemnie m
jest nieco
czonego
łami i sos
jak steki
Upiecz
sennie. S
pojawia
niedźwie
Tu stawi

Seler to nie feler

Seler ze względu na charakterystyczny smak i nietypową strukturę może onieśmielać. Jednak przygotowany z pomysłem – zachwyca.

To danie stanowi połączenie dwóch pór roku: zimy i wiosny. Najlepiej je przygotować właśnie teraz, kiedy na straganach pojawiają się już wiosenne nowalijki i zielenina, ale wciąż trudno zapomnieć o zimie, w czasie której na stołach królują bulwy i warzywa korzeniowe, w tym seler.

Seler to niedoceniane warzywo. Kojarzy nam się z włoszczyzną używaną do bulionu lub z niecieszącą się zbyt wielką popularnością sałatką z selera. Rzadko lub prawie wcale nie widuję go w menu restauracji. Nieczęsto staje się głównym składnikiem dania. Nie

jest po prostu popularny. A szkoda! Warzywo to zawiera dwukrotnie więcej witaminy C niż cytrusy. Jest także źródłem minerałów takich jak fosfor, żelazo, magnez, cynk.

W kuchni wegańskiej widzę nieco więcej miejsca dla selera. Przygotowuje się z niego marynowane wegańskie śledzie lub selerybę, czyli plastry selera smażone w panierce. Seler ze względu na charakterystyczny smak i nietypową strukturę może onieśmielać. Jednak przygotowany z pomysłem – zachwyca.

Warzywo nabiera świetnego smaku po zapieczeniu, dlatego warto od tego zacząć. Należy piec seler w całości i najlepiej w skórze, robi się wtedy słodkawy i przyjemnie miękki. To twarda bulwa, więc czas pieczenia jest nieco dłuży niż w przypadku innych warzyw. Upieczonego selera można marynować, podsmażać z ziołami i sosami. Podawać w ćwiartkach lub pokrojonego jak steki na plastry.

Upieczone i usmażone plastry selera ubieram wiosennie. Sięgam po nowalijki i wszelką zieleninę, która pojawia się na straganach: koperek, cebulę, czosnek niedźwiedzi, rzodkiewkę i ulubione zielone szparagi. Tu stawiam na świeżość, chrupkość i kolory. ■

Alicja Rokicka – autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Steki z selera w kremowym sosie

Steki:
średniej wielkości seler
2 łyżki roślinnego masła lub 5 łyżek oliwy
2 ząbki czosnku
½ cytryny
gałązka tymianku i/lub rozmarynu
sól, pieprz

Sos:
200 g naturalnego tofu
sok z ½ cytryny
100 g świeżego szpinaku
listki świeżej bazylii lub czosnku niedźwiedziego
3 łyżki płatków drożdżowych
2 łyżki oliwy
sól

Dodatki:
4 zielone szparagi
3 rzodkiewki
cebulka ze szczypiorem
koperek
natka pietruszki
łyżka octu winnego
sól
oliwa
garść orzechów włoskich lub laskowych

Wykonanie:

Seler umyj i w całości zawiń w folię aluminiową. Zapiekaj w 220 stopniach przez 1,5 godziny.
Kiedy seler się wystudzi, obierz go ze skórki i pokrój w plastry o grubości 1 cm. Powinno wyjść ok. 5 plastrów.
Na patelni rozgrzewaj roślinne masło lub oliwę. Ząbki czosnku zgnieć nożem, ale nie obieraj. Wrzuć na patelnię razem z gałązką tymianku lub rozmarynu. Przemieszaj. Kiedy poczujesz zapach czosnku, ułóż na patelni maks. 2–3 plastry selera. Nie smaż wszystkiego naraz. Posól i popieprz. Smaż powoli ok. 10 minut. Kiedy seler się mocno zarumieni z jednej strony, obróć go na drugą. Połówkę cytryny ułóż między plastrami selera, lekko przyciśnij do dna patelni, by puściła sok. Smaż razem przez kolejne 6–8 minut. Polewaj plastry selera masłem spod smażenia.

Szparagi złam w zgrubionym miejscu. Jeśli są grube, przetnij je na pół po długości. Następnie pokrój je w 2–3-cm kawałki. Przygotuj nową patelnię. Rozgrzej łyżkę oliwy i podsmażaj szparagi z odrobiną soli. Smaż 5 minut, mieszając od czasu do czasu. Przenieś do miski. Rzodkiewki umyj, przetnij na połówki, a potem pokrój w plasterki. Przenieś do szparagów. Cebulkę wraz ze szczypiorem posiekaj drobno i dodaj do rzodkiewek. Dodaj posiekany koperek. Do mniejszej miski wlej ocet, lekko posól i popieprz. Wlewaj powoli oliwę, ciągle mieszając, aż uzyskasz gęsty dressing. Przed podaniem nowalijki zalej dressingiem i przemieszaj.
Na talerzu rozprowadź sos z tofu i szpinaku. Połóż usmażony plaster selera, a na nim ułóż zielony kopczyk ze szparagów, rzodkiewek i ziół. Orzechy przepłucz i na koniec posyp nimi całą potrawę.

Sos:

Tofu rozkrusz dłońmi i wsyp do pojemnika do blendowania. Dodaj sok z ½ cytryny, szpinak, bazylię lub czosnek niedźwiedzi. Posól i podlej oliwą. Zacznij blendować. Jeśli jest taka potrzeba, dolej wody.
Powinna wyjść jednolita w kolorze, kremowa pasta. Dopraw płatkami drożdżowymi i solą. Można podgrzać przed podaniem.

© NOL LTD. ARCHIWUM PRYWATNE (2), ALICJA ROKICKA

Wyborcom skołowanym dyskusjami o praworządności prof. Marcin Matczak podsuwa w „Plusie Minusie" prosty test: „Często ludzie, którzy nie są prawnikami, mają bardzo formalistyczne pojęcie praworządności: jest oto litera prawa i albo działasz zgodnie z nią, albo niezgodnie. Jak działasz niezgodnie z literą, to jest to zamach stanu. Tymczasem praworządność jest rozwiązaniem funkcjonalnym – ma konkretne zadanie i nie jest nim ścisła zgodność z literą prawa. Celem praworządności jest ograniczenie arbitralności władzy. Jeżeli coś ogranicza arbitralność władzy, to mamy praworządność. Jeżeli nie ogranicza, to jej nie mamy". Taki papierek lakmusowy działania demokracji.

W rozmowie dla „Sieci" Zbigniew Ziobro, bardzo pewny swego powrotu do władzy, zapowiada i grozi: „Urzędnicy państwowi nie mogą włączać się w kampanie hejtu i nienawiści, organizowane przez dziś rządzących. Tusk ucieknie pewnie do Berlina czy Brukseli, choć i tam będziemy musieli go ścigać, bo to on podejmuje zasadnicze decyzje. Ale wszyscy tam nie wyjadą. Uprzedzam ich – ekipa, która dziś rządzi, ma charakter kryminalny i przestępczy, nie warto być jej częścią, to wszystko będzie rozliczone". Pytanie, kto kogo pierwszy dopadnie?

Panie Antoni Macierewicz, niech pan wreszcie ma odwagę stanąć przed dziennikarzami i odpowiedzieć na pytania. (…) Odwagi! Większej niż w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r.
– Monika Olejnik, „GW".

Wicenaczelny Rafał Woś pisze w „Tygodniku Solidarność" o „udręczonym dziś PiS-ie": „Pamiętam dobrze, jak po roku 2015 śmierć demokracji ogłaszano w mediach liberalnych średnio co dwa tygodnie (…). Jak nazwać ten system, w którym dziś żyjemy? Nie chcę iść tą drogą, którą szli wczorajsi »demokraci«, i krzyczeć o końcu świata oraz dyktaturze. (…) Na pewno mamy za sobą 100 dni demolki demokratycznych reguł gry. (…) Bliżej nam dziś raczej do autentycznej tyranii". I tak dziennikarz zamienił się w politruka.

W „Przeglądzie" Stanisław Filipowicz ostrzega, by nie dać się nabrać na pisowską propagandę: „PiS ściga dziś niezmordowanie własny ogon. Słyszymy wciąż te same frazesy; nie milknie kabotyński lament przegranych. Ludzie, którzy potraktowali własny kraj jak złodziejski łup, prawią morały. Co rusz pokrzykują, że obowiązywanie prawa jest nieleGalne. Za pomocą insynuacji i kłamstw inscenizują swoje polityczne marzenia. (…) Nie bądźmy naiwni. Prezes nie odkleił się – prezes rozpoczął prace polowe: spulchnia glebę i sypie ziarno. Temu właśnie służą wszystkie ciemne sztuczki i przeinaczenia. (…) Raz się udało – kłamstwo smoleńskie zmieniło naszą historię. Bądźmy więc ostrożni – język to stan umysłów, język to stan rzeczy".

W „Do Rzeczy" Łukasz Warzecha wyjaśnia, dlaczego Mateusz Morawiecki, mimo że uznawany jest za najlepszego kandydata PiS na prezydenta, raczej nie ma szans: „Morawieckiego obciąża tak wiele, że jego kandydatura wydaje się receptą na pewną przegraną. To on był twarzą fatalnej kampanii z 2023 r., nakierowanej wyłącznie na najtwardszy elektorat. To on stał za Polskim Ładem, to on przepychał w imieniu Polski kolejne elementy unijnego Zielonego Ładu (…). To on był architektem fatalnych rozwiązań z okresu pandemii (…). Przeszkodą w kampanii byłyby też jego drewniana charyzma i brak poparcia w całym aparacie PiS". Trafiony, zatopiony.

Ciekawostkę o premierze Morawieckim przytacza w „Newsweeku" Renata Grochal: „w PiS coraz głośniej mówi się o tym, że były premier chce uciec od Kaczyńskiego. Uwadze partyjnych kolegów nie umknął fakt, że z profilów Morawieckiego w social mediach wyparowały informacje łączące go z partią matką. Rzeczywiście na jego koncie na portalu X, dawnym Twitterze, na próżno szukać wieści, że jest wiceprezesem PiS. »Patriota, ekonomista i historyk. Poseł na Sejm RP X kadencji« – pisze dziś o sobie Morawiecki". Ekonomista, historyk, poseł – to fakty; patriota – to opinia.

W „Tygodniku Powszechnym" Stanisław Mancewicz rozważa: „Czy można się dziś w polityce skompromitować? To nie jest możliwe. Kompromitacje polityków, począwszy od sprzeniewierzenia się przysiędze parlamentarzysty, a na drobnych przestępstwach pospolitych kończąc, nie zmieniają na serio ich sytuacji prawnej, towarzyskiej czy społecznej". Felietonista wyjaśnia, że to przyzwolenie najlepiej streszcza hasło „Kradną, ale się dzielą".

W przygotowanym przez kolegów Jacka Kurskiego tzw. raporcie o TVP, który miał na nowo uwiarygodnić Kurskiego w oczach prezesa PiS, autorów poniosła fantazja (cytujemy za „Angorą"): „Telewizja Kurskiego i Olechowskiego była może nie idealnym, ale za to realnym, soczystym i pożywnym kotletem formatów live, sportu, rozrywki, widowisk i popularnych seriali porządnie przyprawionym informacją i skutecznym przekazem politycznym. Matyszkowicz i Perera nie lubili tego kotleta, bo nie był ich. Odkroili i wyrzucili jego bardziej smakowitą część; nie dali w zamian niczego porównywalnie smacznego. Do tego, co zostało na talerzu, dołożyli pieprzu i soli. No i przesolili. I przepieprzyli (…)". Prezes, jako znawca kuchni domowej, z pewnością docenił tę metaforę.

KOZA

CMS
WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
Badania wstępne, okresowe i kontrolne
Orzeczenia sportowo-lekarskie
Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
blokady / neurolizy współczulne
blokady / neurolizy nerwów obwodowych
termolezja

Poradnia Podologiczna
Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
Dietetyka kliniczna
Dietetyka sportowa
Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
Rehabilitacja ortopedyczna:
- stawów rzepkowo-udowych
- stawów barkowych
- kręgosłupa
- stawów kolanowych
- kontuzji sportowych
- po zwichnięciach stawów
- urazów mięśni
- więzadeł
- po złamaniach

Fizykoterapia
Masaż leczniczy
Diagnostyka funkcjonalna
Rehabilitacja w uroginekologii
Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
Pełny zakres badań

Diagnostyka
RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

NOWOŚĆ

IDEALNY TRAWNIK. INTELIGENTNE KOSZENIE.

CERTYFIKAT ANTYKRADZIEŻOWY

GWARANCJA 5 LAT

NOWA GENERACJA ROBOTÓW KOSZĄCYCH iMOW®. GWARANCJA SPOKOJU NA LATA

Ciesz się czasem wolnym i pozwól nowej generacji robotów koszących STIHL iMOW® uczynić Twój trawnik wyjątkowym. Dzięki inteligentnym i niezawodnym rozwiązaniom zastosowanym w nowych robotach spełnią one oczekiwania najbardziej wymagających użytkowników. Pozostań w kontakcie i zarządzaj pracą robota koszącego iMOW® EVO z dowolnego miejsca na świecie dzięki aplikacji w Twoim telefonie.

Szczegółowe informacje dotyczące przyznania Certyfikatu Antykradzieżowego i wydłużonej gwarancji na WWW.IMOW.PL

ZAPRASZAMY DO AUTORYZOWANYCH DEALERÓW STIHL. / STIHL.POLSKA / STIHL_POLSKA